



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ
I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI
PUBLICZNEJ
IM. EMANUELA SMOŁKI
W OPOLU









H. C. Schüller del.

Hornberg

F. Wagner sc.

Honor nieskażony, to zaszczyt prawdziwy.

POWIEŚCI MORAŁNE

przez



Klementinę z Tańskich Hofmanową.



Tom pierwszy.

341

Z rycin.



W WROCŁAWIU,
u Wilhelma Bogumiła Korna

1833.

5022/VII, VIII

5025¹s

884(081)

U-335/70

WYBÓR PISM
KLEMENTYNY z TAŃSKICH
HOFMANOWÉY.

T O M S I O D M Y.

*Nowe oryginalne wydanie, przeyrzone i poprawioné
przez Autorkę.*

w WROCŁAWIU,
u WILHELMA BOGUMILA KORNA.
1 8 3 3.

W. J. HOLBURN

KLEINER & TANKER

PORTLAND

1860

LIBRARY

S p i s

zawartych w tym siódmym Tomie Powieści
moralnych.

Oddział pierwszy. Rok w powieściach.

1. *Styczeń.* Kolenda.
2. *Luty.* Balik dziecinny.
3. *Marzec.* Elżbietka.
4. *Kwiecień.* Wielkanoc.
5. *May.* Imieniny zosi.
6. *Czerwiec.* Bukiet z róż.
7. *Lipiec.* Ul.
8. *Sierpień.* Żniwo.
9. *Wrzesień.* Wezbranie Wsily.
10. *Październik.* Mały Tomek z Jabłonny.
11. *Listopad.* Komedia.
12. *Grudzień.* Ludwisia i Helenka.

Oddział drugi. Powieści oryginalne.

1. Listy Monisi ** do przyjaciółki swojej Karoliny **.
2. Szczygiełek.
3. Tydzień bytu dwuzłotówki.

4. Nieszczęśliwy poeta.
 5. Ofiara Romanka,
 6. Tonący.
 7. Szlachetność.
 8. Paweł Koczmara.
 9. Matka i Syn , powieść w listach.
 10. Szlachetna otwartość.
 11. Szkółka, powieść w rozmowach.
-



POWIEŚCI MORALNE.

ODDZIAŁ PIÉRWSZY ROK w POWIEŚCIACH.

I.

S T Y C Z E Ń.

K O L E N D A.

Zaden dzień nie iest tak powszechnie żądany i oczekiwany iak dzień Nowego Roku; o żadnym tyle nie mówią, na żaden tyle przygotowań nie robią. Każdy za nim wzdycha, każdy datuie od niego rozpoczęcie różnych zamysłów i proiektów swoich; zgoła, wszyscy na ten dzień się cieszą. Starzy mają nadzieję, że lepiéy będzie w tym roku iak w przeszłym; młodzież się raduie, gdyż z nowym rokiem zaczną się zapusty; a dzieci

skaczą z ukontentowania, bo myślą sobie, iż może iaką kolędę dostaną.

Ludwik syn maiętnych rodziców, blisko Kurowa osiadłych, oddawna Nowego Roku wyglądał. Był iedynakiem, dostawał często podarki od Oycy i Matki, a szczególnię kolędę zawsze miéwał sutą, i dwa miesiące na przód cieszył się na nią.

Wszystkiego na świecie doczekać się można; w Listopadzie zdawało się Ludwikowi, że Nowy Rok nigdy nie przyidzie; nadszedł przecie: a Ludwik uradowany wstał rano, żeby naypiérwéy rodzicom zmiany roku powinszować, i dowiedziéć się o kolędzie. ~~X~~ Zyczył iéy sobie dla tego tak żywo, iż iuż od kilku czasów uwijało mu się po głowie, że dostanie konika, a oddawna niczego nie pragnął tak gorąco. Wiedział dobrze, iż ieden mieszczanin z Kurowa, miał ślicznego na zbyciu; był gniady, mały, składny, z odmianą na czole. Ile razy widział go Ludwik, tyle razy wzdychał, i składał życzenia, żeby kiedyś mógł bydz iego; nie tail się z tym przed rodzicami, i idąc do nich cały czas myślał o

koniku. Kiedy dochodził otworzyły się drzwi od ich pokoju; uściskał Oycę i Matkę i powinszował im serdecznie: nie na piśmie, ale słowami iakie mu serce podało. Otrzymał od obojga pochwałę przeszłorocznego postępowania, i zachęcenie, ażeby ciągle równie dobrze się sprawiał, i iednakową im był pociechą! Napelniły się łzami oczy Ludwika, i tak mu było miłe rodziców ukontentowanie że i o koniku zapomniał! Przypomniała mu go wnet Matka: odsłoniła chustę białą leżącą na stole, i Ludwik zobaczył prześliczne siódelko i uzdeczkę Warszawskiéy roboty, niebieski czaprak, i małą szpicrutkę; krzyknął z zadziwienia, rzucił się na szyję Matce, a iak usłyszał te słowa Oycę: *dzisiaj jeszcze będziesz miał konika*, zaczął skakać z radości, całować rodziców. Pobiegł do swego Nauczyciela, i wołał na niego z daleka: *będę miał konika, będę miał konika*; kogo tylko napotkał każdemu z ukontentowaniem powtarzał: *będę miał konika!*

Ziadł iak najszybciej śniadanie, i wrócił do pokoju rodziców, żeby im podziękować raz

ieszcze, wypytać się o konika, i przypatrzeć się darom Matki. Wysunął stółek na środek pokoju, okrył go czaprakiem, położył na wierzchu siodło, uzdeczkę założył za poręcz, położył kapelusz na głowę, wziął szpicrutkę i cugle w rękę, a kłapiąc ustami skakał na stolku, i wystawiał sobie, że na koniku iedzie. Przerwano mu w krótcie tę iego zabawę. — We wsi gdzie mieszkali rodzice Ludwika nie było kościoła; musieli ięździć na nabożenstwo do Kurowa. Chłopczyzna z radością wsiadł do sanek, bo mu Matka powiedziała, że zaraz prosto z kościoła póydzie Oyciec do mieszczanina, i kupi konika.

Mroź był tęgi ale Niebo pogodne i czyste; wszystkie domy, drzewa, stawy, okryte były białą powłoką, i śnieg odbiiając promienie słoneczne szklcił się tysiącznemi kolorami. Chociaż sanki Ludwika sunęły się prędko po uieźdzonej drodze, podróż zdawała mu się tak długa, że kilka razy chciał wysiąść przekonanym będąc, iż prędzęj piechotą dobieży. Zaiechali nareszcie przed kościół, w moment kiedy Msza wielka wychodziła. — Strapił się

cokolwiek Ludwik gdy przed Ofiarowaniem przerwał Kapłan Nabożenstwo, a drugi Xiądz ukazał się na Ambonie. Byłby chciał iak nayrychléy konika mieć w ręku. Kazanie spóźniało iego szczęście. Ale Ludwik skoro tylko chciał szczerze, umiał pokonać samego siebie, wiedział dobrze z iakiem uszanowaniem trzeba się zachowywać w kościele, słuchał więc pilnie nauki, zaiął się nią zupełnie, i naymniéjsze słówko nie uszło iego uwagi.

Kapłan lud przytomny nauczaiący, był ów znany Kurowski pleban, powszechnie wielbiony Grzegorz Piramowicz. Światły, uczony, cnotliwy, godzien był służyć temu Bogu, którego w prawém nosił sercu, godzien był tłómaczyć święte przepisy iego. X Zwiedzał pańskie pałace, szperał w xiegach, kreślił gładkiém piórem piękne myśli swoje, ucęszczał do lepierek kmiotków, lubiony był od wielkich, szacowany od uczonych, ubóstwiany od nieszczęśliwych! Nie piastuiąc nigdy wysokich urzędów, pozyskał wielkie znaczenie; imie iego zapisane w rzędzie cnotliwych i uczonych Polaków, choćby się w xiegach

zatarło, w sercach rodaków wiecznie żyć będzie!

Właśnie w zeszłym dopiero roku, wśród żniw, okropny pożar do największego ubóstwa przywiódł niemal wszystkich mieszkańców Kurowa; przeszło tysiąc ludzi w dwóch godzinach zostało bez dachu, bez pożywienia! Piramowicz czuły na nieszczęście ludu, którego był pasterzem, uymował sobie, żeby wesprzeć owieczki swoje! dokładały się także dzielnie słynące tak słusznie z dobroczynności sąsiedzkie domy; ale przecież nie wystarczały dochody na ogromny wydatek, i połowa pogorzelców bez własnego mieszkania srogą zimę przepędzać musiała!

Korzystając z liczego zgromadzenia ludu w dzień nowego roku, Pleban kurowski miał naukę o prawdziwym sposobie czynienia dobrze. Mowa jego tak czysta, słodka i prosta iak dusza, rozrzewniała przytomnych i niechybnie trafiała do serca. „Wiém że biédni „iścieście, rzekł obracając się do wieśniaków „przybyłych z okolic, ale przecież żaden z was „nie iest biédniejszy od wdowy z Ewanielii,

„a ona ostatni szeląg w karbonę ubogich wlo-
 „żyła. Każdy z was może dać jakąś pomoc
 „nieszczęśliwym pogorzelcom; a wierście mi
 „dziateczki moje! ieden grosz ubogiego na
 „wsparcie brata dany, więcéy ma ceny w oczach
 „Boga, niż kupy złota ręką bogaczów sypane.
 „Jałmużny nasze im więcéy ofiar kosztują,
 „tém więcéy mają wartości. Łatwo udzielać
 „drugim, kiedy sami we wszystko obfitujemy;
 „ale pozbawić się żądanej, miłej i potrze-
 „bnéy rzeczy, żeby łyzy otrzeć nędzy, to pra-
 „wdziwa zasługa, to prawdziwa jałmużna!“

Ludwikowi serce bić mocno zaczęło na te
 ostatnie słowa cnotliwego Plebana; nie mógł
 rozpoznać myśli swoich, cisnęły się tłumem
 do głowy jego; dziwného doznawał wzrusze-
 nia. Skończyło się Nabożeństwo, wyszli wszy-
 scy z kościoła, a on ieszcze przyiść do siebie
 nie mógł. — „Wiesz Ludwiku, rzekł mu
 Oyciec wsiadając do sanek, żal mi cię, nie
 będziesz miał dzisiay konika. Posyłałem słu-
 żącego, powiedział mi, że mieszczanin poie-
 chał w sąsiedztwo na odpust i nie wróci az
 wieczór. Ale iesli chcesz to możesz tu intro

rano po niego z Nauczycielem przyjechać.“ — Odetchnął Ludwik na te słowa Oyca, i z wielkiem podziwieniem rodziców, prawie z radością wsiadł do sanek. — Jadąc przez miasteczko spostrzegł z iednéy strony nowo postawione domy, a z drugiéy gołe kominy, gruzy, okopcone belki, ślady pozostałe okropnego pożaru! patrzył się na nie długo ze smutkiem! i przez całą drogę, aż do końca tego dnia mocno był zamyślony.

Nazaiutrz wstał skoro świtać zaczęło; wziął ciepły płaszcz swój, czapeczkę niebieską z sobolami, i wyjechał z Nauczycielem do Kurowa. Kiedy już wiechali do miasta, woźnica chciał na bok zwrócić i udadź się iak miał rozkaz do domu mieszczanina. Wstrzymał go Ludwik, a wsiąwszy Nauczyciela za rękę prosił żeby do Plebanii iechać kazał. Nauczyciel zapytał się iakaby téy odmiany była przyczyna? Ludwik odpowiedział drżącym i nieśmałym głosem: że już mu się zupełnie odechciało konika, i że pieniądze przeznaczone od Oyca na to kupno chciałby dadź (ieśliby to można zrobić) xiędzu Piramowiczowi dla biédnych

pogorzalców. Uściskał chłopczykę rozrzewnioną nauczyciel, zapewnił go iż oyciec gniewać się o to rozporządzenie nie będzie, i zaiechali przed Plebanią. X

Zastali szanownego Kapłana otoczonego starcami, kobietami, dziećmi, i słabými. Ten przyszedł do niego po wsparcie, ta po radę, ta po naukę, tamci po lekarstwo, wszyscy żądali poiechy! Zobaczywszy przybyłych gości przywitał ich uprzejmie, i prosił, żeby poszli na chwilę do iego gabinetu. Nie mieli czasu przypatrzeć się licznemu xięgozbiorowi, zastanowić się nad nieustanną czynnością serca i umysłu cnotliwego i światłego Plebana, gdyż nie dał im długo na siebie czekać; w krótce nadszedł, i zapytał się mile coby ich tak rano do niego sprowadzić mogło? Ludwik spuszczone miał oczy i nie śmiał nic mówić. Nauczyciel iego imieniem ofiarował pieniądze. Rozrzewniło plebana dobre serce Ludwika. „Synu mój, rzekł mu, szczęśliwy iesteś iż w tak młodym wieku możesz i umiesz dawać! Nie zawstydzisz narodu twoiego! Oyczyzna nasza liczy wielu dobroczynnych Obywateli, bierz

ciągle z nich przykład, postępuj zawsze w ich chwalebne ślady, wspieraj gdzie możesz cierpiącą ludzkość, ię głos nie obiał się nigdy na próżno o prawdziwego Polaka ucho! Zaledwie przemówił o potrzebie parafianów moich, zaczęły mnie dochodzić ze wszech stron znaczne ofiary pieniężne; iuż mi w tęg chwili nie wiele brak na wystawienie reszty mieszkań biędnym pogorzelcom; rozpocznie się ta robota da Bóg doczekać na wiosnę. Kiedy w ów czas przeieżdżać będziesz koło świeżo wystawionych domostw, kiedy uyrzysz radość mieszkańców, usłyszysz ich błogosławieństwa, pomyśl sobie: i iam się do tego dolożył! i mnie to oni błogosławia!“ — Tu Ludwik nie mógł wytrzymać i zawołał ze łzami: *Już mi nic nie żal konika!* — Jakiego konika? zapytał się Pirałowicz. Ludwik się zmięszał, zapłonił, nie mógł nic odpowiedzieć; widząc to Nauczyciel, opowiedział z wewnętrzzną rokoszą, iaką po wczorayszém kazaniu, Uczeń iego umyślił uczynić ofiarę. Uściskał go czulęj ieszcze szanowny pleban. „Zrozumialesz zupełnie rzekł mu, moię naukę. Jalmu-

zna twoja jest prawdziwa, boś się dla niéy miłego pozbawił daru; majątnym iesteś, zatym i twóy datek znaczny, ale wierz mi, gdybyś w uboższym stanie zrodzony, dostał był od rodziców fraszkę parę złotych wartuiącą, i przyniósł mi ją z takiém sercem w ofierze, z równą byłbym ją przyjął roskoszą, równie ona miłą byłaby Bogu!“ — Szanowny kapłan otarł w téy chwili łzy płynące po licach swoich, a Ludwik ucałowawszy iego rękę odiechał uradowany.

Już z mniéyszym spoglądał smutkiem na opalone kominy i okopcone belki, bo już w dziecinnéy i żywéy wyobraźni swoiéy widział iak za pieniądze przeznaczone na konika, postawią na ich miejscu nowe budowy. Tam gdzie dawniéy wznosił się domek, spostrzegł kilkoro dzieci biednych pogorzalców; roztrząsały śnieg patyczkami; w popiołach i gruzach szukały zapewne zgubionych w pożarze latek, zabawek, gałganków! „Będziecie i wy niedługo własné miały schronienie, pomyślał sobie, odkupią wam rodzicie utracone fraszki!“ —

Maiąc całą myśl pogorzelcami zaiętą, i że uczynkiem swoim przyczynił się do ich wsparcia, przebywał po szklistéj drodze pola kurowskie, i rychléj nim się spodziéwał, stanął przed rodzicielskim domem. Pobiegl zaraz do matki, wyglądała go iuż dawno oknem, i szła zdziwiona naprzeciw niemu, pytać się czemu nie przyprowadził z sobą konika? „Już nie będę miał konika, rzekł iéy Ludwik, tuląc się na iéy łono, alem wspomógł biédnych pogorzelców!“ Wzruszenie nie dozwoliło mu więcéy mówić, i raz ieszcze Nauczyciel wyręczyć go musiał. Przycisnęła syna do serca swojego uszczęśliwiona matka; nadszedł w tę chwilę Oyciec, i stał się uczestnikiem iéy radości. — A z siodłem i z uzdeczką co się stanie? zapytała się Matka. — „Dam wszystko ieżeli powolisz, odpowiedział Ludwik, xiędzu Piramowiczowi; on powiada żeby i drobniéysze przyiał fraszki, bo najmniéyszy datek może bydź iałmużną!“

Ludwik tak dobrze rok zacząwszy, szczęśliwy był przez cały iego przeciąg; szczęśliwym był i późniéy, bo zawsze toż samo serce

zachował. Zaraz w następującą Niedzielę złożył w ręce plebana kurowskiego podarek Matki. Z takimże uczuciem iak i pierwszy przyjęty został. Od tego czasu odwiedzał często Ludwik szanownego Piramowicza, uczył się od niego cnót wszelkich, a kiedy śmierć wydarła tego męża Oyczyźnie, przyjaciółom, uczonym, parafianom i nieszczęśliwym, wraz z całym ludem sąsiedzkim lżył rzewne nad grobem jego.

II.

L U T Y.

BALIK DZIECINNY.

Już zimny Luty dochodził do połowy, już za tydzień skończyć się miały zapusty; bielily się z daleka rogi Warszawskich ulic okryte uwiadomieniami o widowiskach, balach, reduktach; i we dnie i w nocy brzmiały różne muzyki, toczyły się poiazdzy, snuły się tłumnie sanki, pełne były sklepy kupujących. Nie

ieden dążąc na zabawę, potracił biédnego kalekę, nie jedna odmówiła nędzarzowi, żeby kupić ubiór wykwinny; wszystko było w ruchu, prawie o niczém nie mówiono tylko o tańcach i stroiach.

Dzieci Pani Niesińskiéy ieszcze na żadnym baliku nie były; obiecała im w prawdzie Matka, że przed Ostatkami wytańcuią się raz do woli, wyglądały więc z niecierpliwością spełnienia téy obietnicy. Dzieci te bardzo były grzeczne; uczyły się dobrze, słuchały starszych i nie klóciły się nigdy. Było ich troje: Władys, Helenka i Cesia. Władys skończył rok dziesiąty. Chociaż przewyższał siostry i siłą i wiekiem, nigdy im nie dukał, nigdy się im nie sprzeciwiał. Kochały go, też obie serdecznie, i wszelkiemi sposobami starały się okazać że go kochaia. Władys miał zawsze ładne, pończoszki, bo mu ie siostry na wyścigi robiły. Jak dostał pieniędzy od Matki, mógł osobno miedź, osobno srebro chować, bo każda z siostr śliczny mu podarowała woreczek. — Władys miał swój własny pokoik. Żywy, roztrzepany, często

poszedł z starym Jakóbem do szkoły, a wszystkie swoje rzeczy, książki, papiéry porozrzucane zostawił. Łaiała go surowo Matka skoro podobną niedbałość uyrzała; spostrzegły to w krótcie dziewczynki. Chodziły więc cichuténko do brata pokoju iak wyszedł, i układały starownie wszystko co zostawił w nieporządku. Władys ze swoiéy strony umiał byđz wdzięczny; iak iuż mówiłam, nie dokuczał siostróm nigdy, różne gry im wymyślał, ustępował w zabawach, robił im często łożka, kanapki, stoliczki dla lalek; nauczył się nawet pleść koszyki, i raz w sekrecie na Imieniny Helenki, zrobił dla dziecka iéy lalki prześliczną kolébkę.

Cieszyła Matkę zgoda, w którój żyły iéy dzieci; każdy nowy dowód ich wzajemnéy miłości radował ją więcéy niż nowe ich postępy w naukach; bo każda dobra Matka cnoty swoich dziątek nad ich umiętność przekłada, i każdé dziecko wiedziéć powinno, iż lepiéy daleko byđz dobrym iak uczonym.

Przyszła nakoniec pora, w którój Pani Niesińska dotrzymać mogła dawnéy obietnicy

swoiędzy. Właśnie w tłustą srodę oświadczyła dzieciom, iż będą nazajutrz u Babuni na małym baliku. Miało tam być wiele dziewczynek i chłopczyków, a iak to zwyczajnie u Babuni bywa, iedzenia ieszcze więcéy. Kawa, herbata, pączki, kolacya, cukierki, ciasta różne. — Pani Niesińska umyślaie na ten balik sprawiła dzieciom nowe ubiory. Władys miał mieć śliczne mayteczki granatowe z srebrnemi guzikami, a dziewczynki białe muszlinowe sukienki różowemi wstążkami obszywane. Szewe przyniósł im różowe atlasowe trzewiczki. Władys i iego siostry tak były kontente, tak wesołe, że zdawało się, iż im nie brakuie do zupełnego szczęścia! Ledwie o dziesiątęy godzinie spać się położyły, i całą noc śniły im się mazurki, walce, pączki, i nowe sukienki. Obudziły się dziewczynki raniędzy iak za zwyczaj, wstały natychmiast: cieszyły się, że piérwszy raz w życiu zawstydzą brata wcześniészém wstaniem. Zmówiły pacierz, a Władysia ieszcze widać nie było. Chciały Matce powiedziéć dobry dzień, nie zastały iędzy w sypialnym pokoju. Zdziwione

pytaią się dokądby tak rano poszła? powiadają im, że jest u ich brata. Biegną prędko do jego pokoiku, otwierają drzwi; kiwa na nich stary Jakób, żeby się sprawiały cicho; spoyrzą na łóżko Władysia, a on leży cierpiący, i Matka głowę chustką mu wiąże. Skoro ie zobaczył, rzekł im słabym głosem: „Dobry dzień wam, kochane siostry, dobrze przynajmniéy żeście wy zdrowe, poiedziecie na bal, i wytańcuiecie się za mnie. Ja nie będę, całą noc miałem gorączkę; Jakób powiada żem strasznie stękał, i teraz czuję mocne pragnienie, i ból głowy niesłychany.“

Twarze obudwóch dziewczynek odmieniły się przez ten czas po kilka razy; to blade, to rumiane, widać w nich było wielkie wzruszenie. Na reszcie spoyrzały na siebie, i razem te słowa wyrzekły. „Nie! my niechcemy byź na balu, kiedy ty nie będziesz; tyś chory, iakżebyśmy tańcować mogły? Zostaniemy z tobą w domu.“ — Władys niechciał przyiąć tego dowodu przywiązania. Matka (w duszy uradowana) namawiała dziewczynki żeby poiechały na bal. „Już posyłałam po

lekarza, powiedziała im, bom się bała czy to nie iaka szkodliwa gorączka; był w ten moment u Władysia, zaręczył że mu nie nie będzie; kazał tylko, żeby się ciepło trzymał, i nie iadł wiele. — Dobré siostry, nie dały się nakłonić. Poświęciły z ochotą bratu i ukontentowanie ubrania się w nowe sukienki, i nadzieję tańców, zabawy, przysmaczków. Uszcześliwiły tym Matkę, uradowały Władysia. Uściskała ie Pani Niesińska serdecznie, pochwaliła przywiązanie do brata, i dodała: że wszyscy kochać ich będą, ieżeli się przyzwyczają z młodu myśleć pierwéy o drugich przyjemności niżeli o własnéy.

Ponieważ tego dnia był tłusty czwartek i Władys był słaby, nie brały dziewczynki żadnych lekcyi, przepędziły ranek i dzień cały w pokoiku brata. Staraly się go zabawić, opowiadały mu różne historyyki, powieści i bayki, a wdzięczny Władys ściszał siostry za ręce, i dziękował im serdecznie. Wieczór Pani Niesińska musiała poiechać na bal, oznaymić Babuni dla czego wnuki u niéy nie będą. Jak przyszła żegnać się z dziećmi, iak

ią zobaczyły dziewczynki pięknie ubraną, westchnęły! ale w tem spoyrzały na uśmiechającego się do nich Władysia, i wnet zapomnialy żalu.

Cały wieczór zszedł im nad wyraz przyjemnie. Helenka i Cesia więcéy doznawały ukontentowania iak na naywiększym balu; bo w sercu słodką czuły radość, a w oczach brata nayżywszą widziały wdzięczność. Władysia ieszcze głowa bolała, ale nie śmiał narzekać, żeby siostr nie martwić; słuchał ich opowiadań, starał się bawić, i zapominał często o swoiém cierpieniu.

Pani Niesińska niebawnie wróciła; opowiedziawszy gościom iakie dobre miała dzieci, tęsknić do nich zaczęła; przywiozła dziewczynkom ciasteczek i cukierków, Babunia ie dla nich przysłała; ziadly wszystko iak od brata odeszły, bo iemu lekarz zakazał podobnych łakotek. — Parę dni słaby był ieszcze Władys, siostry ciągle go pilnowały, dopóki zupełnie nie wyzdrowiał.

Postępek Helenki i Cesi tak się ich Babuni podobał, że im oznaymiła iż w ostatni

Wtorek da umyślnie osobny dla nich balik, świetniéjszy od pierwszého. Nadszedł ten dzień pożądaný; Władys był zdrów; Helenka i Cesia ubrane w owe ładne sukienki i trzewiczki, tańcowały bardzo wiele. Niektóre matki uwiadomione o ich dobrém sercu, pokazywały ie swoim corkom, a Władys chodził do wszystkich chlopeczyków swoich znaiomych, chwalił się przed nimi, i mówił im: „Może wy niewiecie iakie ia mam dobre siostry?“ Słyszác to rumienily się obie, i mówiły do siebie: „Nie zasłużyłyśmy na tyle pochwał, każdy na naszém mieyscu to samo byłby uczynił.“

Tańcowali wszyscy ochoczo, a Władys bardzo mało; nieźmiernie był zaięty, biegał, wychodził co moment; dopytywał się bezustannie Babuni, kiedy będzie kolacya? a iak dano znać że iuż na stole przerwał nie dawno zaczętego Mazurka, i śpiesznie siostry do sali iadalnéy zaprowadził. Zobaczyły stół okryty różnemi przysmaczkami, a w szrodku wielką piramidę z przezroczystého papiéru. Ponieważ była dobrze oświecona wewnątrz, każdy mógł

przeczytać te słowa na trzech iéy stronach:
Dobrym siostróm wdzięczny Władys.
Na ten widok obie rzuciły się na szyję bratu;
zgadły do razu że to iego było wymysłem. —
W saméy rzeczy Władys skoro wyzdrowiał,
zaraz nad tą piramidą pracować zaczął, sam ją
skleił, napis położył, bo chciał się wywdzię-
czyć siostróm. — Kto tylko na balu był obe-
cny, lub posyłał o przywiązaniu siostr i o
wdzięczności brata, nie mógł się ich odehwa-
lić. Wszystkie przytomne dzieci przekonały
się, że pięknie bydz dobrym, bo każdy dobry
postępek dwoiście iest nagrodzony, przez wła-
sne ukontentowanie, i przez wdzięczność i
pochwały drugih.



III.

M A R Z E C.

E L Ź B I É T K A.

Byla to pierwsza Niedziela Marcowa. Czas był okropny. Śnieg wilgotny pruszył po ulicach, wiatr gwałtowny i ostry wskrós każdego idącego przeymował. Mały Staś i Olesia siedzieli sobie w oknie. Wielki ogień palił się na kominku, dobre ziedli śniadanie, i w ciepłych ubrani byli sukienkach. — „Stasiu! powiedziała Olesia do brata, czy poymiesz iak może kto na taki okropny czas wychylić głowę z domu swego? narażać się na śnieg, deszcz i wiatr, i chodzić po takiem błocie? O patrz! co tu ludzi na ulicy!“ — Staś był starszy od siostry, więcę się zastanawiał i tak iey odpowiedział: „Oni zapewne nie z upodobania tylko z potrzeby w tak brzydką porę z domu wychodzą. Nie wszyscy, kochana Olesiu, mają tak iak my karętę, lokaiów; są tacy którzy radzi nie radzi muszą się na niepogodę narażać.“ — Jak mnie ich żał kochany bracie! —

„Ale to jeszcze nie, rzekł na to Staś, kiedy w taki dzień wychodzą na dwór ludzie ciepło ubrani; nie tak im zimno i słońce dokucza; ale ja tu widzę takich, co w samych chodzą lachmanach!“ — Ach prawda, Stasiu! patrz no naprzeciwno... Widzisz tę małą dziewczynkę... tam koło tego żółtego domu... — Widzę. — Jakże ona biedna! spodniczkę ma zupełnie podartą, kaftanik o iednym rękawie, i iakiś galgan na głowie. Taka z ziębnięta, tak się tuli do muru. Patrz Stasiu, aż płacze. — „Ja kiwnę na nią, to ona tu przyidzie. — Ach dobrze rozgrzeie się przy kominku; ja mam złotówkę, to iéy damy. Poproszę Panny o żółty mój szlafroczek, i będzie iéy ciepło. Mama iak wróci z kościoła gniewać się nie będzie, bo owszem lubi kiedy my nieszczęśliwych wspomagamy!“ — Staś i Olesia zaczęli kiwać na biedną dziewczynkę, stukać w okno, gadać do niéy. Długo ich ani widziała, ani słyszała, na reszcie spojrziała w górę, i dostrzegła że ją wołają. Przeszła na drugą stronę ulicy, weszła w bramę; ale wnet wyszła, patrzyła w okno i zdawało się, iakżeby

mówiła: że niemoże trafić. — Dzieci pobiegły do przedpokoju, prosiły lokaia żeby zszedł na dół, i przyprowadził biędną obdartą dziewczynkę, która tam na ulicy czekała. Stary Jacenty wzbraniał się długo; gadał na nich, że tylko włóczęgów nęcą do domu; ale Staś i Olesia tak go ślicznie prosili, tak byli od domowych kochani, że i Jacenty pomruczawszy trochę pod nosem zszedł, i znalazłszy małą dziewczynkę, kazał iéy iść za sobą.

Dzieci niecierpliwie czekały na nią w sieni. Dziewczyna zlekła się surowéy miny starego Jacentego, nie śmiała iść daléy, ale skoro zobaczyła Stasia i Olesię, więcéy nabrała odwagi. — „Chodź, chodź, rozgrzyj się, powiedziały iéy dzieci; a wzięwszy ją za ręce prowadziły do bawialnego pokoju gdzie był koninek. W drodze Staś spotrzegł, że miała stare trzewiki wcale zabłocone; prosił iéy żeby je zdięła i powiedział siostrze do ucha. „Jakby tak weszła, zwałaby posadzkę, stary Jacenty gniewałby się na nią, a ona już i tak biędna!“ — Zdięła więc dziewczynka swoje obuwie, wytarła nożyny i poszła do kominka.

Aż iéy twarzyczka zaiasniała, iak zobaczyła ogień i poczuła ciepło. Usiadła na ziemi przed kratą, i zaczęła rozgrzewać sobie sine od zimna ręczęta. — Jak ci na imie? spytała iéy się Olesia. — Elźbiétka. — A twoja matka gdzie? — Na te słowa dziewczynka rzewnie płakać zaczęła, i ledwo po chwili mogła odpowiedzieć: że iuż niéma matki! — Cóż się iéy stało? zawołały razem rozczulone dzieci. — Umarła niedawno! — Tu Staś i Olesia wraz z Elźbiétką płakać zaczęli. —

Elźbiétka iuż miała z ośm lat; iak się cokolwiek uspokoiła, w tych słowach przygody życia swoiégo dzieciom opowiedziała: „Matka „była dawniéy bardzo daleko za Wisłą, a „Tatulo u żołnierzy. Długo nic o Tatulu nie „było słyhać. Matka chodziła w lecie żąć i „grabić, w zimie prała i przędła, i miałyśmy „obie co iść, ale Matka zaczęła chorować, „i wtedy ani roboty ani iedzenia nie było! „Jak cokolwiek wyzdrowiała, iednego dnia „ruszyłyśmy w drogę. Szłyśmy długo, długo „— przez różne wsie i miasteczka, nareszcie „zaszłyśmy tutaj. Bardzo mi się podobały

„w Warszawie piękne i wysokie dōmy tyle
„ludzi, poiazdów. Ale niedługo ta radość
„trwała, bo mniéy ieszcze iadłam w mieście
„iak na wsi. Matka tylko kilka pieniędzy
„miała i nie mogła wiele chleba kupować;
„przyszła do Warszawy żeby się dopytać o
„Tatula; dowiedziała się: że iuż dawno umarł
„w lazarecie, i póty nie iadła, póty pła-
„kała, póki się ciężko nie rozchorowała! Je-
„dna lakierniczka bardzo dobra, na Mostowéy
„ulicy mieszkaiąca, pozwoliła iéy leżeć u sie-
„bie; dawała iéy rosół, ziołek, ale to wszy-
„stko nie nie pomogło i Matka umarła! . . .
„Jak iuż tak cały dzień leżała, że mnie ani
„całowała, ani słyszała com do niéy mówiła,
„i taka zimna była iak lód, lakiernik kazał
„i ją włożyć w iakaś skrzynię, i wywiozł gdzieś
„daleko. Chciałam iść za Matką, ale mnie
„nie pozwolili; płakałam tydzień cały, la-
„kierniczka ieść mi przez ten czas dawała,
„ale ona sama biédna, i dużo ma dzieci.
„Jeszcze iak matka żyła, widziałam wiele
„chłopczyków i dziewczynek daleko mniéy-
„szych od siebie ehodzących po ulicy.“

„Prosili oni Panów, i Panowie czasem im „grosz, czasem i piątaka dawali. Znałam ia „dobrze, że to nie ładnie prosić tak każdego, „i napiérać się, ale chciałabym też była kupić „choć raz chleba lakiernicze; wyszłam więc „na miasto pomimo śniegu i flagi. Nikt mi „nic dadź nie chciał, i tak mnie zimno prze- „ięło, że aż płakać zaczęłam. Stałam so- „bie pod wielką kamienicą i iuż chciałam „wracać do domu bez niczego, kiedy na mnie „Panicz i Panienka zawołali.“

Staś i Olesia mieli łez pełné oczy podczas opowiadania Elźbiётki. Olesia dała iéy zaraz złotówkę na chleb dla lakierniczki; pobiegła do szafarki, dostała od niéy bułkę, i trochę masła; Staś przyniosł dziewczynce swoje stare trzewikii dał iéy żeby włożyła na nogi. Olesi darowała Ciotka przed kilkoma dniami śliczną chusteczkę iedwabną na kołdrę dla lalki, związała nią głowę Elźbiётki. Ale co szlafrocza, to Panna dadź nie chciała bez wiedzy saméy Pani; dzieci zatém z niecierpliwością oczekiwały powrotu Matki. — W krótcie usłyszały turkot, pobiegły do okna, i poznały swoją ka-

réte. Elżbiętka się przelekła, wsunęła się w kącik za kominem; dzieci iéy mówiły żeby się nie bała, bo ich Matka taka dobra, że iéy i pieniędzy i szlafroczek dadź każe, a może i co więcéy dla niéy uczyni!

Jak tylko Staś i Olesia usłyszeli że Matka iuż na wschodach, wybiegli naprzeciw niéy, i oboie razem tak iéy niewyraźnie całą historię Elżbiętki rozpowiadali, że ich wcale zrozumieć nie mogła. Na koniec zobaczyła biedną sierotę, i domyśliła się reszty. Pochwaliła dzieciom ich dobry uczynek, zezwoliła na podarunek szlafrocza, a iak ią dzieci zaczęły prosić, całować w ręce, obięcywać że będą grzeczne, posłuszne, obiecała nawet: że ieżeli się odkryje, iż Elżbiętka szczerą prawdę powiedziała, w domu ią swoim zatrzyma, będzie ią żywić i odziewać, i uczyć ią każe szyc i prac. Dzieci nie posiadały się z radości. Właśnie w tę chwilę, iak to zwykło bywać w Marcu, odmieniła się zupełnie pora, ustał śnieg, wiatr rosproszył chmury, pokazało się słońce. Staś i Olesia namówili z łatwością

starego Jacentego, żeby poszedł zaraz z dziewczynką do lakierniczki.

Elżbiętka ledwie pojąć swoje szczęście mogła; całowała ręce, nogi dzieciom i ich Matce; zdjęła iednak wychodząc podarowane trzewiki, chusteczkę, szlafroczek, i obwinęła w swój gałgan. Nie ziadła i połowy bułki i masła, żeby mieć co zanieść dzieciom lakierniczki, a złotówkę pilnie trzymała w ręku.

Matka Stasia i Olesi dała Jacentemu kilka dukatów, aby ie ofiarował tym pocziwym ludziom, którzy choć sami ubodzy, nie odmówili wsparcia i przytulku wdowie i sierocie. Znalazł Jacenty wszystko tak iak Elżbiętka powiedziała; nadto przekonał się na własne oczy, iak biedną była lakierniczka. Ośmioro miała dziątek, a mąż iéy nie dawno z czeladnika na maystra wyszedłszy, mało miał roboty.

Ucieszyli się niesłychanie ei dobrzy ludzie szczęściem Elżbiętki; powtarzali kilka razy Jacentemu, że naylepsze miała serce i skłonności. Pieniądze ofiarowane przyjęli z ukontentowaniem i z wdzięcznością, ale uważali

ie iako dar od Pani Jacentego, a nie iako nagrodę za uczynek, który w ich przekonaniu był raczéo powinnością iak zasługą.

Elżbiétka wrocila z Jacentym do domu Matki Stasia i Olesi; dano iéy wychowanie stosowne do iéy stanu, postępowano z nią łagodnie, ona téż starała się wszystkim pódobać, była usłuźną, pracowitą i szczęśliwą. Staś i Olesia zawsze ją równo lubili. O lakierniczce nie zapomniala ich Matka, dawała iéy mężowi wiele roboty, nastroczala go wszystkim swoim znanym. Elżbiétka odwiedzała ich w każde Świéto i Niedzielę; co tylko miała pieniędzy albo przysmaczków, to im zanosila.

Staś i Olesia zachowali na zawsze skłonność do dobroczynności; ile razy patrząc przez okno w dni mroźne albo niepogodne, spostrzegli starca iakiego lub dziecie drżące, przemokle, i zziębnięte, posylali mu wspomózenie, a iak im Matka dała pieniędzy, zawsze część chowali dla biédnych Elżbiétek. Bóg im téż błogoslawił, wszystko się im wiodło; wyrosli oboie zdrowo, i powszechnie byli kochani.

IV.

K W I E C I E Ń.

W I E L K A N O C.

Swięta Wielkonocne tak ważne i uroczyste dla wszystkich Chrześciańskich narodów, zwiastujące wiosnę, powszechnie wesoło są spędzane, ale nigdzie tyle nie wymagają przygotowań i więcéy nie przynoszą radości iak w naszym kraju. Przy obchodzie świętęy Tajemnicy, gościnny Polak ma ieszcze roskosz częstowania; w dzień Wielkonocny nayuboższy kniotek zarówno z naywiększym Panem, ma czém przyiść w domu swoim; każdy się gości spodziéwa, każdy im rad gdy przyidą, każda się krząta gospodyni, wszyscy się weselą.

Lecz rzadko gdzie Wielkanoc tak suto obchodzoną bywa iak niegdyś bywała w domu Państwa Staropolskich, maiętnych mieszkańców Warszawy. Zachowuiąc oni wiernie dawne zwyczaje, gnieźdząc w duszy pradziadów cnoty, kontenci byli, kiedy mogli dogodzić sercu, suto uczęstować gości, i uraczyć

rodzinę i domowników. Dziesięcioro ich dziątek, w tym samym duchu chowane, tymże przeięte przykładem, równie były gościnné i ludzkie. Przekładały Wielkanoc nad wszystkie Święta, bo Święcone zwabiało wiele gości; a rodzice chcąc ich uczyć zawczasu gościnnéy uprzejmości, pozwalali im mieć także swój własny i osobny stolik. Założony bywał cały ciastami i mięsiwem; wszystko na nim było mniejsze i nie tak wykwintne iak na rodzicielskim, ale przecież wszystko zdawało się dzieciom smaczniéjsze bo własne.

Pani Staropolska skrzętna i gospodarna, zawczasu potrzebne przygotowania na Święta robiła. Pragnąc żeby i córki kiedyś, tak iak ona wszystko w gospodarstwie zrobić potrafiły, kazała im przypatrywać się téy pracy i pomagać nawet niekiedy. Nie trzeba było powtarzać dziewczynkom podobnych rozkazów; z radością odstępowały nauk i innych zatrudnień, dla przygotowań Wielkonocnych. Jednak żeby nie traciły drogiégo w młodości czasu, iak iuż cokolwiek wyrosły, co rok iedną tylko z córek przybięrała Matka do po-

mocy, a drugim, w wolnych od nauk chwilach przypatrywać się kazała.

W roku, o którym tu mowa, koléy pomagania Matce przypadła na trzecią z rzędu; na imię iéy było **Teresia**. **Teresia** dobra była, czuła, usłużna, dowcipna, pilna, i porządna; Nauczyciele byli z niéy kontenci, i Matka z ochotą przybrała ją za pomocnicę. Ale niestety! **Teresia** do tylu pięknych przymiotów iedną łączyła wadę. Niesłychanie była łakomą. Ta wada z piérwszego rzutu oka nie zdaie się zbyt wielką, iednak smutne miéwa skutki! wielu przywarom początek daie, do wielu złego iest przyczyną, do wielu dobrého przeszkodą. **Teresia** nie mogła bydz tak dobroczynną iak iéy rodzeństwo, bo wszystkie pieniądze iakie tylko kiedykolwiek dostała, na ciasteczka, iabluszka, cukierki trwonila. **Teresię** nie tak kochali bracia, siostry i domowi, bo choć miała przysmaczek, to się nim z niemi nie dzieliła. **Teresia** często była przyczyną iż ludzi laiano. Jeżeli zostało co z obiadu lub z wieczerzy, ona to zaraz wyszperała i ziadła w sekrecie, a Matka szafarza

strofowała, że źle szafy zamyka. Teresia nawet nie była tak nabożną iak cała iéy rodzina, bo się nauczyła więcéy bać ludzi iak Boga. Skoro była sama, zdawało iéy się, że iéy nikt nie widzi; a lubo iéy Matka często powtarzała, że Bóg na nas ciąglé patrzy, ona iednak czyniła w iego świętém przytomności, czegoby nie była zrobiła przed trzechletniém dziecięciem. Łaiania rodziców, tysiączne nieprzyjemności, nic iéy poprawić nie mogło. Obiecywała ona często i sobie i drugim odmianę ale za naypiérwszą sposobnością odzywał się zły nałóg. Rodzice ubolewali nad wadą tak szpetną i rodzącą w Teresi tyle przywar i błędów. Na reście wypadek następujący poprawił ją zupełnie.

Kolém pomagania Matce w przygotowaniach wielkonocnych przypadła więc na Teresię. Jak naypomyślniém wszystko się udało. Szynki dobrze uprawione uwędziły się wybornie; ciasto, ktorém naywięcéy gospodynie domu pysznić się zwykły, nad spodziéwanie wyrosło; słowem, kiedy w Wielką Sobotę wieczorem, zastawiono długi stół szynkami, kielba

sami, babami, plackami, iaiami, różnemi pieczywami i wędlinami; kiedy na wyniesieniu umyślnie na to sporządzoném, postawiono w środku na wielkim półmisku baranka z choraągiewką, kiedy obok tego stołu nakryto mniejszy i rozłożono na nim dziecinne Święcone, przystroiono oba bukszpanem, widok był wspaniały, a radość powszechna. Pani Staropolska z upodobaniem spoglądała na swą pracę; dzieci wszystkie założywszy w tył ręce, chodziły koło stołów, a ślinkę połykając myślały z ukontentowaniem o dniu następującym.

Państwo Staropolscy dochowując wiernie wszystkich przepisów Religii, w wielką Sobotę, o godzinie dziesiątej w wieczór, wraz z dziećmi i domowemi chodzili do pobliskiego katedralnego kościoła na Rezurekcyą. Zostawał tylko na dole stróż do pilnowania domu, a na górze ta z dziewczynek, która Matce do Święconego pomagała. I tego więc wieczora poszli wszyscy do Kościoła. Teresia zamknąwszy drzwi od schodów, została się sama. Od rana wielką przykrość w sobie czuła. Widok tylu przysmaczków, łakotek których tknąć

nawet nie mogła dręczył ją, i czynił przymus dla niéy nieznośny. Już go dłużej znieść nie potrafiła! Idąc więc za skłonnością swoją, bieży do sali, gdzie zastawione było Święcone. Chce drzwi otworzyć - zamknięte! Zdziwiona i strapiona, domyśla się, że to przezornéy Matki troskliwość; wie dobrze że tak wielkiego klucza wziąć z sobą nie mogła, idzie więc do iéy stolika, szuka, przewraca i na reszcie znayduje klucz fatalny. Uradowana pośpiesza nazad do sali. Pierwszą iéy było myślą napatrzyć się tak miłego dla niéy widoku, i gdzie nie gdzie schwycić rodzenek, migdałek lub konfiturkę, albo nieznacznie czego uskubnąć! Ale zamiast zaspokoić tém swoje łakomstwo, zaostrza go jeszcze. Im więcej kosztuje, témby więcej ieść chciała. Wziąć w dziecinnego stolika nie sposób, bracia iéy i siostry odkryliby tę szkodę od razu; nakroić zadnego z paradnych ciast nie można, Matka spostrzegłaby bez wątpiénia! ale przychodzi iéy myśl, żeby podnieść iedną z największych Bab, i od spodu szrodek wykroić. „Tego nikt nie zobaczy, pomyślała sobie. Jutro

iak się goście zeydą, Mama przywoła mnie do częstowania i kraiania; zacznę od téy Baby, rozkraję ją całą, i nikt nie będzie wiedział....“ Serce iednak bić iéy mocno zaczęło, zadrzała iéy ręka w moment kiedy nóż wzięła, ale nie zważając na to, wykroiła kawałek i ziadła. Zasmakowało iéy wyborne ciasto natkane rodzenkami, migdałami i cykatą, zapomniała wyrzutów sumienia, i wzięła się do drugiéy Baby; potém do trzeciéy, nareszcie do czwartéy, i póty iadła z ęhciwością i pośpiechem, póki nie uczuła kończąc czwarty kawałek, że ją nudzić zaczęło. Przestała więc na tém; a ledwie miała czas zmieść okruchy, i poustawiać wszystko na swoim miejscu, kiedy usłyszała rumot w domu. Domysliła się, że już wracają z Rezurekcyi. Strach ją ogarnął; zamknęła co duchu drzwi, wrzuciła klucz do matki stolika, i poszła do bawialnego pokoju. Przechódząc ze świecą koło zwierciadła, rzuciła na nie okiem, i postrzegła, że niezmiernie była blada; przyszło iéy w ten moment na myśl: że matka pytać iéy się będzie co iéy iest? co robiła podczas

iéy niebytności? zimny dreszcz przeszedł przez wszystkie iéy żyły, stanęło iéy w oczach iéy przewinienie, i ieszcze się bardziéy zmieniła. Już byłaby chętnie darowała całé Święconé, gdyby można było odmienić co się stało, i cofnąć się wstecz iedną godziną; lecz za późno przyszła iéy ta uwaga. Nie było iuż nawet czasu do rozmyślenia nad tém co uczyniła, bo iuż rodzice stukali do drzwi; drżąc iak listek poszła im otworzyć. Wszysey witać ią zaczęli, winszuiąc wesolého Alleluia; lecz Teresia z trudnością mówić mogła. Spostrzegła to natychmiast Matka i dopytywała się troskliwie co by iéy było? Teresia mogła ieszcze naprawić nieiako błąd swój, przyznaiąc się do winy. Żle za pewne podobną popelnąć zdrożność i tak bydz łakomą, ale szczerość, otwartość, żal naywiększe przewinienia zagładzić mogą. Lecz Teresia nie miała tyle odwagi i zastanowienia. Wszysey domowi, całé rodzeństwo, kilka nawet obcych osób zgromadzonych było! Fałszywy wstyd ią ogarnął, bała się wyiawić przed ludźmi przewiniénia o którém iuż Bóg wiedział, podwoiła ie podlém

klamstwem!... Tak to iedna wina prowadzi do drugiéy, i błąd z występkiem graniczy!... Na zapytanie Matki taką więc odpowiedź wynalazła nieszczęśliwa Teresa. „Znużona długiem czekaniem na Państwa usnęłam sobie; przebudziłam się nagle usłyszawszy hałas, zląkłam się i zapewne z téy przyczyny zbladłam.“ — Czy tylko Teresa czego nie zjadła? rzekł oyciec. — Nie Tato odpowiedziała słabym głosem. — No kiedy tak, to obudź się zupełnie; przypatrz nam się wszak my nie żadni źli ludzie, bać nas się nie powinnaś. Przynieś nam wódki, butelkę wina, i spory kawał ciasta, wypijemy i ziemy sobie razem z naszymi przyjaciółmi i domowými; a potem póydzem spać, żeby iutro wstać rano, póyść do Kościoła, radować się, częstować z serca, i ieść należycie.“ — Ale sala zamknięta, dodała cicho Teresa. — W moim stoliku iest klucz, póydz po niego, Tereniu, rzekła Matka. Teresa chciała ieść, ale iuż nie mogła. Słabo iéy się zrobiło i padła na stółek. Pani Staropolska kazała ją zaprowadzić do łóżka, a druga iéy córka dopełniła rozkazów Oycy, przyniosła cia-

sta wina, i wesoło i smacznie goście dzieci i domowi naiadłszy się, i napiwszy rozeszli się do spania.

Pani Staropolska niespokojna o Teresię, udała się piérwéy do iéy pokoiu. Jakież było iéy zdziwiénie, gdy uchyliwszy drzwi z wolna, uyrzała ią klęczącą na łóžku, i rzewnie płaczącą. — Coż ci to? kochana Teresiu, rzekła do niéy słodkim głosem, nie śpisz ieszcze i płaczesz? — Ach Mamo! odpowiedziała nie-szczęśliwa dziewczyna, zasłaniając sobie oczy rękoma, nie wartam żebyś tak do mnie mówiła! — Jak to? przerwała zatrwożona Matka, czyś co złego popelniła? — Szkaradną winę, skłamałam! — Ty, Teresiu? — Ja; zakradłam się do sali gdzie stoi Święcone, naiadłam się ciasta, i dla tegom słaba. — Wstydz się! zawołała Pani Staropolska groźnym tonem; chciała mówić więcéy, ale Teresa lkając, rzuciła się iéy do nóg. Mamo! krzyknęła wyciągając do niéy ręce; karz mnie iak chcesz, zadaj mi nayprzykrzéysze pokuty, wyiaw moię winę przed wszystkiémi, ale nie patrz na mnie tak surowo! Przyrzekam tu przed tobą i przed

Bogiem, że już nigdy kłamać nie będę, że
 naymnieysze przewiniénie zaraz odkryję, że
 się nigdy nie dam uwieść temu przebrzydłemu
 łakomstwu ale przebacz mi!“ — Tu strumień
 nowych łez przerwał mowę biédnéj Teresi.
 Matka chwieiāca się między wzgardą i poli-
 towaniem podnieść się córce kazała; „Słuszny
 jest twój żal, rzekła do niéy, rozrzewnia on
 mnie, ale winą twoją tak jest wielką, taką
 boleścią przeszła moje serce, że iéy prędko
 zapomnieć nie potrafię!... Czyż nie wiesz
 że nic w domu takięgo nie mamy czembyśmy
 się z wami nie dzielili? czyż nie wstydziłaś
 się wyszukiwać kluczków i w domu rodzicie-
 lskim zakradać się iak złodziey? a nadwszy-
 stko zkąd wzięłaś tyle śmiałości, żeby się
 zhańbić tak podlém i wyszukaném kłamstwem?
 Czyż zapomniałaś że Bóg ciągle na nas pa-
 trzy? że czyta w głębi serc naszych, i że bę-
 dąc sam prawdą przedwieczną, brzydzi się
 kłamliwemi. — O Mamo! słuszne są wszy-
 stkié twoje wymówki, już mi ie sumienie po-
 dało. Już nawet upokorzyłam się przed Bo-
 giem; zalałam się łzami przy wieczornym pa-

cierzu i słyszałam iakby głos iaki w sercu moiem; mowił on: niech ci Rodzice przebaczą a i Bóg gniewać się na ciebie nie będzie; zlituj się więc nademną, przebacz mi! Wszystko uczynię co tylko każesz, ale powiedź że się nie gniewasz, że będziesz mię tak kochać iak dawniey! — W mocy iest twoiëy przebłagać gniew mój i odzyskać przywiązanie; uczynь mocne i stałe przedsięwzięcie poprawy, wezwij Wszechmoenego na pomoc, pracuy usilnie nad sobą, bądź od téy chwili wstrzemięzliwą i szczerą. — Będę nią niezawodnie. Ale Mamo! zaprowadź mnie do Taty, ieszcze on o niczém nie wie. — Wszedł w tę chwilę Pan Staropolski zdziwiony długą nieprzytomnością żony, a równie dobry Oyciec iak tkliwy małżonek, uczuł przy wyznaniu Teresi, to wszystko czego doświadczyła Matka, i podobneż córce dał napomnienia i nauki. Uspokoiona Teresia wyiawieniem swëy winy, pełna najmocniëyszych postanowień, z rozkazu rodziców położyła się. Odeszli od niëy zostawwszy służącą do iëy pilnowania.

Póki byli przy niëy, póki dusza iëy tak

żywo była zaięta trwogą i żalem, nie czuła fizycznych cierpień, ale skoro spokojnięszą moralnie bydź zaczęła, doznała mocnéj boleści zołądka, i przykrych nudności. Ta słabość nie dozwoliła iéy spać nocy całéy; nie szemrała iednak i nie narzekała, bo uważała ją za słuszną karę swégo łakomstwa. — Nazaiutrz rano wstała smutna i mizerna, przywołany lekarz zapisał iéy niesmaczne lekarstwo, i wielką przykazał wstrzemięźliwość w iedzeniu. Całego Święconego w usta nie włożyła Teresia. Patrzyła tylko, iak drudzy iedli, iak iéy bracia i siostry stojąc przy dziecinnyim stoliku częstowali przybyłych gości. Osłabiona smutkiem, bólęciami i bezsennością, nie mogła nawet pomagać Matce do ciast rozdawania; musiała ją zastąpić starsza siostra. Spostrzegła iednak z wdzięcznością, że Matka sama rozkraiała naypiérwéy owe uszkodzone Baby, i ta iéy dobroć rozrzewniła ją do łez, i potwierdziła w przedsięwzięciu poprawy. — Nie ją iuż odtąd w tém chlubném postanowieniu zachwiać nie zdołało; wstrzemięźliwość i miłość nienaruszoną prawdy dołączyła do wszy-

stkich dawnych przymiotów, i w krótcie najmilszą się stała ze wszystkich córek Państwa Staropolskich. Rodzice widząc tę pomyślną odmianę, podwoili dawne ku niéy przywiązanie; po usilnéy pracy pozyskała nakoniec ich, rodzeństwa i domowych miłość i zaufanie.

Oby iéy przykład mógł bydz zbawienną przestrogą dla dzieci mających skłonność do kłamstwa lub do łakomstwa. Oby się przekonać mogły, że nie niéma szkodliwszego od wad i złych nałogów!

V.

M A Y.

IMIENINY ZOSI.

Mała Zosia Rebnicka nie miała i ósmiu lat, kiedy ją srogie spotkało nieszczęście! straciła Matkę! Nadto będąc młodą, nie mogła obiać zupełnie tak okropnéj straty, płakała iednak rzewnie; bo do macierzyńskiego przywiązania łatwo najmłodsze serce przywyka,

i matki starań nikt prędko zapomnieć nie potrafił. Żadne zabawki, ani lalki, ani przechadzki, ani cukierki, nie przez kilka tygodni utulić i pocieszyć biedny Zosi nie mogło; lecz na reszcie przyszedł czas, kiedy zaczęła być spokojniejszą. Został i jeszcze Ojciec, którego bardzo kochała; sługi ją otaczające dogadzały i we wszystkiem; szanując i żal i smutek nie obarczano i żadnemi naukami; Zosia więc żywa, dziecinna, rostrzeżpana, kontenta iż robić mogła coby się tylko podobało, osuszyła łzy swoje, i w przeciągu kilku miesięcy zapomniała prawie o Matce. —

Nie dzieci więc nie psuje iak zupełna wolność. Pan Rebnicki znaczny posiadając w Lublinie urząd, przymuszony był do częstego wyjeżdżania z domu, i nie miał chwili wolnej od zatrudnienia. Brakowało mu czasu do wglądania w postępy Zosi. Przyjął był do i pilnowania uczciwą kobietę; rad był że widział córkę zawsze zdrową, nie pytał się o resztę.

Trzy lata tak minęły. Zosia za życia Matki, już gładko umiała czytać, pisała we

dwóch liniach bardzo kształtnie i foremnie, uczyła się katechizmu, przeszła raz całą historję świętą, umiała na pamięć wiele wiérszy i baiek, i Oycu kilka par pończoch własną ręką zrobiła. Po śmierci Matki długo dla smutku pozwolono iéy nie nie robić; rozbałamuciła się Zosia, i w krótkim czasie straciła zupełnie gust do nauki i roboty. Kiedy ją ochmistrzyni napędzała do pracy, zawsze się wywinąć umiała, i kończyło się na tém: że ziewiając przeczytała kilka kartek Magazynu dziecinného, napisała krzywo parę wiérszy, a potém bawiła się przez resztę dnia.

Ale nie trzeba sobie wystawiać, żeby się Zosia w istocie bawiła; nie! zabawy przyjemne są tylko po użyteczném zatrudnieniu, odpoczynek miły po pracy. Zosia ubieraiać i rozbiéraiąc lalki, stawiając domki z kart, rozkładaiąc wszystkie swoje zabawki, chodząc z kąta w kąt, ziewała bardziéy ieszcze iak przy lekcyi. Póki matka żyła, zawsze była wesołą; nieustannie zaięta, zabawa prawdziwą dla niéy stawała się uciechą, a przekonanie iż dobrze dnia użyła, czyniło ją szczę-

śliwą, i dla każdego przyjemną; teraz chodziła posępna i smutna; nudna sobie, wszystkich nudziła; późno wstawiała, wczas spać się kładła, a kiedy się czasem z próżniactwa po obiedzie na kanapie położyła, usnęła iakby o północy.

Spostrzegł na reszcie Oyciec tę iéy opie-
szałość i lenistwo, i dopytywać się zaczął czy
nie była słabą? zapewniła go, iż się zdrową
czuła, i uspokoił się na czas iakiś. Ochmi-
strzyni Zosi zbyt dobra i powolna, nie śmiała
narażać się Panu, i zasmucać go kiedy już
tyle innych miał kłopotów; nie więc nie mó-
wiła; a tym czasem miesiąc za miesiącem
schodził, Zosia rosła w lata, ale iéy żadnych
przymiotów, ani umiejętności nie przybywało.
Za kilka dni skończyć miała lat iedenaście;
już czwarty rok się zaczął iak iéy Matka
umarła, już przestawała być dzieckiem. Pa-
miewał o tém Pan Rebnicki, przekonany był
o uczciwości i przywiązaniu Ochmistrzyni,
którą przyjął do Zosi, lecz wiedział także:
iż nie była zdolną do udzielenia iéy tych nauk
i talentów, iakiemi on córkę chciał widzieć

ozdobioną; umyślił więc przyiąć iéy różnych Metrów, a że się iéy Imieniny zbliżały, to iéy dać wiązanie.

Zosia w dzień swojego Święta spodziewała się od Oyca iakiéy nowéy lalki albo sukienki; strapiła się więc niesłuchanie, iak się dowiedziała: że zamiast zabawy przysporzy iéy się kilka godzin lekcyi. Zakreśliły iéy się łyż w o czach na to oświadczenie; nie spostrzegł ich Oyciec, i od dnia tege zaczęli chodzić do Zosi metrowie.

Zosia za zwyczaj nie słuchała tego co do niéy Nauczyciele mówili; gniéwała się że często przychodzili wtenczas, kiedy się ona najlepiej bawiła, ale że zdatność miała wielką, pojęcie bystre, i kiedy tylko chciała, pojęła od razu rzecz każdą, osądzili metrowie: że była cokolwiek zepsutą, ale że z czasem przyidzie iéy większa ochota. Płacono ich rzetelnie, przychodzili regularnie. Jednak iuż się rok ich nauk kończył, a Zosia prawie nie umiała. Z Nauczycielem Historyi, ledwie Historią Polską Wagi do połowy przeczytała, a i z téy połowy, mało co mogła powiedzieć;

o dzieiach innych narodów wyobrażenia nie miała. W Jeografii poznała tylko Europę; iéy morza, rzeki, góry, kraie i stołeczne ich miasta, a ledwie wiedziała co to była Azya, Afryka, Ameryka. Nie znała ieszcze dobrze nót muzycznych, i nayłatwiéyszego mazurka gładko zagrać nie potrafiła. Rysuiąc stawiała zawsze krzywe nosy, oczy, i usta; takie same, albo może gorsze, iak na piérwszém lekcyi. Choć czasem przez dni parę uważniéyszą była, wnet wracała do ulubionéy opieszałości, i żadnych w niczem nie czyniła postępów.

Pan Rebnicki (iak iuż mówiłam) nie miał czasu wglądać często w nauki i czynności Zosi; niekiedy chciał żeby mu albo co zagrała, albo przeczytała, pragnął widziéć iéy pismo i rysunki, ale ona podług zwyczaju swego wywineła się zręcznie, zagadała Oycę czem innem; i tak zszedł rok cały!

May, ten naypiękniéyszy z miesięcy, dochodził do połowy. Natura cała po nowem odrodzeniu się, uśmiéchać się do człowieka zdawała; miłym tchnieniem powiewały wietrzyki, słowik głosił wdzięki lubéy wiosny,

powabna zieloność maila gaie, ogrody, pola i łąki. Drzewa owocowe okryte kwiatem zachwycający przedstawiały widok; rozłożysta jabłoń swemi różowo-błademi kwiatkami wzrok i powonienie nęciła, przy niéy bez turecki rozwijał wysmukłe i bogate kiści, a u pnia różnobarwne tulipany bawiły oko różnaitością kolorów. Zbliżały się Imieniny Zosi. Pan Rebnicki po dwumiesięcznéy niebytności wrócił trzynastého Maia do domu. Zastał Zosię znacznie zmienioną; przez ten czas podrosła, utyla, wyładniała, zdawało się: że iéy parę lat przybyło. Uradowany Oyciec pragnął wiedzieć czy głowa i serce równie iak powierchowność zyskały? umyślił więc zaraz nazaiutrz, wypytać się Nauczycieli i Ochmistrzymi, i sam córkę wybadać.

Z żalem dowiedział się iak mało umiała! i iak na próżno dotąd wszystkie koszta łożone były! Ochmistrzyni nie uskarżała się w prazdzie na upór Zosi, ani na krnąbrność, bo Zosia nie była złą tylko leniwą, ale wyznała szczerze: że Panna lubo się z nią nigdy nie śpięrała, nie odpowiadała iéy hardo; nie słu-

chała iéy przecie w niczém. Pan Rebnicki mocno zmartwiony i rozgniewany, zawołał córki do swégo pokoju. Tam zamknąwszy się z nią rzekł do niéy: „Przykro mi iest, iż widzę iak próżne są wszystkie moje zabiegi i wydatki; po stracie Matki twoiéy, z ciebie iedynie spodziewałem się mieć pociechę, a tyś moje nadzieie zawiodła! Lenistwo, opieszałość, zniszczyły w tobie najpiękniéysze przymioty. Za życia Matki, wesola, słodka, dobra, pilna i posłuszna, radością byłaś dla nas i całego domu; dziś zasmucasz mnie i wszystkich! Nie szanujesz Ochmistrzyni obranej przezemnie, nie korzystasz z nauk, na które koszt łożę, iuż kończysz lat dwanaście, za trzy lata dorosłą będziesz panną, a ieszcze nic nie umiesz. Czas więc inne z tobą przedsięwziąć środki; widzę, że inaczéy postępować z niewdzięczném dzieckiem wypada. W przyszły tydzień iadę de Warszawy, wezmę cię z sobą, i oddam na pensyą; może cię przykład innych Panien zachęci do nauki i zatrudnienia, i może mniéy pobłażania u obcych niżli w domu znajdziesz!“

Rozplakała się przełęczniona Zosia na pierwsze słowa Oycy, a gdy skończył wyszła z pokoju, bo iéy łkania nie odpowiedzieć nie dały. Poszła do siebie, a usiadłszy w kątku, gorzko płakała! Pierwszy to raz wżyciu, widziała Oycy rozgniewanego na siebie! pierwszy raz pojęła tę myśl, iżby ją mógł z domu oddalić, i w obce i nieznane oddadź ręce!

Zosia do tych czas nigdy się nie zastanawiała; choć iéy czasem przychodziło na myśl, iż źle, że jest tak gnuśną i niedbałą, oddalała te przypomnienia od siebie; ale w téy chwili otworzyły iéy się oczy; przyszły iéy na pamięć dawne nauki Matki, przypomniła sobie wszystkie przestrogi Ochmistrzyni; obiał się jeszcze o iéy uszy głos rozgniewanego Oycy, i imię *niewdzięczného dziecka* tkwiło w iéy sercu. Wielki przedsięwzięła zamiar! Na-zauiurz przypadały iéy Imieniny. W dniu tym miała właśnie iść do spowiedzi; gotowała się więc przez resztę poranku i przez całe poobiedzie do tego świętego Sakramentu. Wieczór życząc dobréy nocy Oycu, prosiła go o przebaczenie. Już zapomniiał był o gniewie Pan

Rebnicki, widząc żal córki, ale zamysłu swého nie odmienił.

Wstała Zosia raniuténko, przeprosiła Ochmistrzynię za wszystkie nieposłuszeństwa i poszła z nią do kościoła. Ze skrucą wyznała grzechy swoje kapłanowi, słuchała pilnie rad i napomnień iego, i przed obliczem samego Boga obiecała poprawę. Wróciwszy z kościoła poszła do Oycy pokoiu, i rzuciła mu się do nóg. „Kochany Papo! zawołała, iuż ieden Oyciec przebaczył — moje winy i ~~przysięgę~~ obietnicę poprawy, niech i drugi to samo uczyni! Wczoray przez dzień cały i przez dzisieyszą noc zastanawiałam się ilem was obudwóch obraziła, ilem zasmucić musiała cień ukochanáy Matki! zasilona łaską Sakramentu Pokuty, wsparta radami kapłana, nowe przedsięwzięłam zamiary; ale, kochany Papo! chciéy mi przyrzec, że wysłuchasz moiéy prośby. Rok ieszcze ieden zatrzymay mnie przy sobie; zostaw mi Ochmistrzynię, metrów; ieżeli od dziś za rok, żadnéy we mnie nie zobaczysz odmiany, na ten czas zrób ze mną co ci się podoba!..“ Tu lzy przerwały mowę

Zosi, podniósł ją rozczulony Oyciec i rzekł: „Przystaię na twoię prośbę, ale pamiętaj o obietnicy. O dawnych błędach chętnie zapomnę, jeżeli ie nowemi cnotami nagrodzisz.“

Uradowana Zosia pobiegła zaraz do swego pokoju; wszystko w nim znalazła porozrzucane; poukładała porządnie książki, papiéry i rzeczy; zabawki i lalki w iedno wielkie wpakowała pudło, a iak po obiedzie małe iéy sąsiadki przyszły winszować Imiénin, rozdawała im ~~niezbyt~~ najmłodsze.

Nazaiutrz wstała o godzinie szóstey, ~~nie~~ wiwszy iak naynabożniéy pacierz, klękla przed Matki obrazem. Wisiał on oddawna nad iéy łóżkiem, ale iuż od iakiegoś czasu rzadko kiedy na niego patrzyła. „O Matko! rzekła, gdyby nie twoia śmierć, byłabym zawsze szczęśliwą, prowadziłabyś mię była ciągle, a twoia córka posłuszna, tobie nie byłaby nigdy zbłądziła. Twoje nauki, twoie przestrogi tak były łatwe, tak miłe... byłam dobra, nie wiedząc sama że nią iestem... dziś dopiéro czuję, ilem w tobie utraciła!.. Ty która tak dobrą byłaś, zapewne iuż iesteś w Niebie, przyczyn się

więc za mną do Boga, proś go o pomoc i wsparcie w moich zamysłach; niech będę kiedyś choć trochę podobną do ciebie, niech się stanę Oycu pociechą!“ Spoyrzała wtedy Zosia na obraz; twarz Matki zawsze miła i powabna, zdawała iéy się nabierać nowego wdzięku i przymilénia; podniosła się uzbroiona odwagą i stałością, zaczęła się gotować do lekcyi. Jak przyszli metrowie oświadczyła im sama, że tyle dołoży pracy: iż w krótkim czasie nagrodzi rok marnie stracony; ucieszyli się metrowie, i ze swoiéy strony obiecali starania podwoić. Do obiadu przyszła porządnie ubrana, i z wypogodzoną twarzą; było parę osób obcych, słuchała ich rozmowy i nie znudziła się wcale. Pragnąc zupełnie przypodobać się Oycu, patrzyła mu tylko woczy czy czego nie potrzebuie? i nim ieszcze chęć swoię wyraził iuż starała się iéy dopełnić. Po obiedzie wzięła się do roboty; czytała głośnie przed Ochmistrzą; iakże iéy potem przyjemną była przechadzka i rozrywka! a iak miły ten moment, kiedy idąc spać, mogła śmiało zdać Bogu z upłynionégo dnia rachunek, spoyrzeć, z radością

na Matki obraz, i powiedzieć sobie: „Dziś Mama kontentaby ze mnie była!”

Przez pierwsze dnię ta nagła zmiana, to nieustanne zatrudnienie i czuwanie nad sobą, po tak długim lenistwie i roztrzepaniu przykre iéy były, wiele musiała pracować, często wzywać pomocy Boga, i Matki; ale na reszcie przywykła zupełnie do tego nowego sposobu życia, i z największą go dopełniała roskoszą i łatwością. Oyciec spóźnił ile możności swój wyjazd do Warszawy, żeby się przypatrzeć pomyslnéy odmianie córki swoiéy; iak potem wrócił, ledwie ją poznał, tyle ją zbogaconą w prawdziwe uyrzał wdzięki. Odzyskała w krótkim czasie swobodę i wesołość pierwszych lat dziecinnych; znaczne postępy w naukach, talentach, i robotach kobiecych czynić zaczęła; zawsze zaięta i zatrudniona, nigdy ani siebie ani innych nie nudziła; a kiedy za rok nadeszły znowu iéy Imieniny, pobiegła śmiało do Oycę, i zapytała się z uśmiechem: czy ją odda na pensyę do Warszawy? Pan Rebnicki zamiast odpowiedzi, uściskał ją czule. Obchodzono uroczyście Zosi Imieniny, i rocznicę

tak pomyślnego przedsięwzięcia. — Odtąd czwarta wiosna już minęła; Zosia zawsze jest taką iaką bydz obiecała; szczęście sprawia Oyca i uprzyjemnia życie tych, którzy ją otaczają.

VI.

C Z E R W I E C.

B U K I E T z R Ó Ż.

Wsrzód Czerwca, w dniach naydłuższych z całego roku, Emilka i Marynia córki Państwa Tamińskich, poiechaly z rodzicami swemi do Krzeszowie. Są to naysławniéysze polskie kąpiele o trzy mile od Krakowa. Przyzwyczajone do nieprzezyrzanych okiem równin Mazowsza, z zdziwieniem przyglądały się pięknym tych stron okolicom. Zachwycaly się wspaniałe Karpackie góry; przepyszne Teneczyna, Oycowa widoki; a skoro stanęły na mieyseu umyśliły sobie, że codziennie na dalekie chodzić będą przechadzki, żeby poznać

dobrze Krzeszowie położenie. Matka ich dla wzmocnienia osłabionego zdrowia do wód przyjechawszy, towarzyszyć im nie mogła; ale dziewczynki miały przy sobie starą kobietę, bardzo poczciwą, która ich od pieluch wychowała; nazywano ją Walentową; z tą więc odbywały wszystkie przechadzki.

Emilka i Marynia najlepsze miały serce; wielbiły Matkę, uczyły się dobrze, ale iednak miały swoje wady, i dla tego chociaż się serdecznie obie kochały, częste między niemi zachodziły sprzeczki. Emilka była powolna, rozsądna i słodka, lecz przyzwyczajona do pochwał, do pieścizot i do pierwszeństwa, iako przyjemna i naystarsza, nabrała cokolwiek samolubstwa i zarozumienia o sobie; zdawało iéy się: że wszystko iéy naypierwszém się należało. Marynia żywa, prędka, obraźliwa i sprzeczna, ustępować nie lubiła; i ztąd częste dwóch siostr zatargi. Strofawała ie o to Matka, wystawiała, im iak to brzydko, kiedy rodzeństwo w niezgodzie żyje, ale mimo tego dziewczynki bynajmniém się nie poprawiały. Nie było dnia bez kłótni; prawda że te zatargi

nie długo trwały; obie siostry poróżniły się i pogodziły w iednéj godzinie, ale przecież ten nałóg truł im życie, i wielu osobom złe dawał mniemanie o ich sercu, i wychowaniu.

Wciagu podróży i w piérwszych dniach po przyjeździe do Krzeszowic, Emilka i Marynia nie tak zajęte iak w domu, więcéy miały czasu do rozmowy, do zabawy, a przeto i do spierania się. — Osób było wiele w Krzeszowicach, Państwo Tamińscy z wielką biedą szczupłego pomieszkania dostali; dwa tylko mieli pokoiki, wszystkie rzeczy razem pomieszczane były, i z téy niedogodności powstawały nieustanne między siostrami sprzeczki. Emilka n. p. przywłaszczyła sobie ieden stolik i stółek, inż Maryni przystąpić do niego nie dała: *a to moje miejsce!* wołała z daleka, skoro się tamta zbliżyła, *nie ruszaj!* Marynia odpowiadała iéy z żywością, i o tém podobne rzeczy, dąsały się na siebie po kilka razy na dzień. Matka słabsza po piérwszych kąpielach, zmęczona trudami podróży, nie mogła tyle zważać na córki iak za zwyczaj; poczci-

wa Walentowa nie im nie mówiła, a dziewczynki coraz więcej się kłóciły.

Razu iednego nad wieczorem, wyszły na zwyczajną przechadzkę, a obie niezmiernie kwiaty lubiły. Miały ten gust od Matki, ona nad wszystkie ozdoby i stroje, skromny kwiatek przekładała. W iéy ogrodzie pełne ich było; miała wiele roślin swojskich i zagranicznych, i nie było dla niéy miłszego podarku nad bukiet. Wiedziały o tém dziewczynki, i ile razy wyszły z domu, tyle razy drapały się po górach, zapędzały się w doliny, wąwozy, na łąki i nawet w zarośle, żeby iéy iak największy pęk kwiatów zbiierać. Razu iednego wyszły więc obie; stara Walentowa szła za nimi zdaleka, bo im nadążyć nie mogła. Właśnie przed godziną upadł był deszcz ciepły i obfity, znikły chmury i obłoki, i odsłoniły piękny błękit nieba; promienie zachodzącego słońca odbijały się w kroplach wody, niemal na każdym pozostałych liściu; było drapiąc się na zielone wzgórki pożerało ehciwie odżywioną trawkę; niezliczone mnóstwo kwiatów ieszcze pączkami przed ulewą,

słodkim wzmocnione deszczem, rozwinęło się zupełnie. Emilka i Marynia nie poymowały się z radości; nie wiedziały w którą biedz stronę, iakie kwiaty naypiérwéy zrywać? a kiedy już każda po wielkim bukiecie miała w ręku, chciały wracać do domu uradowane, że Matce przyjemność sprawią.

Idąc spotkały na drodze wieśniaczkę w wielkim będącą kłopotcie. Niosła iedną ręką kosz chust pełen; w drugiéy miała dzban wody i krowę pędziła przed sobą; chłopczyna dwóletni stał obok niéy, i ciągnął ją za spódnice. Nie chciał on żadnym sposobem iść daléy; wyciągał ku Matce ręczyny i płakał, żeby go na ręce wzięła. Kobiéta na próżno go namawiała żeby szedł daléy, uparł się, tupał nóżkami i stał na mieyscu. — „Nie możecie tylu rzezom wydolać, rzekła Emilka, zbliżaiąc się do wieśniaczki; wasz chłopczyna widzę zmęczony; wezmę ją go na ręce! Walentowa pozwoli? wszak ja nie raz w domu mego najmłodszego braciszka nosiłam? Zapewne tuteysi iesteście?“ — „Tu mieszkam niedaleko odpowiedziała kobiéta, schylaiąc się do nóg

Emilce, wielmożna Panna taka łaskawa! Ka-
załamci ia starszemu chłopcu, żeby przyszedł
do mnie, do studni, ale te dzieci to o niczém
nie myślą. Niewiem doprawdy iak mam Pa-
nience za iéy dobroć dziękować!“ — Emilka
oddala swój bukiet staréy Walentowéy, i
wzięła chłopczynę; z początku nie chciał na
nią patrzeć, ale iak go pocałowała kilka ra-
zy, uśmiéchać się do niéy począł; wziął ią
za szyję iedną rączką, a drugą bawił się pu-
klami iéy włosów, i wyciągał kwiatki, które
sobie za warkocz włożyła.

Tym czasem krowa poszła w bok; chłopka
postawiła dzbanek na ziemi, żeby pobiedz za
nią; Marynia wzięła go chcąc także przysłu-
żyć się téy wieśniaczce. Jak wróciła z krową,
nie umiała wyrazić wdzięczności swoiéy do-
brym panienkom. Walentowa niosła kwiatki,
parę razy chciała odebrać Emilce chłopczyka,
Maryni dzbanek, ale one oddadź nie chciały.
Cokolwiek zmęczone, doszły wnet do blizkiego
chłopki mieszkania. Przed progiem bawił się
piaskiem sześćioletni chłopiec; złaiała go Ma-
ska że do néy nie przyszedł; zawstydzony

chciał odebrać brata z rąk Emilki, ale dziecinie tak się podobała młoda dziewczynka, że iéy nie opuścił póki mu chłopiec kawał chleba z serem nie pokazał. — Usiadły siostry i Walentowa na ławie, a kobiéta poszła zamknąć krowę w oborze. Była to żona wyrobnika dobrze się mającego; miała ogródek i w nim owoce i kwiaty; weszły do niego dziewczynki i zdziwiły się niesłychanie, gdy spostrzegły w sadzie krzak, cały okryty świeżo rozwiniętymi różami. Zaczęły ie chwalić, unosić się nad tém, że tak rychło kwitły, ale urwać nie śmiały. Wyszły z ogródka, a chłopka wróciwszy, prosiła ich i Walentowéy, żeby się zatrzymały i wypily choć szklanekę mleka; podziękowały iéy uprzejmie siostry, bo już im było pilno do Matki; już i tak dłużej się zabawiły iak za zwyczaj. Pożegnały się i odeszły. Chłopka odprowadziła ie aż do samych drzwi ich mieszkania, i przez całą drogę dziękowała im za ich dobre serce.

Emilka i Marynia uradowane z przechadzki, pobiegły do rodziców; opowiedziały im całą przygodę, i unosiły się nad róż pięknoscia.

Wieśniaczka wróciwszy do domu, dowiedziała się od syna: że panienki bardzo kwiaty chwaliły; zaraz więc nazajutrz urwała wielki bukiet, zanosła do mieszkania Państwa Tamińskich, i oddała Walentowéy. — Emilka wstała piérwéy od Maryni; wychodząc przed dom, spotkała Walentową z ogromnym pękiem róż, i zgadła od razu kto go przyniosł. „To zapewne od téy chłopki, która nas tu wczoray odprowadziła?“ — „Tak iest, odpowiedziała Walentowa, przyniosła go tu raniuténko.“ — „A nie mówiła dla którój z nas te róże?“ — Nie. — „Pewna iestem że dla mnie, rzekła Emilka i pobiegła z radością do siostry.“ — „Chodź, chodź, wołała na nią uchyliwszy drzwi; patrz! iaki mam śliczny bukiet; wczoraysza chłopka go przyniosła.“ — Marynia wybiegła do sieni; A mój gdzie? spytała się. — Niéma drugiego dla ciebie, ale ja ci dam róż parę; a to schowam dla Mamy, dam iéy skoro się obudzi; inż widzę iak będzie kontenta! — Te kwiaty pewno są dla nas obudwóch! dodała Marynia.

Emilka. Nie! dla mnie saméy.

Marynia. Zkąd że to wiesz? któż ci to powiedział?

Emilka. Nikt, ale wiem że dla mnie.

Marynia. Ciekawam bardzo dla iakiéy przyczyny?

Emilka. A wszak ja niosłam dziecko?

Marynia. A ia czy niedźwigałam dzbanka?

Emilka. Ja pierwsza róże spostrzegłam.

Marynia. Ja naywięcéy ie chwaliłam.

Emilka. Ale ia iestem starsza i zasługuie na to pierwszeństwo. Wszak ci daie róż kilka?

Marynia. I ia bym téż dzielić się chciała.

Emilka. Co za upór! i o co? o róż kilka!

Marynia. Ja niesprawiedliwości nie lubię.

Emilka. Powiedz lepiéy żeś strasznie wymagająca i sprzeczna. To nie dosyć dla Maryni połowa mego bukietu?

Marynia. Nie dosyć! ia chcę albo wszystko albo nic.

Rozgniewana Emilka iuż nie nie odpowiedziała; cisnęła róże na ziemię i wróciła zasępią do pokoju. Nie podniosła Marynia bukietu, nie dostała go Pani Tamińska, i

zwiadł w kącie sieni. Dąsały się obie siostry przez dzień cały. Zachodziły i pierwéy między niemi sprzeczki, lecz żadna nie trwała tak długo iak dzisieysza; piérwszy raz w życiu tak się rozgniewały na siebie! Nic im się też tego dnia nie darzyło, żadna nauka się nie udała, żadna zabawa się nie powiodła; na zwyczajną przechadzkę nie poszły. Zle rozumiana duma, nie dozwalała im przystąpić do zgody. Unikała iedna od drugiéy; chodziły obie zasepione i smutne. Spostrzegła to Matka, i wieczór gdy już spać iść miały, zaczęła się pytać o przyczynę téy zmiany? Przyznały się zaraz i całą iéy opowiedziały przygodę. — „Czyż może bydz, zawołała Pani Tamińska, aby dwie siostry o tak małą rzecz dzień cały z sobą się gniéwały? aby dwie siostry nie chciały się dzielić wszystkiém, i wszystko mieć wspólne? Tak dziwném iest takowe postępowanie, że nie postalo w głowie prostéy chlopki. Nie powiedziała że dla was obu dwóch przymosła ten bukiet, bo sądziła, że dwie siostry łatwo się tego domyslą, i zgodzić się potrafią! — Już oddawna przestrze-

gam was i napominam, skoro tylko sprzeczkę iaką między wami usłyszę; nie chcecie mnie słuchać i coraz bardziéy wkorzenia się w was ten nalóg. Kochane dzieci moje! ieżeli dbacie o szczęście wasze, pozbądźcie się téy wady! niéma boleśniéyszego widoku nad swarzące się rodzeństwo! Dziś kwiatek klótni między wami iest przyczyną, bo w wieku waszym drobnostki naywięcéy zajmują; ale późniéy iak będziecie starsze, iak będziecie miały dostatki, maiątki, możecie się zupełnie poróżnić; gdyż im ważniéyszy powód do klótni, tym wlekszy gniéw, tym trudniéysza zgoda, i z niesnasków do nienawiści przyić można! Pamiętajcie sobie, kochane dzieci, co by się ze mną, z waszym Oycem działo, iaki byłby słuszny gniéw Boga, gdyby wy z iednych rodziców zrodzone, toż samo odebrawszy wychowanie, wy przeznaczone do iedności i kochania wzaiemnégó, gdybyście wy nienawidzić się miały? Dla kilku słów nieprzyjemnych dzień cały stał wam się nieznośny; ieszczem was nigdy tak smutne nie widziała! w cóż by się obróciło całe wasze szczęście, cała spo-

koyność, gdybyście się doprawdy, i bez nadziei zgody pognięwały? A powoli przyiść by do tego mogło? Już od kilku czasów coraz częstsze były wasze sprzeczki, już przyszło do cało dziennéy niezgody, kto wie czy...

„O Mamo! przerwały iéy obie siostry zapłakane, przestań! nie mów już więcéy! my byśmy się nienawidzić miały? i bez nadziei zgody gniéwać się mogły? Przepraszam cię, przepraszam, dodały obie ściskając się wzajemnie, nie gniéway się na mnie, nie gniéway! powtarzała kilkakrotnie iedna drugiéy ze łzami.“

— „Przyrzekniycie tu, kochane dzieci, powiedziała Pani Tamińska, Bogu, mnie i sobie, że odtąd nigdy swarzyć się nie będziecie.“

Przyrzekamy! krzyknęły ~~razem~~ dziewczynki klękając u nóg iéy; podniosła ich matka, przycisnęła do łona swoiého i rzekła: „Jak tu w sercu moiém razem iesteście, tak zawsze razem bądźcie ściśle i nieprzerwanie złączone.“

— Po długiéy ieszcze rozmowie, po powtarzanych przepraszaniach i obietnicach, poszły spać obie siostry. Długo nie podobna było im usnąć; rozmyślały nad słowami Matki, i

plakały rzewnie wystawiając sobie, dokądby ich niebezpieczny nałóg sprzecznania się mógł zaprowadzić. W tym samym pokoju stały ich łóżka; zmiarkowały się w krótkce, że sen iak od iednéy, tak i od drugiéy ucieka.“ Nie spisz, sioostro, mówiły do siebie, a nie gniewasz się na mnie? — „O nie! odpowiadały na wzajem; nigdy iuż, nigdy, gniewać się nie będziemy!“

Ledwie o drugiéy po północy usnęły; iuż była osma iak się obudziły, iuż matka oddawna nie spała. Spoyrzały się obie mile na siebie, wstały, uściskały się czule, i lzy zakręciły im się w oczach. Matka poszła się kąpać; odprowadzając ją do łazienki, spostrzegły w sieni zwiędły bukiet w kącie. „O te nieszczęśliwe kwiaty!“ zawołała Marynia. — „Owszem, lubię je, przerwała iéy Emilka, gdyby nie one, gdyby nie ta nadzwyczajna kłótnia, nie byłyby na nas tyle wrażenia słowa Mamę uczyniły; może byśmy się ieszcze były długo, tak iak dawniéy spierały.“ — „Prawdę mówisz, odpowiedziała Marynia podnosząc z ziemi zwiędły bukiet, schowaymy

go sobie. Gdyby nam kiedy (o czém iednak wątpię) przyszła ochota się swarzyć, iego widok pogodziłby nas w momencie.“ — Przy-
stała na to Emilka, bukiet starannie zasuszony i schowany został; kiedy czasem skutkiem długiego przyzwyczajenia, dwie siostry zbyt żywo rozmawiać z sobą zaczynały, na samo iego wspomnienie, przerywały mowę i całowały się czule.

Odtąd róża stała się ulubionym dwóch dziewczynek i ich Matki kwiatem. Wróciwszy do wsi swoiéy, posadzały niemi ogródki; i skoro Czerwiec nastawał i róże rozkwitały, stawiała im przed oczy ta cała przygoda; powtarzały z uczuciem, że obietnicy święcie dotrzymaia, i nigdy klócić się nie będą.



VII.

L I P I E C.

UL.

Ze wszystkich krain zostających niegdyś pod berłem polskim, niema piękniejszėy i bogatszėy nad Ukrainę. Tam ogromne niwy niezmierzone okiem, plenny kłos wydaia, buyna trawa zarasta niezmierne stepy, i tuczy niezliczone stada bydła, koni i owiec. W południowėy części, widziéć można sady morwowe, winne latorosle; brzoskwinie dochodzą bez osłony, soczyste arbuzy, pachniaące melony rosną na zagonach, roje pszczoł naywyborniejszy miód wydaia; słowem: iest to ziemia obiecana, w którėy rolnik z małą pracą wyżywia siebie i liczną często rodzinę, a tém co mu zbywa, wspomaga w potrzebie dalekie narody.

W tėj to krainie, niedaleko rzeki Samary, bogaty ieden dziedzic znaczne posiadał włości; wielkie miał dochody z licznych stad, z żyznych obszarow, lecz równą mu pszczoły czyniły

intratę. Hodował ie starannie, a miód podbiérany tak był czysty, biały i smaczny, że ze wszech stron przyjeżdżano go kupować. Dziedzie ten był Oycem kilkorga dziątek; Jaś, syn iego naystarszy kończył iuż rok dwunasty. Jaś miał serce dobre, głowę otwartą, poięcie bystre, zwinny był, zręczny, usłużny, ale nadto żywy i nieuważny, przyzwyczaił się od dzieciństwa wszystkim figle płatać, rozmaite szkody wyrządzać, i doskonałym był psotnikiem. Wybiérał gniazda biednym ptaszkom, trząsał niedoyrzałe owoce, łamał drzewa, tłukił szyby w oknach, psuł wszystko co napotkał, dawał i plamił suknie. Wszędzie go było pełno, każdemu dokuczył, wszystko ruszył, co mógł zniszczyć. Jak tylko gdzie znalazł kawałek szpagatu albo tasiemki, natychmiast skreślił sobie biczyk, biegał z nim po wszystkich pokojach, trząsał na tę i na ową stronę i nie raz ledwie oczów nie wybił braciom i siostrom swoim. Nic przed nim nie uszło, wszędzie zayrzał, wszystko zobaczył; nie raz z brogu, nie raz z drzewa zleciał na ziemię; raz wpadł w rzekę i mało nie utonął. — Oyciec gdzieś

wyiechać musiał, zostawił dzieci wszystkie w domu; miał piękne meble, stoły, szafki, bióra, komody mahoniowe; kanapy i stolki materyą iedwabną okryte. Jaś tak pięknie w niebytności Oyca gospodarował, że wszystkie stoły, szafki, bióra i komody na około poebrzynał, a na stolkach i kanapach wielkie plamy masłem porobił.

Nie skończyłabym tak prędko, gdybym chciała wszystkie psoty Jasia wyliczać, on by ich sam zrachować nie mógł, bo codziennie nowe płatał. Na próżno Oyciec go łaiął, bił, na pokutę osadzał, nic nie pomagało. Jaś zawsze nieprzystoynie ubrany, sińce miał po całym ciele, oczy podbite, po kilka guzów na czole. Niczego mu nastarczyć nie można było, i choć mu daleko więcej sprawiano iak innym dzieciom, on zawsze był brudny, zawałanu i obdarty. Suknie iego tak były poszarpane, kapelusz tak połamany, koszula tak zgnieciona, że kiedy kto z obcych do dworu zaieżdżał, Jaś zawsze pędem uciekał, krył się po kątach, żeby się nie pokazać gościom. Nie raz mu Oyciec mówił: ey, Jasiu, Jasiu! przeplacisz

ty drogo swoją swawolę! Jaś iednem uchem słuchał Oyca, a drugie nadstawiał, czy mu się iaka sposobność zrządzenia komu figla nie zdarzy. Czynił to nie ze złego serca, bo dobrym był w gruncie, ale z nieuwagi, ze zbytniey wesołości, i z tey niebespiecznéy chętki, którą mają często dzieci żeby wszędzie zayrzéć, wszystko ruszyć, do wszystkiego się wmieszać.

Każdemu wiadomo, że ze wszystkich miódów naszych najpiękniejszy i naylepszy iest Lipiec; biały iak śnieg, słodki iak cukier, zapach i smak ma wyborny. Zowią go Lipcem dla tego: iż w tym miesiącu podbiérany bywa, i że szukaia go pszczoły na lipach okrytych wtedy wonnym kwiatem. — Jaś słyszał iuż nie raz o tym przedziwnym miodzie, i ieszcze w Maiu pomyślał sobie: iak Lipiec nadeydzie, nie będę ia czekał póki bartniki mego Oyca miodu podbiérać nie zaczną, dam sobie sam radę! Jeszczem téż nigdy ulu wewnątrz nie widział, a tam ładnie bydź musi!

Opodal od domu był wielki pszczelnik; w nim stało kilkaset pni pszczoł. Naystarszy bartnik klucz miał od téy zagrody, parkan

wysoki otaczał ją w koło. Jak Lipiec nadszedł, Jaś myślał długo, iakimby się to sposobem dostać do pasieki? parkan był gładki, wniśdź po nim nie można było, ale nareszcie postarał się w sekrecie o drabinę; dnia iednego wstał bardzo rano, kiedy ieszcze wszyscy spali i z pracą przyciągnął ją pod pasiekę. Przy-
stawił do parkanu, wszedł po niéy na sam wierzch, stanął mocno, i z wielką biędą udało mu się przelożyć ją na drugą stronę. Kontent że mu wszystko szło szczęśliwie iak z płatka, zszedł po niéy na dół, a gdy się uyrzał w pasiece, podskoczył z radości. Włożył rękawiczki na ręce, narzucił chustkę na głowę, potém włożył kapelusz, ażeby się choć cokolwiek od pszczoł osłonić. Zbliża się do pierwszego ula ... zalepiony! wsródku tylko był mały otwór, ale dla pszczoły nie dla niego. Nosił on zawsze przy sobie nóż spory, który mu do wszystkich szkód służył, dobył go i póty dłubał, skrobał, wyrzynał, próbował, póki ula nie otworzył.

Smiało wyciągnął Jaś rękę i chciał wyiąć plastr miodu. Pszczoły ktore wtedy naygorsze

kiedy się im robota zabiera, wysypały się roiem: dwie wkradło się pod chustkę. Chcąc się od nich obronić, przez nieostrożność zrzucił i kapelusz i chustkę, i tak całą twarz i głowę odsłonił. Opanowała go roziątrzona rzesza; na próżno oganiał się, uciekał, wszędzie go ścigały; iad swój i żądła wpuszczały w twarz, w głowę i w szyję szkodniką, tak że na ostatek ze strachu i z bólu z całej mocy krzyczyć zaczął. Usłyszał krzyk ten bartnik, który wtedy szedł do pasieki, i podług zwyczaju swego codziennie dla opatrzenia pszczół odwiedzał; niechciał iednak wierzyć żeby ten głos był ztamtąd, bo nie poymował iakimby sposobem mógł się kto dostać do niéy bez klucza. Otworzył iednak drzwi, i z zadziwieniem i z przestraczem zobaczył Jasia leżącego na szrodku, i prawie w konwulsyach z krzyku, boleści, i przestraczu. Znali wszyscy domowi iaki z niego był rozpustnik, domyslił się więc bartnik co go tam sprowadziło. Przelękniony widząc Panicza w tak okropnym stanie, porwał co go tchu na ręce, okrył połą sukmany, i pobiegł co sił do dworu. Twarz

Jasia tak strasznie spuehła, i zaogniła się, oczy tak mu na wierzch wyszły, iż rodzony Oyciec ledwie go poznał, a on ani iego napomnień i pożałowań, ani płaczu rodzeństwa i domowych słyszeć nie mógł, bo zupełnie od zmysłów odszedł. Rozebrano go naprzód, bo kilka pszczoł zakradło się aż pod suknie; powyimowano żądła, obłożono mu twarz całą i głowę błotem; niezmierny ból cierpiał, przez dni kilka taką miał gorączkę, że z łóżka niemógł się wyruszyć; bali się długo, żeby nie oślepl, gdyż koło oczu największe było nabrzmienie, i wszyscy uznali: że gdyby Bóg litościwy nie był w tę chwilę bartnika do pasieki przyprowadził, byłby Jaś skonał na miejscu. Kilka tygodni minęło nim do siebie zupełnie przyszedł, a na całe życie iedno oko zrobiło mu się od drugiego odmienne, bo powieka długo zagoić się nie chciała.

Tak srogą i okropną naukę dostał Jaś, pokazał czas że wyszła mu na dobre. Tyle ucierpiał, tak długo chorował, że po tym przypadku odzwyczaił się zupełnie od zrzadzania szkody; chociaż żywy, stał się uwa-

żnym, powolniejszym; słuchał Oycà i starszych, nie mieszał się już nigdy do tego co do niego nie należało, i odtąd już ani sobie, ani drugim nie czynił przykrości. — Już wyrosł słuszny, i ile razy spojrzy się w zwierciadło, i zobaczy krzywe oko swoje, tyle razy dziękuje Bogu, że mu dał taką naukę, i że tak szpetny nałóg który mógł nawet zepsuć serce iego i charakter, tak mały mu tylko szlad zostawił.

VIII.

S I E R P I E Ń.

Ż N I W A.

Każdy kray ma miesiąc ulubiony: iest niemal w każdym pewna pora, cel wszystkich nadziei, która wynagradza trudy całoletnie, a tak panom iak wieśniakom byt i wyżywienie zabezpiecza. Takim iest Wrzesień i Październik w kraiach winorodzących, takimi-zimowe miesiące w północnéj strefie, takim-sier-

pień u nas. Doliny, góry, pagórki, równiny, wszystko okryte dojrzewiającym plonem; zgina się kłos ku ziemi pod ciężarem swoim, dopieka słońce, wietrzyk lekkim powiewem buia zboże, i spokojnym niwom niespokojnéj wody daie podobieństwo. Przepiórka wzlatuie tu i owdzie; kryie się między kłosy i woła: *Póǳcie żąć, póǳcie żąć*; gospodarz powolny tym przestrogom oddawna dawany, zbiera robotników, namawia ich z okolic, prosi Boga o pogodę; a dzieci wszystkie tak w chatce iak w pałacu cieszą się; bo widzą że się przyjemna praca gotuie.

W przeszłym roku żniwo dosyć było pomysłne, przez lato nadzwyczaj piękne i gorące, dojrzało prędko zboże, a dopiero na Niebie był Sierpień, kiedy już ochoczo wszyscy do zbierania się wzięli. — W iednéj wsi o kilka mil od Warszawy, mieszkał poczciwy rolnik, na imie mu było Paweł. Od lat ośmiu się ożenił, i czworo miał drobnych dziatki. Pilny, robotny, w Niedzielę tylko do karczmy chodził, i nikt go piianym nie widział. Z iednym parobkiem i dziewuchą, dla dworu i dla sie-

bie wystarczył; nigdy nie był panu dłużny, zawsze pańszczyznę odrobił; nayraniéy siał, naywcześniéy zbierał, i chociaż dopiero od trzech lat był na gospodarstwie, miał się wcale nie źle. Żona iego Marcycha równie była dziarska i ochocza do pracy; czystość, porządek utrzymywała w chatce; gotowała ieść smaczno, umiała koło nabiału chodzić, przędła pięknie, dzieci codzién myła i czesała; a kiedy w niedzielę szła z niémi do kościoła, dziwił się każdy iak schludnie i biało ubrane były, iak cicho i spokojnie w Domu Bożym sprawowały się.

Wież gdzie Paweł był gospodarzem, należała do bardzo dobréy i cnotliwéy Pani; nie miała ona iuż męża, całą iéy pociechą był syn dwunastoletni, i dwie córki młodsze od niego. Synowi na imie było Leoś, iedną córkę zwano Karoliną, a drugą Polusią. Karolina miała iak naylepsze serce i wielkie poięcie; z dzieciństwa była upartą i szrzeczną, zasmucała często Matkę, i przymuszała do karania iéy; ale z wiekiem nikać poczęły te wady, i w iedynastym roku, Karolina słodka, dobra, posłuszna, nigdy

Matki nie martwiła, uczyła się dobrze, w zgodzie żyła z rodzeństwem, i od wszystkich była kochaną. Z Polusią nigdy nikt wielkiéy nie miał biédy; od naymłodszege wieku zawsze była potulną i dobrą; niezmiernie czuła, dawniéy o naymniéyszą rzecz płakała, i za to ią trochę łaiano; bo nie ładnie, kiedy mała pannenka iest płaksą; ale iak do pewnych lat doszła, poprawiła się z téy wady, i stała się wraz z Leosiem i Karoliną szczęściem dobréy Matki. Leos naystarszy wróżył z młodu, iż kiedyś ozdobą będzie rodziny swoiéy, i chluba Oyczyzny! Charakter iego śmiały, żywy i otwarty, serce dobreczynne i zdolne do kochania, dusza uwielbiaiąca cnotę, i unosząca się nad każdym bohaterskim czynem, rozum poiętny i zastanawiający się, wszystko było zakładem, iż dotrzyma tego co obiecywał. Leos wiedział dobrze, że będzie dziedzicem dóbr Matki, często mu nawet o tém mówiono; ale zamiast się pysznić, iż kiedyś znaczny będzie posiadał majątek, zawczasu starał się uczyć gruntownie oyczystego ięzyka, historyi kraiu swego, przypatrywał się gospo-

darstwu, rozpoznawał skłonności i charakter włościan, a nadewszystko usiłował pozyskać z młodu przywiązanie domowych i wieśniaków, ażeby późniéy dobrym mógł być Panem, i Obywatelem. Leos nadto był młodym, aby sam z siebie to co chwalebne i piękne poznawał, ale miał dobrą Matkę, i światłego nauczyciela; słuchał ich we wszystkiém, i z każdym rokiem przybywało mu cnot, wiadomości, przyiaciół i szczęścia. Powszechnie we wsi był lubiony; nie nazywano go inaczéy iak kochanym dziedzicem. Znał prawie wszystkich wieśniaków, często z Matką po chałupach chodził, kiedy kto był słaby, on z siostrami nosił mu lekarstwa i lepsze pożywienie; wiedział o stanie każdego gospodarza, a u którego czysto było i porządnie, u tego chętniéy ieszczę bywał niż u drugich.

Mieszkanie Pawła zawsze chędogie za staniem Marcychy, nacyjęściéy odwiedzane było. Lubila Matka kiedy Leos rozmawiał z nim o gospodarstwie, bo sądziła: że wieśniak polski pracowity, rozsądny, dobrze wiedziéc może iakim sposobem ziemię naszą uprawiać należy,

iak i kiedy siać i zbierać? Kiedy się już czas żniwa zbliżał, częstsze jeszcze były odwiedziny Pawła. Jak zwykle robić prostactwo, czynił i on różne swoje meteorologiczne postrzeżenia, i czasem udało mu się zgadnąć iaka będzie pogoda, iakie urodzaie? Tego roku Paweł mówił: że żniwo będzie rychłe, początek piękny; pilni gospodarze zbiorą sucho żyto i pszenicę, ale strach na ospałych i na iarzynę. Namawiał zatém, żeby się żwawo do zbierania garnęli. Zawczasu też myśleć o żniwie zaczęto; i już w przedostatni czwartek lipcowy ułożono, żeby rozpocząć w Imie Boże w poniedziałek. — Cieszył się Leos, cieszyły się iego siostry na tę wesolą robotę. Za zwyczaj podczas całego żniwa chodzili lub jeździli codzién z Matką do robotników; nosili sami snopki, układali w mędle, a już parę razy na drabiastym wozie do domu wrócili!

W wigilią żniwa, w niedzielę, Nabożeństwo dłuższe było iak zwyczajnie, lud cały wraz z plebanem i dziedzicami, śpiewał litanie i suplikacye, żeby uprosić błogosławieństwo

Boskie na rozpoczynąć się mającą pracę. Wychodząc z kościoła, postrzegły dzieci, że ani Pawła, ani jego żony nie było. Zdziwieni, (bo wiedzieli że oni nigdy Mszy w Święta nie opuszczali) dopytywali się o nich innych gospodyń i gospodarzy. Dowiedzieli się od Franasowéy sąsiadki, że Paweł od trzech dni był słaby, i bardzo niedomagał. Nie zważając na swoją słabość pracował wciąż, alie na reszcie w nocy tak się rozchorował że iak rano przy-szedł ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł. „Leży w łóżku, dodała Franasowa; Marcycha zmartwiona wysłała parobka i dziewczuchę do kościoła, a sama z dziećmi przy mężu została.“ Zasmucone tą nowiną dzieci pobiegły zaraz do Pawła chałupy. Ledwie ich poznał tak był bardzo chory, a biedný Marcysze aż oczy zapuchły od płaczu. Posłano zaraz po lekarza; przyjechał, ale o życiu Pawła wątpić zaczął. Zakazał nawet dzieciom, żeby cho-dziły do niego: bo miał zgnilą i zaraźliwą gorączkę. Zgryzł się niezmiernie Leos i jego siostry, i już przez cały tydzień następujący chociaż naysmyślniey szły żniwa, i kropla.

deszczu nie padła, nie byli tak weseli iak za zwyczaj. Dowiadywali się codzién rano i wieczór o zdrowie Pawła, przyrządzali mu sami lekarstwa, i różne chłodzące napoje; codzién wzmagała się choroba; od rzeczy gadał, tylko żyto iego i pszenica snuły mu się po głowie. Ubolewał że zmarnieie cała iego praca, bo nikt iéy nie zbierze! i powtarzał nie ustannie załamując ręce, że on umrze z choroby, a żona iego i dzieci umrą potem z głodu.

Dowiedział się o iego kłopotcie Leos; wladomo mu było, że ieszcze stało na pniu wszystkie zboże Pawła. Parobek pańszczyznę odrabiał, dziewczucha koło do nu się krzątała, a stroskana Marcycha ledwie dosyc sił miała, żeby mężowi usłużyć. Cierpiał na tem nie-skończenie Leos, i kiedy iuż drugi tydzień żniwa się zaczął, a Paweł ieszcze niebezpiecznie był chory, poszedł do Matki pokoju, a pocałowawszy ją w rękę tak do niéy mówić zaczął. „Mialbym Mamę o wielką łaskę prosić?“ — „Mów śmiało, odpowiedziała mu, ieżeli tylko słuszna będzie twoja prośba, możesz bydz pewnym że ci iéy nie odmówię.“

„O to, Mamo, rzekł Leos, chciałbym się przy-
służyć Pawłowi. Zboże mu zmarnieie; ia wiem
dobrze, że Mama ani iego, ani żony nie opuści,
że oni nie doświadczą u nas głodu; ale czy
umrze czy nie? wiem że mu okropną boleść
sprawi, ieżeli on, albo iego dzieci z cudzey
łaski żyć będą musiały! Mam kilkanaście
Złotych, siostry mają także swoje pieniądze,
złożemy się, najmiemy kilkunastu ludzi; w dniu
jednym wszystko zbiorą, a iak wyschnie, i
zwiozą. Jeżeli Paweł ma żyć, prędzey wy-
zdrowieie, iak się dowie, że iego praca oca-
lona; a ieżeli Bóg chce koniecznie żeby umarł,
to pociechą się stanie dla żony, że przynay-
mniéy wyciągać ręki nie będzie iéy trzeba.“
Uściskała Matka syna swego za myśl tak pełną
ludzkości, i nie tylko zezwoliła ale obiecała,
że się przyłoży sama do tego dobrego uczyn-
ku. Jakoż tegoż dnia wieczorem, gdy iuż
żniwiarze wracali z roboty, Leos zgodził kil-
kunastu, żeby przyszli skoro świt na pole Pa-
wła. Nazaiutrz przebudził się nim dzień za-
częło; nie mógł iuż usnąć z niepokoyności;
wstał więc, zastukał do siostr pokoju; także

nie spały i wyszły po chwili zupełnie ubrane. W moment kiedy wraz z nauczycielem wychodzili z pałacu, przywitały ich ptaszki swoim śpiewaniem, uyrzeli pierwsze promienie wschodzącego słońca. Skoro zaszli na pole Pawła usłyszeli radośne pieśni zbliżających się zniwiarzy, którzy w ich oczach wzięli się ochoczo do pracy. Dzieci stały nad nimi więcej niż godzinę, ale na reszcie trzeba było wracać do domu na śniadanie, i na lekcye.

Nazad szli przez wieś, wywołali z chałupy Pawła dziewczuchy, żeby się dowiedzieć iak się miał, bo lekarz w wigilią powiedział: że jeżeli nazajutrz zdrowszy będzie, to jest nadzieia, że się z choroby wygrzebie. Wybiegła do nich dziewczucha z wesolą miną, oznajmując że gospodarzowi daleko było lepiéy, że właśnie w ten moment spał, a Marcycha zmęczona tylu bezsennemi nocami, zadrzymnęła także. Uszczęśliwione dzieci szły spieszno do domu; dochodząc zobaczyły Matkę idącą na przeciw nim: puściły się do niéy na wyścigi: każde chciało pierwsze iéy rękę ucałować, i *dzién dobry* powiedzieć. Leos który był najstarszy dobiegł

iednak ostatni, chciał żeby go siostry wyści-gnęły. Uściskała ich Matka serdecznie, i ka-zała dać śniadanie. Lekcyje tak dobrze i tak prędko poszły, że przed południem pozwoliła im iść znowu do żenców. Zmęczyły się dzieci w drodze, bo wielki był upał. Żałowały bie-dnych robotników, którzy na takim skwarze słonecznym, schylać się i pracować musieli. Leosć pobiegł do domu poprosić Matki o kilka garcy piwa, pobiegły z nim i siostry. Te ze swoięgo ogródka właśnie przed trzema dniami, zakwasily były aż kopę ogórków; przyszło im na myśl, iak by to miło było żniwakom ochłodzić się niemi; uczyniły więc chętnie tę ofiarę; zanesiono na pole ogórki, i z radością widziały, z iakim ie robotnicy zaiadali smakiem.

Nad wieczorem dopiero, gdy upał się zmniej-szył, doznały dzieci prawdziwéy roskoszy; po-zwolila im Matka pomagać do noszenia sno-pków i do układania ich w mendle. Przed dziewiątą już wszystkie zboże Pawła stało w kopach; Matka Leosia kazala przyiść żni-wakom do pałacu, i dać im po kieliszku wó-łki. Dowiedzieli się przyszedłszy, że Paweł

coraz się miał lepiéy, a lekarz właśnie idący od niego zapewnił, że przesiliła się choroba, i iuż niema niebezpieczeństwa. Nic więc nie brakowało do szczęścia dnia tego, i dzieci uradowane, zmęczone, spały ieszcze lepiéy iak zwyczajnie. Nazaiutrz skoro wstały przybiegła do nich Marcycha; dowiedziała się od sąsiadek i kumoszek, co się na iéy polu stało. Dziękowała, Pani, Paniczowi, Panienkom tak czule, że się aż rozplakała. Przed mężem zamilczała o wszystkim, bo był ieszcze zbyt słaby; powiedziała mu w parę dni później, i ta nowina nie mało mu do zdrowia dopomogła.

Wieczorem Matka Leosia kazała zaprządz powozowe konie do drabiastego woza; pojechały na nim dzieci na pole Pawła, i z kilkoma ludźmi pakować uschłe iuż zboże na wóz zaczęto. Leos iako najstarszy potrafił z pracą dorzucać furmanowi snopki, ale dziewczęta na próżno wyciągały ręczyny, nie mogły tak wysoko dostać; podawały więc snopki bratu. Obrócono kilka razy, i cała chudoba Pawła, całe wyżywienie iego, żony, czworga dzieci, dwoyga ludzi służących zabezpieczone zostało! Tak

to mało potrzebuie człowiek zbliżony do natury! taką to odrobiną obchodzi się ten wieśniak, który rok cały z potem czoła nad dostarczeniem na zbytki pana pracuje! Dla uzupełnienia radości dzieci, pozwoliła Matka Leosiowi wsiąść na ostatnią furę zboża, i zawieść ją wraz z furmanem do Pawła stodoły. Dziewczynki szły za wozem zbierając spadające kłosy, żeby nic ze zbioru ubogiego nie utraciono.

W kilka dni potem skończył się we dworze zwóz oziminy, a w następującą niedzielę było okrzęzne. Tańcowali włościanie żwawo i ochotczo na dziedzińcu pałacowym; gości się nazeżdżało z sąsiedztwa; toczyły się zdroje piwa i wódki; poprzednica iak przy żniwie tak i w tańcu pierwszą była; wieniec z pszenicy miała na głowie, pęk wstążek czerwonych wpletła sobie w warkocz. Leos z siostrami, i z innemi dziećmi, wywiał także krakowia-ka. W tem uciehły skrzypki, ustały śpiewy i skoki; obeyrzały się dzieci, i zobaczyły z zadziwieniem bladego i osłabionego Pawła; wsparty na żonie, zbliżał się wolnym krokiem ku nim; szło przed nim dwoie starszych iego

dzieci. W białych koszulkach czerwoną krayką przepasane, niosły wielki wieniec z rozmaitego zboża, w nim powpletane orzechy laskowe. Organista tocząc się za niemi te wiersze Leosiowi i iego siostróm zanócił:

Radby Paweł dziś śpiewał, lecz słaby niemoże;
Życzliwy Organista z serca mu pomoże.

Dotknęła go choroba, miał zostać bez chleba,

Bóg dając dobrych panów, dał mu co potrzeba.

Z ich łaski iego plonek w polu nie zmarnieie

Już ma pełną stodołę, znów zagon zasieie.

Życieź w naydłuższe lata, o Wielmożne Pany!

Niech rośnie na pociechę nasz dziedzic kochany!

Niech Panny doczekaią dobrego zameścia!

Ile kłósów w tym wieńcu, tyle liczcie szczęścia.

Wiersze nie tęgie iak za zwyczaj Organisty; rozczulily przecieź dzieci i ich Matkę; dopomogła do tego wzruszenia wdzięczność Pawła, tém wymowniéysza iż mało co mówił, bo mu na słowach i sile schodziło. Przyniosły mu dzieci wygodne krzesło, dały kieliszek dobrego wina, schowały starannie wieniec, i ręczę: że pamięć tych Żniw i Okrężnego nie zatrze się nigdy w ich sercu.



IX.

W R Z E Ś I E Ń.

WEZBRANIE WISŁY.

W Warszawie, nad brzegiem Wisły, mieszkało dwóch młodych drwalów. Zapas drzewa posiadali znaczny, nie łądzierali kupujących i odbył mieli wielki. W przyjaźni żyli z sobą, znali się bowiem od dzieciństwa; razem handel zaczęli, i razem się pożenili. Obudwóm dało Niebo po kilkoro dzieci, a dwie ich córki najstarsze w równym były wieku. Jedną zwano Izabellą, a drugą Rózią. Dwie tylko starsza była jedna od drugiej. Imieniny i urodziny Izabelli przypadły trzeciego Września, a Róża zaraz nazajutrz podobnie święto obchodziła. —

Lecz nie we wszystkim tak iak w urodzeniu i w latach, podobne były do siebie młode dziewczynki. Rodzice Izabelli uwiedzeni tą powszechną prawie chęcią wynoszenia się nad stan swój, chociaż bardzo byli szczęśliwi w swojej prostocie, przecież chcieli

córkę na wielką Panią wykierować; a nie pomni na to: że nie iednemu wyjście ze stanu swojego na złe wyszło, i nie stosowne wychowanie zgubiło, taką dali córce edukacyą iak gdyby xiężniczką była.

Izabella chodziła na najsławniêyszą Warszawską pensją; tam brała lekeye francuzkiego, niemieckiego ięzyka; uczono ją mitologii, historyi, różnych nauk; usiadła nie raz przy iakiéy kasztelance albo obok woiewodzanki; miała w domu metrów do grania, śpiéwania i tańca, suknie robił iéy naymodniêyszy krawiec, kupcowa stroiów kapelusze, i Izabella wbiła się w dumę i zarozumiałość. Pogardzała rodzicami, bo ani słowa nie umieli po francuzku, i nie znali nawet nazwiska tych nauk, któremi iéy głowę zaprzątano; ubolewała, że się drwała córką urodziła; nie miły iéy był ładny ich dworek nad Wisłą; bo na téy ulicy żaden wielki pan nie mieszkał. Brzydziła się domowem gospodarstwem, szyciem, kuchnią, handlem; podobne zatrudnienia zdawały iéy się upodleniem. Kilka godzin dnia trawiła na pensyi, wróciwszy do domu grała na forte-

pianie, śpiewała, tańcowała, czytała francuskie romanse, ubierała się coraz w inne suknie, i czasem kwiatek na kanwie wyszyła. Ale pomimo tych wszystkich talentów, umiejętności i stroiów, Izabella nie była szczęśliwą. Na pensyi tysiączne ją spotykały upokorzenia w domu wszystko ją gniewało i nudziło. Czuła wyższość swoją nad rodzicami, i nad osobami które do nich uczęszczały; obchodziła się dumnie z rówieśnikami swoimi; zawsze zaięta talentami lub czytaniem, ani od domowych, ani od sąsiadów, ani od przycho-
dzących lubioną nie była.

Rózię zupełnie inaczej chowano. Rodzice posyłali ją do szkoły; nauczyła się dobrze czytać i pisać po polsku, katechizmu i rachunków; Matka wyćwiczyła ją we wszystkich robotach kobiecych, i Rózia we dwunastym roku, skończyła swoją edukacyą. Codzién rano wstawszy, pomagała Matce do uprzątnienia i do gospodarstwa. Chodziła często na miasto z kucharką; wróciwszy ubierała swoje siostry i braci, czytała z niemi, zaglądała do kuchni, a przez resztę dnia szła dla siebie

lub dla rodzeństwa. Czasem w długie wieczory zimowe czytała głośno historią z nowego lub starego Testamentu, dzieie polskie, przyjaciela dzieci, i inne książki moralne dla iéy wieku i stanu pisane. Zawsze skromnie ale porządnie była ubrana; prawdziwem dla niéy było ukontentowaniem, kiedy iéy Matka nową sukienkę albo kapelusik sprawiła. Nieustannie zaięta, ciągle była wesola, kontenta ze stanu swoięgo, kochała i szanowała rodziców, i przekonana była, że niema w świecie całym szczęśliwszý od niéy dziewczyny. Tak było w istocie; Rózia pełna cnoty i niewinności, słodkie dni pędziła; twarz iéy tak zawsze była pogodna i świeża, iak najpiękniejszy poranek wiosenny, wdzięczny uśmiech igrał ciągle na iéy różanych ustach, słodka radość malowała się w iéy oczach. Nie tylko Matce, ale i Oycu pomocą była; utrzymywała ięgo rachunki, lubiła się przysłuchiwać, kiedy on o swoim handlu mówił; wiedziała po czemu sztuka w którę szychcie drzewa, i często kiedy przyszedł kto z kupuiących, a nikogo starszego od niéy w domu nie zastał, umiała

mu opowiedziéć iakie ma iéy Oyciec drzewo na sprzedaż; i grzeczne iéy obeyscie się z każdym, wesołość, otwartość, wiele osób przyciągały. Wszystkie sąsiadki duszą i sercem przywiązane były do Rózi; każdą mile przyjmowała, każdéy przysłużyć się lubiła; téy skroila sukienkę, tamtéy uszyła kołnierzyk, tę nauczyła iak przyrządzić iaki przysmaczek, wszystkich umiała zabawić, rozweselić, do dobrego swoim przykładem zachęcić. Ktokolwiek Rózię poznał, każdy ją kochał i chwalił, w iednym tylko domu nie oddawno iéy sprawiedliwości, w domu rodziców Izabelli.

„Na cóż się zda ten cały maiątek? mówiła matka, kiedy go użyć nie umieją? Cóż pannie po posagu bez edukacyi?“ — „Jakie to nieszczęśliwe stworzenie, dodawała Izabella, prawdziwie żal mi iéy! co to z niéy będzie? weale po francuzku nie umie, fortepiana nawet w ich domu nie ma! doprawdy, żeby nie dawna przyiaźn Papy z iéy Oycem, tobym się wstydziła u niéy bywać; nie wiedziéć o czém z nią mówić, nic nie zna, nic nie wie, nic nie

widziała, i nawet żadnéy niema ciekawości!“ —
 „Jednak ta dziewczyna mi się podoba, przerywał im Oyciec, kiedy usłyszał takową ich rozmowę, lubię ją; zawsze wesoła, wszystko robi ochoczo. Jak przyidę do iéy rodziców, to iuż nie wié gdzie czleka posadzić, tak mu rada! śliczne umie robotki, zna się doskonale na kuchni; byłem niedawno u nich na obiedzie, prawie cały sama sporządziła, nie mogłem się odieść wybornych piérogów, i przedziwnéy potrawy z gęsi. Prawda, że u naszéy Izabelki to by chyba służyć mogła, ale iednak lubię ją... doprawdy, że lubię, i proszę żebyś zawsze dla niéy grzeczną była. Ona temu nie winna, że nie będzie miała takiéy edukacyi iak ty! Nie każdemu Bóg dał takie poznanie iak nam! Mówilem ia to iuż nie raz iéy rodzicom, ale oni powiadaia: że nie chcą żeby kurczęta mędrsze były od kur; przecież się to tak na całym świecie teraz dzieie! ale kiedy oni kontenci, to i Bogu dzięki!“ —
 „Zrobili z niéy dobrą kucharkę i szwaczkę, mówiła ieszcze Izabella z szydzącym uśmiechem, to właśnie czego im trzeba było!“

Tak obie dziewczynki doszły do lat czter-nastu. Izabella codzién większych nabierała tonów i grymasów, Rózia coraz miłszą była. — Przez rok cały widywały się dosyć często, a zwyczaj był taki w ich rodzinach: że dwa ich święta tak blisko siebie będące, obcho-dzono z wielką uroczystością. Na dzień imie-nin Izabelli, matka zapraszała zwyczajnie *Madame* na któręý pensyą chodziła córka, i kilkanaście panien. Z sąsiadek proszono tylko Rózię, bo z innémi Izabella mało się wda-wała. Co tylko dom miał, i mógł mieć, wszystko to było w ten dzień na stole, i bie-dna Matka zadyszana, znużona, opalona, zwi-iała się iak mogła. Izabella gości przyimo-wała, i cała była w płomieniach. Ile razy iéy się zdarzyło bydz u *Madame* na iakim pod-wieczorku, albo na baliku, zawsze usługa była iak naylepsza; lokaie porządnie ubrani rozno-sili chłodniki i przysmaczki; w domu iéy ro-dziców nie było lokaia; niezgrabna *Młodsza* albo zasmolona kucharka podawała wszystko gościom, a Izabella mieniła się ze wstydu, bojąc się, żeby *Madame* i Panny z niéy się

nie śmiały. W rzeczy samey tak przeciwny był układ domu z pretensyami córki, że z najlepszym sercem gryść trzeba było wargi, żeby nie parsknąć ze śmiechu.

Rózi imieniny odbywały się bez żadnego kłopotu i niespokojności; na dzień pierwý, napiekła z Matką ciast rozmaitych; rano poszły na targ, do ogrodów, do kupców, nakupiły tłustego drobiu, pięknych owoców, dobrego wina; zaprosiły przyjaciół i sąsiadów, i wesoło i ochoczo cały dzień do późnéj nocy, goście bawiąc się, iedli i pili.

Już za kilka dni przypadała piętnasta rocznica ich urodzin. Izabella przed kilkoma tygodniami otrzymała pochwałę na examinie za mitologią i za kaligrafią; sutszy więc ieszcze iak za zwyczaj miał byđ obchód iéy imienin, i wszystkie Panny z pensyi zaproszone zostały. Na tydzień pierwý, iuż się Matka krzątać, a Izabella turbować zaczęły; lecz wypadek nieprzewidziany zniweczył wszystkie przygotowania.

Działo się to w 1813 roku. Lato było dżdżyste i w okolicach Krakowa tak nagle i

obfite spadły deszcze, że wezbrana Wisła z koryta swego występując, zalewała przyległe okolice. Wszędzie gdzie teraz ta rzeka zdobi, uprzyjemnia, rozwesela krainy przez które przebiega, wszędzie najokropniejszy przedstawiała widok! Wezbrane i szumiące wody, ledwie że nie z szybkością piorunu lecą, wzmagają się, w krótkie okrywają i niszczą wszystko. Strach ogarnia pobliskich mieszkańców, każdy niebezpieczeństwo i nędzę przed sobą widzi. Ten drżąc cały brnie z pośpiechem do obory, żeby wyprowadzić bydłęta, tamta z chaty wynosi dziecko, ten prowadzi starego oycę; nie jeden zbytnie zawiera szczęściu, zostaje w domku swoim, i wraz z nim porwany od powodzi. Rozhukane nurty Wisły ciągną za sobą pieniąc się, drzewa, trzody, młyny, domy, stodoły, niektóre całe budowle, drugich tylko szczątki. Okryte temi smutnemi zdobyczami przybywają wody do Warszawy w nocy 31. Sierpnia, na trzy dni przed imieninami Izabelli. Lubo mówiono, że wezbrania znacznego spodziewać się trzeba, każdy spał spokojnie bo człowiek obecnych

tylko niebezpieczeństw się lęka, i rad własnemu doświadczeniu wierzyć; a nikt z najstarszych ludzi podobny nie pamiętał powodzi. Rzeka nie znajdując żadnej przeszkody, rozpościera wody swoje, znosi wiele domów nad brzegiem stojących, zabiera całe stósy drzewa, zrywa mosty i groble, a tam gdzie w dawnych i mocnych murach opór jaki znajduje, choć małą szkodą szlady gniewu swojego zostawia.

Tym czasem noc ciemna umyka w inne kraje; już pierwsze dnia promienie budzą pracowitego rzemieślnika i przemyślną przekupkę nad Wisłą mieszkających, budzą i czynną Rózię i jej rodziców. Wstają: cóż za widok okropny uderza ich oczy? na stałym lądzie się położyli, budzą się wśród wody! Nie jeden usnął bogaty, przebudza się w nędzy! W chwili jednej, krzyk, wrzawa, płacz, narzekania słyszeć się dać. Nieszczęśliwi! pomocy wzajemnej dać sobie nie mogą; przebrnąć przez wodę niepodobna. Ojciec Rózi z najwyższego okna mieszkania swojego, widzi jak mu woda rozrzuca szyby drzewa, jak zabiera cały jego i dzieci majątek, a ratować go nie może!

spozstrzega z daleka, iak dom iego przyiaciela napastowany iest od fali, a podadź mu przyiazney ręki nie iest w stanie! Izabella przebudzona krzykiem Matki zrywa się z łózka przelekniona; bieży do okna, woda prawie do szyb sięga! dowiaduje się, że naypiękniéysze drzewo iéy Oycy porwała powódź, że są zgubieni. Płakać rzewnie zaczyna, załamywać ręce! W cóż się obróćą sute przygotowania iéy Imienin? a co gorsza w co się obróci iéy brzdąkanie na fortepianie, włoskie arye, gawota, paplanie po francuzku i tyle umiętności, nie dokładnie nabytych? Zna to dobrze równie z Matką, że ieżeli (iak dawniéy mówiły) na nic się nie zda posag bez edukacyi, w iéy stanie gorzéy ieszcze mieć edukacyą bez posagu. Trzy dni przepędzaią we łzach i w smutku; schodzą na płaczu owe paradne imieniny Izabelli! na reszcie opadaia wody, i każdy po tym nowym potopie wychodzi z boiaźnią dowiedziéc o swoich i o przyiaciół stratach. Wielu znaiomych nie znayduje, wiele domostw zniknęło; zamiast ogrodów lub stosów drzewa namuł tylko i piasek. Ale że

często Bóg iedną ręką karze, a drugą nagradza, znayduie w swoiéy posiadłości to czego nie zostawił; pasy drzewa, stogi siana, chatki, stodoły. Zmęczona fala wyrzuciła ie na te brzegi, a pewny, że iego własnym dobytkiem zbożaci się kto w Toruniu lub Gdańsku, zatrzymuie co mu nieba dały wielbiąc Opatrzność.

Oycowie Izabelli i Rózi po trzech dniach upłynionych chcieli się wzajemnie odwiedzić i obrachować swoje straty. Spotkali się brnąc po błocie; bo prawie razem z domu wyszli. Udali się na mieysce gdzie ich drzewo było złożone, ale nic nie znaleźli prócz dziecięcia w kolebce, którego się iuż docucić nie można było; i tak ze znaczego majątku tylko ten im został dobytek! Wrócili smutni do domu. Oyciec Izabelli oświadczył córce, że iuż ani na pensyą, ani na metrów, ani na stroie łożyć nie może; że będzie musiała zaniechać wszystkich nauk i talentów, a wziąć się do roboty i gospodarstwa. Gorzko płakać zaczęła dziewczyna na te słowa, i powiedziała z przyciskiem: że nigdy iuż nie potrafi przyzwyczaić się do tak ciężkiéy pracy, i że nie stworzona na służbę.

Polaiał ią Oyciec, spoyrzał na żonę, ruszył ramionami, i poszedł szukać pociechy u przyjaciela. Tam wszystkich spokojnych zastał; zważywszy rzecz całą, doszli: że zostało im iednak tyle, iż żyć będą mogli uczciwie; a za parę lat, przy oszczędności i dobrym rządzie, część szkody nagrodzą. Mieli dwie sługi, odprawili iedną; Rózia z chęcią podięła się ią zastąpić; oświadczyła rodzicom, że ieszcze starówniéy wszystkiego ochraniać, pilniéy pracować będzie, byleby ich widziała spokojnych i zdrowych. Pocieszyli się zupełnie i właśnie dziękowali Bogu, że się nie dali uwieść prawie powszechnemu przykładowi, dając Rózi wysoką edukacyą, kiedy nadszedł Oyciec Izabelli.

Ubolewać zaczął przed niemi, skarżyć się na córkę. Załowali go, i cieszyli iak mogli; namawiali żeby się starał wybić Izabelli pańskie tony z głowy, i zrobić z niéy dobrą gospodynią; ale iuż było za późno! W szesnastym roku trudno przerobić młodéy osoby; iuż do żadnych robot i zatrudnień domowych namówić się nie dała; biédna Matka wszystko

i za nią, i za siebie robić musiała, a Izabella zawsze smutna, w złym humorze, chudła i mizerniała. Oyciec dobrowolny nie mogąc się oprzec prośbom córki i naleganiom żony, zamiast w handel wkładać, tracił na iéy stroie i edukacyą. Izabella wróciła na też samą pensyą; znów zaczęła grać, śpiewać, czytywać więcéy niż kiedy. Dotąd iest podobnemi rzeczami zaięta, choć iuż dawno nie chodzi do *Madame*, ale wcale nie iest szczęśliwą. Oyciec nie odzyskał ieszcze i połowy straconego majątku, bo prawie wszystko co zarobi, na nią wydawać musi; nie może żadnym sposobem wyrównać dawnym towarzyszkom w stroiu; niektóre nią pogardzaią, klaniać iéy się nawet nie chcą, i choć iuż skończyła lat dwadzieścia ieden, przecie ieszcze nie poszła za mąż. Nikt z sąsiadów i z iéy równych nie chce się oświadczyć o iéy rękę, a Pan żaden nie zawitał ieszcze do ich dworku.

Rózia od trzech lat najszczęśliwszą iest żoną; sąsiad iéy uczciwy, młody, majątny, przystoyny, tak wychowany i urodzony iak ona, nie mógł obojętném okiem patrzeć na

ięy domowe cnoty; prosił o ięy rękę, otrzymał ją. Rózia mieszka niedaleko rodziców swoich, którzy już nagrodzili i zapomnieli poniesioną stratę; widnie się codzién z niemi, i kochana od wszystkich, zawsze iest równie wesolą i przyjemną. Mówiono mi, że Izabella zazdrości ięy cokolwiek, i żalować zaczyna że nie odebrała podobnego wychowania. —

X.

P A Ź D Z I E R N I K.

MAŁY TOMEK z JABŁONNY.

Już liście żółknąć i opadać poczynaly, ptaki podróżne wybierały się do cieplejszych krajów; już, pola огоłocone z kłosów kryły w sobie przyszłego roku nadzieję; deszcz zimny padał niekiedy, a jeśli trafił się jeszcze dzień pogodny i ciepły, za dobrodzieystwo natury był uważany. Każdy robił przygotowania na zimę, napelniał piwnice i spiżarnie, oblepiał, obtykał mieszkanie swoje, zwoził i skupował

drzewo, żeby mu głód i mrozy nie dokuczyły. — W iednéy tylko chatce nie robiono tych przygotowań, położona była w bok lablonny, mieszkała w niéy biedna wdowa z synkiem ośmioletnim. —

Małgorzata była chorą i ubogą, nie miała żadnego dobytku, żadnych nawet krewnych. Rodziła się w Kaliskiem; w młodym wieku straciła rodziców! Służąc w iednéy wiosce u uczciwego gospodarzu, podobala się parobkowi z drugiéy chaty, i poszła za niego. Żyli z sobą szczęśliwie, pracowali oboie i dobrze im się wiodło; urodził się im syn, i powiększył ich szczęście. Lecz nadeszła pamiętna pora w któręy nadzieia odzyskania lubéy Ojczyzny zaięła wszystkie serca i umysły; każdy biegł do woyska, w każdym wréc krew polska zaczęła! nie mogła Małgorzata wstrzymać swego męża; w sekrecie przed nią przystał do żołnierzy, i już w hulańskim ubiorze stanął przed iéy oczyma. — Tak mu było do twarzy w kaszkiecie i w mundurze, tyle rozprawiał iak to on w krótkim czasie zostanie kapralem, późniéy furyerem, nareszcie Ofice-

rem, z iakiemi orderami wróci, iak to Oycyzna przydzie do dawnéy świetności! że i Małgorzacie iako kobiécie i Polce, serce się roześmiało; i na czas iakiś łzy ronić przestała. Ale pułk cały opuścił w krótcie Kalisza okolice, i udał się do Warszawy. Małgorzata nie mogła rozdzielić się z mężem, poszła z nim z synem swoim Tomkiem. Niedługo on bawił w tém mieście, rozkazano mu iść wraz z innémi do Prus. Janek równie odważny iak każdy prawdziwy Polak, idąc zawsze śmiało na przód, nie kryjąc się za drugiémi, zyskał pochwałę starszych w kilku utarczkach, lecz pod Friedlandem kulą w piersi ugodzony został, i na miejscu ducha wyzionął.

Małgorzata przez kilka miesięcy nie wiedziała o swoim nieszczęściu; została była w Warszawie. Z trudnością tyle zarobić mogła, żeby siebie i dziecko wyżywić. Codziennie prawie chodziła do bióra wojennego dowiadywać się, czy nie wiedzą czego o Janku Grywaczu? długi czas mówili iéy, że żadnéy nie mają wiadomości; nareszcie dnia iednego powiedzili iéy, że zabitym został! Padła biedna

Małgorzata bez zmyślów skoro usłyszała te słowa, ledwo iéy się docucić można było! Dobroczynne iakieś Panie zobaczywszy stan iéy, kazały ią zanieść wraz z dzieckiem do szpitala świętego Kazimierza; tam, lubo w natłoku chorych, rannych i nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju, doznała wielkiego starania. Tomka umieszczono między sieroty na czas iéy słabości, i Małgorzata pomimo ciężkiéy choroby, pomimo cięższéy jeszcze rozpacz, wyszła w krótcie z niebezpieczeństwa. W kilka tygodniwróciły iéy się cokolwiek siły, ale zdawało się, że zezdrowiem przybywało iéy żalu. Wyszła ze szpitalu żeby drugim ustąpić miejsca, błogosławiąc miłosierne siostry, które się tak nią, i synkiem opiekowały.

Lubo tak nieszczęśliwa, Małgorzata ceniła życie! gdyby umarła, cóżby się z iéy Tomkiem stało? Dla niego więc, więcéy niż dla siebie poszła szukać chleba. Jeszcze osłabiona pracować wiele nie mogła. Przed swoją chorobą poznała się była z żoną żołnierza z tego samego pułku, w którym był iéy mąż, u niéy znalazła przytulék; ale ta żołnierka sama biedna, żywić iéy długo nie mogła. Małgorzata

żyła w wielkiéy nędzy i niedostatku, kiedy nareszcie pomyslnym trafem poznała się z kowalem z Jabłonny. Dobry ten człowiek zlitował się nad nią i namówił, żeby z nim pojechała. „Na wsi wszystko łatwiéy iak w mieście, rzekł do niéy, wyrobię wam w iakiéy chacie pomieszkanie, będziecie siedzieć komorą; lubicie pracować, umiecie prząść, roboty i chleba wam nie zabraknie.“

Małgorzata usłuchała poczciwego kowala; wsiadła z nim i z Tomkiem na iego wózek, i niedługo stanęła w Jabłonnie. Była blisko téy wsi mała i nędzna chatka, ledwie ją widać było tak już wklęśła w ziemię; iedne miała drzwi i iedno okienko; komin niski z drzewa i z gliny, nie wyższy od słomianego dachu. Dawniéy mieszkał tam stary ieden nędzarz; właśnie umarł przed kilkoma tygodniami, i to iego mieszkanie za wstawieniem się kowala do ekonoma, dostało się Małgorzacie. Może pałac nayszaniejszy tyle możnego nie ucieszy pana, ile ta nędzna chatka biedną uszczęśliwiła wdowę; wiedziała że przynajmniéy gdzie spocząć będzie miała, że nikt iéy głowy nie

zakłoci, a pozbawiona od tak dawna własnego przytulku i spokoyności cenila ie wysoko. Wszystko iéy się wieśdź zaczęło, uspokoiła się cokolwiek po stracie męża; roboty miała dosyć, to w polu, to w domu; letnią porą żęła, w ogrodach robiła, w zimie przędła. Tomek wyglądał iak pączek różany i prawdziwą iéy był pociechą.

Trwała ta pomyślność lat kilka; iuż i Tomek nie raz parę groszy sobie zarobił. Zwinny, usłużny, kochany był w całej Jabłonnie. Często posyłano go tu i owdzie, dawano mu rozmaite małe roboty; on zawsze dobrze się sprawił. Ale iednego roku na wiosnę Malgorzata się rozchorowała. Chciał iéy się zwić kołtun, Baba iakaś lekarka przeszkodziła, obcięła iéy włosy, i Malgorzatę takie suche bóle męczyć zaczęły: że leżeć kilka niedziel w łóżku przymuszoną była; a gdy wstała, tak miała pokurczone nogi, że z największą trudnością przeysdź przez izbę potrafiła. Nic iuż w polu ani w ogrodach robić nie mogła; przędła tylko: i tak iéy całe lato zmarniało! Widziała z daleka iak w czerwcu, szły kobiety grabić siano,

iaak późniéy biegły śpiewaiąc do żniwa, każda sobie coś zarobiła, każda była zdrowa, mogła chodzić, ona tylko iedna siedzieć na mieyscu i stękać musiała! Ale Małgorzata była bogoboyna, wiedziała że trzeba się zgadzać z wolą stwórcy, i wszystko przyiąć z ręki Jego; znosiła więc cierpliwie tę nową przygodę, i nie traciła nadziei!

Tym czasem Tomek ośm lat skoczył, a przywiązany niezmiernie do Matki, usługiwał iéy, rozweselał, zarabiał ile mógł. On codzién rano zamiotł izbę, przyniosł w dzbanku wody ze studni, nazbierał wiórów, rozpalił ogień, odnosił gospodyniom to co Matka uprzedła, i starał się o len świeży; śpiewał iéy różne pieśni i piosneczki, a kiedy co od kogo dostał, z radością iéy oddawał. Jak iuż mówiłam, wszyscy w Jabłonnie Tomka kochali, bo był usłużny i dobry, a Tomek korzystaiąc z tego, często parę groszy zarobił.

W Październiku łatwo się daia ptaszki w sidła łapać; Tomek wiedział o tém; w Jabłonnie byli tacy którzy małe ptaszki zabiiali, skubali, czyścili, kładli na roženki i tak na

przedaż do Warszawy wozili. Tomek wystarał się o siatkę, nauczył się iak ią zastawiać, umyślił dostarczać ludziom téy zwierzyny, i wielką sobie intratę z tego polowania obiecywał. Matka swoim przedsięwzięciem, on swoimi usługami tyle zarobili: że przez lato głodu nie doznali, ale na zimę żadnego nie mieli funduszu. Już się zbliżała; wszyscy o zapasie drzewa, zboża, iarzyń myśleli, a Małgorzata i grosza na to wszystko nie miała! W Tomku aż serce drgało z radości, kiedy sobie pomyślał: że za swoje ptaszki może choć furkę drzewa kupi.

Wsrzód Października zastawił więc wieczorem swoją siatkę. Nazajutrz skoro zwyczajne usługi koło matki zrobił, pobiegł do tego miejsca; w drodze napotkał Panią Woyciechową, żonę Wóytę. Tomku! Tomku! zawołała na niego, pójdź do mnie; mam dla ciebie robotę. Poukładasz mi pięknie iablka na słomie, ale pierwéy obetrzesz każde. Tomkowi pilno było do ptaszków, ale Pani Wóytowa była bardzo dobrą i bogatą, mógł od niéy co dla Matki dostać, a to było Tomka naygorętsze żądanie!

poszedł więc z nią, zrobił co mu kazała; zabawił więcéy niż godzinę; dała mu kraiankę séra i dwa duże czerwone iablka. Tomek schował sér do iednéy kieszeni, a że w drugiéy wielkie były dziury, włożył iablka za sukmankę. Swieżością i okragłością wyrównywały iego policzkom. Podziękowawszy Pani woytowéy pobiegł co prędzéy do ptaszek. Z daleka uyrzał koło siéci wielkie ich mnóstwo; zbliżył się po cichu, spuścił siéc, ale jeszcze niewprawny nie zręcznie to zrobił. Poleciały w górę przelęknione ptaszki, złapały się tylko dwie czeczotki i czyżyk. Uradowany iednak tym pierwszym połowem, Tomek odstawił siéc ostrożnie i wszystkich trzech dostał. Czeczotki włożył do kapelusza, a czyżyka wziął do ręki. „O kochany mój ptaszku, mówił do niego glaskając go i całując; iakie masz piękne żolte piórka! żebyś był bogaty, zaraz bym ci kupił klatkę, i chowałbym u siebie, tak byś dużo iadł! Ale ja biedny muszę cię sprzedać! Zabiją cię, oskubią, na rożenek wsadzą; ach! iak mi cię żal, mój biedny czyżyku! (Tu Tomkowi lzy się zakrę-

ciły w oczach.) Żeby nie dla Matki, to iabym cię zaraz puścił; może i ty masz Matkę? nie gnieway się więc, że ia daleko bardziéy kocham moię òd ciebie!“ — Tomek mówił to wszystko do swego czyżyka wracając do domu drogą. Kiedy kończył ostatnie słowa, usłyszał za sobą stąpanie koni, i głos iakiś, który na niego wołał: Chłopczyku, chłopczyku, co ty tam tak rozprawiasz? Tomek się zląkł, obeyrzał się i wypuścił czyżyka! ptaszek w momencie iednym znikł z iego oczów; chłopiec chciał biedz za nim, kiedy obróciwszy się, lepiéy spostrzegł Pana prześlicznég urody, bogato ubranego na koniu, a za nim kilku innych mniéy wystroionych. Tomek poznał zaraz, że to iakiś wielmożny, chciał się ukłonić, zdiał kapelusz: i wyleciały i drugie dwa ptaszki! W nayżywszég rozpacz y nie zwazając na przytomność tylu Panów rzewnie płakać i narzekać zaczął. Ten sam Pan, który na niego wołał, zapytał go się przyjemnym głosem, dla czego tych ptaszków tak żaluie? „Tak, odpowiedział Tomek łkając, nie mam żalować! kiedym za nie miał Matce furkę

drzewa kupić.“ — „To twoja Matka musi być bardzo biedna?“ — „Zapewne że biedna a do tego i chora; o moje ptaszki! moje ptaszki!“ — „Żebyś ich tak bardzo nie żałował, to ja ci dam daleko więcej niżeli były warte.“ To mówiąc bogoto przybrany Pan dobył dukata z kieszeni, i wsunął go w rękę Tomka. Tomek podskoczył z radości, skłonił się nisko, obtarł oczy i zawołał: „O teraz zupełnie jestem szczęśliwy! i ptaszków nie obskubią i Matce pieniądz zaniosę!“ — „Czy twoja Matka tu mieszka? zapytał go się jeszcze Pan.“ — „Tu niedaleko, zaraz w téj chatce w bok.“ — „W téj lepiance co to ja ledwo widzieć z ziemi?“ — „W téj saméj; o iak ona będzie szczęśliwa! jużbym rad iak najszybciej być u niéj!“ — „No, to idź, i byway zdrów! może się jeszcze z sobą zobaczymy?“ — „O dobrze! zawołał Tomek kłaniając się kapeluszem. W tém odiechał Pan, i z nim wszyscy inni, a chłopiec ruszył co sił miał do domu. — Matko, Matko! zaczął na nią wołać jeszcze przed drzwiami, dziś mi się powiodło; dostałem od Pani Woytowéj séra i iablek, a od

iednego prześlicznego Pana, iakiś grosz żółty, iakiegom ieszcze nigdy nie widział.“

Małgorzata zadziwiła się niezmiernie, gdy zobaczyła dukata. Zaczęła się wypytywać o całą przygodę? Jak iéy Tomek wszystko opowiedział: „toś ty z samym xięciem rozmawiał! zawołała z radością. — „Z xięciem! krzyknął Tomek, ach Boże! i któż to iest ten xiaże?“ — „Cała Jabłonna i wiele innych włości, odpowiedziała Małgorzata, należy do zacnego do kochanego Pana, nazywa on się xiaże Józef Poniatowski. Jeszczem była dziewczuchą, kiedym iuż o iego dobroci, o iego cnotach slyszała; on prowadzi teraz Polaków wszystkich na wojnę, a sam wszędzie iest najpierwszy; nie zważa na kule, na pałasze, na ogień, bo powiada, że mu Oycyzna miłsza iest nad życie! Już nie raz Polskę ocalił, a chociaż z krolow polskich pochodzi, chociaż sam iak król iaki wygląda, chociaż iest poważany od samych nawet cesarzów, iednak mile rozmawia z nayprostszym człowiekiem!“ — „O prawda! przerwał iéy Tomek, on do mnie tak mówił grzecznie iak czasem Pan

Wóyt nie zagada, a przecież on większy Pan od Pana Wóyta? A żebyś wiedziała, Matko iaki śliczny! oczy ciemne, twarz miła, a wąs iaki! Czapkę miał trochę na bakier, i tak mu z tym pięknie było! Ale żem ia go ieszcze dotąd nie widział?“ — „On tu nie mieszka, rzekła Małgorzata, czasem tylko przyjeżdza, i nie długo zabawiwszy wraca. Co innego ma do roboty. On całem woyskiem polskiem komenderuie, ma o czém myśleć! Oy! żeby mój Janek żył! pewnoby i iemu i nam dobrze się działo pod tak dobrym wodzem!“

Jeszcze rozmawiali, kiedy zapukał ktoś do chatki, Tomek pobiegł otworzyć, i zobaczył iednego z tych ichmościów, którzy z xięciem iechali. Wszedł: zaczął chwalić Małgorzacie syna, powiedział, że w rzeczy saméy, z samym xięciem rozmawiał i bardzo mu się podobał; wypytywał się biednéy kobiety o wszystkie szczegóły iéy nieszczęścia. Małgorzata opowiedziała mu wszystko śmiało, i wysławiała dobroć xięcia. Odszedł posłaniec, a wychodząc powiedział iéy: „Cieszcie się, poczcziwa kobieto, skończy się wasza nędza,

tém rychléy ieszcze, iż mąż wasz był żołnierzem.“ — W istocie tego samego dnia dowiedziała się Małgorzata, że obok téy chatki, ieszcze przed zimą, postawią umyślnie dla niéy inną nową; że xiaże kazał iéy wyznaczyć kawał gruntu na ogród, krowę, sto złotych na zapomogę i na leki. — Stało się tak wszystko. Uszczęśliwiona Małgorzata poradziwszy się biegłego lekarza, w krotce wyzdrowiała. Jak drugi raz xiaże do Jabłonny przyjechał, iuż mogła pójść do pałacu z synem, paść mu do nóg, i podziękować za ięgo dobrodzieystwa. Zaczęła posyłać Tomka do szkoły; wpaiała w niego te cnoty, których iuż tak szczęśliwe miał zarody; i dzień nie minął, żeby nie prosili oboie gorąco Boga o życie, pomyślność i zdrowie dla swego dobroczyńcy! Nie wysłuchał wszechmocny tych prośb wdzięczności, skryte on ma w sprawach swoich widoki! W parę lat po tym wypadku, właśnie w tym samym miesiącu Październiku, zginął Bohater! nie mógł przeżyć straty Ojczyzny, i w nurtach Elstery znalazł koniec chlubnego życia!

Jeżeli Polska, cała Europa, wszyscy cnotliwi ludzie oplakiwali zgon Poniatowskiego, nie mniej był żalowanym w skromnéj chacie Małgorzaty. Dotąd jeszcze nie tylko ona, ale całe prostactwo ze łzami go wspomina. Te łzy ludu równie iak głośnie pochwały i pomniki z glazu, zaprowadzą go do nieśmiertelności! bo ten tylko prawdziwie wielki, tego imię przetrwa wieki, którego czyny roznosi sława, a pamięć kmiotek w lepiance błogosławi!

XI.

L I S T O P A D.

K O M E D Y A.

Skończył się Październik: minęły zupełnie dni ciepłe, i nastał naysmutniejszy czas z całego roku. Noce były długie, Niebo ciągle okryte chmurami, śniegi, deszcze padały codziennie, i kiedy kto na chwilkę ujrzał słońce, cieszył się iakżeby przyjaciela po długiej niebytności oglądał? — Jednak dnie tak posępne

i smutne, zatrudnienie, przyjaźń, niewinne zabawy, dobrane towarzystwo rozweselić mogą. Doświadczano tego w iednéj wsi za Wisłą, w Gościnie, u Państwa Rosińskich. Tam zabawami umiano skracać wieczory, a przy dobrym ogniu na kominku zapomniano o wiatrach i fladze. Dom był zasobny, ciepły, gościnny, prawdziwie staropolski, sąsiedztwo liczne. Letnią porą każdy zaięty gospodarstwem, rzadko kiedy wyjeżdżał z domu, tyle miał u siebie zatrudnienia, że nie mogąc się nudzić nie szukał gdzie indziéy rozrywki; ale skoro słotna iesień nadeszła, długie wieczory nastaly, Gościn napelniał się ludźmi. Wesola młodzież już przed Adwentem rozpoczynała Zapusty, i przez cały Listopad, gry, tańce, komedye ledwie że nie codzién zajmowały wszystkich. Tak w tym domu przepędzano wesoło miesiąc ten zwykle tak smutny, że starzy i młodzi czekali nań z upragnieniem, a dla dzieci wyrównywał przyjemnością najmilsze lata miesiące.

Państwo Rosińscy nie mieli własnych dzieci, ale maiętni, ludzcy, uczynni, przybrali ich

sobie kilkoro. Liczną mieli rodzinę, nie cała tak bogata była iak oni, uczynili więc z uboższych wybór, i przysposobili sobie czworo dzieci, dwóch chłopczyków i dwie dziewczynki. Umyślili dać im iak naylepsze wychowanie i wyposażyć uczciwie. Do chłopczyków przyięli światłego nauczyciela, wychowaniem dziewczynek trudniła się sama Pani Rośńska.

Krysia i Anielka (tak było na imie dwóm wychowanicom) w równym były wieku; obie skończyły lat dziesięć. Zawsze iednakowo ubrane, tak iednakowego doznawały obeyścia, że każdy z pierwszego rzutu oka brał ie za bliźniaczki. Lecz przypatrzywszy się lepiéy, zgadywał latwo, że tylko daleko spokrewnione były; bo trudno było sądzić: ażeby tyle różnicy między dwiema siostrami zachodzić mogło. Krysia miała nad zwyczaj rozum bystry i poiętny; było dla niéy raz co usłyszeć, co przeczytać, żeby iuż umieć wybornie; do wszystkiego miała zdatność, dowcip wielki i przenikliwy; wszystko spostrzegła, wszystko zobaczyła, i iak to się zwykle zdarza, często

kosztem serca dowcipną była. Wynosiła się nad inne dzieci, nikomu ustąpić nie chciała, szydziła ze śmieszności i z wad drugih, i pomimo całego swego rozumu i żywości, lubioną nie była. Anielka przeciwnie: mało miała pojęcia, z trudnością iéy przychodziło dwóch nauczyć się wierszy, do niczego nie miała sposobności, dowcipu żadnego, ale za to rozsądek, dobroć, czułość, i słodycz rzadką. Pokorna, nieśmiała, wiedziała dobrze iż mało umie, każdemu więc dobrowolnie ulegała, wszystkim ustępowała pierwszeństwa. Nigdy iéy nie przyszło na myśl, żeby śmiać się z kogo, żeby komu przykrość uczynić, i chociaż łatwo było zgadnąć, iż nigdy uczoną nie będzie każdy ią kochał.

Krysia choć w równym z Anielką wieku we wszystkich naukach znacznie ią wyprzedziła; ztąd: powzięła o sobie nadzwyczajne rozumienie, tak dalece, że z politowaniem poglądała na Anielkę; ztąd powstała także przeszkoda do przyjaźni między dwiema kuzynkami; Krysia pogardzała Anielką, Anielka bała się Krysi. Na próżno rozsądna ich opiekunka

chciała równowagę między niemi utrzymać; jeżeli przy lekcyi chwaliła bardziéy Krysię, w każdym innem zdarzeniu wynosiła więcéy Anielkę. Nieustannie iéy słodycz, dobroć, uleganie, za wzór drugiéy dawała. Korciło to Krysię: bo uradziła w swoiéy małéy głowie, że kto niema dowcipu, ten iest dobrym bez zasługi, bo innym bydz nie może. (Jak by to mało było i zlych razem, i głupich na świecie!) Nie cenila więc wcale anielskiego charakteru i ułożenia Anielki. Za wszystkie skarby świata mieniałby się z nią nie była chciała. — Anielka im większy był ziazd u Państwa Rosińskich, tem mniéy znaczyła; Krysia zawsze nad wszystkiemi dziećmi górowała; zawsze kierowała zabawami, zawsze była na czele, i rozkazywała. Kiedy iak to często się zdarza, dzieci udawały między sobą, że są iuż dorosłemi osobami, że przyimuią u siebie gości i częstuią ich niby różnemi dobrymi rzeczami, Krysia zawsze była Panią, a Anielka musiała usługiwać. Już tak we zwyczaj to weszło, że Anielce nie przyszło nawet na myśl, żeby choć raz Panią bydz mogła; iak tylko się

zaczynały podobne zabawy, za pierwszym słowem, brała chusteczkę swoją z szyi, przywiązywała ją zamiast fartuszka, i gotowa była do usługi. Tak było we wszystkich zabawach; zwyczajnie się na tem kończyło: że dzieci po nieiakich zatargach to robiły co Kryścia chciała, a Anielka bez żadnej sprzeczki to czyniła, o co ją proszono. Dzieci nie lubiły Krysi, Anielkę kochały serdecznie. Czuli też samo i starsze osoby, śmiałość Krysi, i jej dowcip, koncepta bawiły każdego, ale serce wszystkich ku Anielce pociągało, i Panie z sąsiedztwa mające dzieci zawsze zalecały swoim corkóm, żeby naśladowały jej dobroć, słodycz i grzeczność, o dowcipie Krysi ani wspominały, wiedząc dobrze: że jej nigdy ani przyiaciół, ani szczęścia nie ziedna.

W Gościnie iak wspomniałam wyżej, skoro się tylko długie wieczory zaczęły, nastawały zabawy wszelkiego rodzaju, i w Listopadzie bawiono się już iakby w zapusty. Był szczególnie w tym miesiącu dzień ieden w którym zjazd był największy; dzień Imienin Pani Rosińskiej dziewiętnastego Listopada przypa-

daiący. Zwykle na parę dni pierwéy, zieżdżało się całe sąsiedztwo, każdy chciał uczcić święto tak miłe, i obchodzić je z iak naywiększą uroczystością. Mąż, wychowanki, domowi, pragnąc także okazać solenizantce przywiązanie swoje, grywali za zwyczaj na świętą Elżbietę iaką komedya, co iednak w naywiększym sekrecie chowano.

Przeszłego roku, ieden z sąsiadów, człowiek światły i przyjemny, napisał umyślnie na tę uroczystość małą sztukę; a że równie iak wszyscy uczęszczający do domu Państwa Rosińskich bardzo lubił Anielkę, przeznaczył i dla niéy rolę. Dotąd we wszystkich komedjach grywanych na Gościńskim Teatrze, Krysia zawsze naywięcéy znaczyła, Anielce ledwie parę słów do mówienia dawano. Tą razą iednakowe miały role co do długości, ale Anielki była pięknieysza. Uraziło to Krysię: i iuż się nie tak cieszyła z téy komedyi iak z innych. Anielka uszczęśliwiona, że pierwszy raz w życiu ważną będzie osobą, i to ieszcze w dzień Imienin swoiéy Dobrodziki, uczyła się z naywiększym zapalem i pilnością. Mało

iak wiemy miała pamięci, z wielką trudnością iéy wszystko przychodziło. Uczyla się więc swoiéy roli i rano i wieczór, czasem i w nocy. Nie raz, kiedy przeczytawszy kawałek iaki i dziesięć i piętnaście razy, nie umiała go ieszcze dobrze, zazdrościła cokolwiek szczęśliwszém od siebie Krysi; ona w minucie kilku nauczyła się wierszy! Często myślała sobie: o Boże! czemuś też i mnie nie dał choć trochę pojęcia i dowcipu? Ale każdy kiedy chce szczerze może wszystkiego dokazać; iednemu to przydzie łatwo, drugiemu z trudnością, lecz skutek ten sam a prawdziwa zasługa zostaje przy tym, który więcéy pracował. Krysia przeczytawszy parę razy swoię rolę, umiała ją wybornie, Anielka uczyla iéy się codzién przez dwa tygodnie, i także bez omyłki całą powiedzieć mogła.

Zbliżał się coraz bardziéy dzień świętey Elżbiéty; iuż od dni kilku ziechało się całe sąsiedztwo, i wiele innych osób z dalszych stron przybyło; żadnego ieszcze roku ziazd nie był tak liczny, samych dzieci z domowemi było do dwudziestu. Nigdy też nie bawiono

się tak wesoło. Dzień miał swoje rozrywki, a kiedy wieczór nadszedł rozpoczynały się gry, tańce, co zawsze późno w noc, a czasem i do świtu trwało. Na tydzień przed świętem, już robiono próby komedyi i ostatnia tak się wybornie udała, że nawet Anielka pomimo swoihey nieśmiałości, nie omyliła się ani razu.

Na koniec nadszedł dzień pożądaný. Od rana Pani Rosińska odbierała dary, czułe powinszowania, i szeszere przyjaciół i domowych życzenia. Obiad był wspaniały; już przy świecach wstano od stołu, i zaraz wszyscy Aktorowie wymknęli się cichaczem. W godzinę potem, Pan Rosiński wszedł do pokoju, gdzie wszyscy goście się bawili i oznaymił: że kompania Artystów przejeżdżająca przez wieś, dowiedziawszy się, iż tyle było osób zgromadzonych w Gościnie, zatrzymała się: i na Teatrze sporządzonym na prędcę chce dać próbę swoihey umiejętności. Domyśliła się zaraz Pani Rosińska iacy to byli Aktorowie? i z nkontowaniem przewodniczyła gościom na górę gdzie był Teatr. Cała sztuka udała się nad podziw. Anielka z razu zmieszana przytomno-

ścią tylu widzów, ośmieliła się i grała wybor-
nie. Na końcu Komedyi iak to zwykle bywa,
każdy z grających obróciwszy się do soleni-
zantki, miał powiedzieć kilka wiezszy stoso-
wnych do okoliczności, ta była scena naywa-
żniéysza. Anielka trzecią była z osób mó-
wiących; wierszyki złożone dla niéy, tak były
tkliwe, tak mocno czułą wdzięczność w nich
wyrażono: że gdy na nią koléy przyszła, tak
się zmieszała, tak się rozrzewniła: że wy-
rzekłszy pierwsze słowa, lzy mówić iéy wię-
céy nie dały; z przestachu zapomniała reszty;
na próżno iakała się, czerwieniała, wznosiła
oczy ku Niebu; nic nie pomogło! Pani Rosiń-
ska, i wszyscy przytomni rozczuleni iéy tkli-
wością, i uięci pomieszaniem, zbliżyli się ra-
zem ku scenie i przez lampy i orkiestrę, po-
rwali ją na ręce. Pani Rosińska ściskać ją
zaczęła i aby ją uspokoić powiedziała ze łza-
mi: że nie mogła podobna sztuka lepszego
mieć rozwiązania. Szło Aktorom iedynie o to,
żeby ją przekonać o ich przywiązaniu, a roz-
rzewnienie Anielki dobitniéyszym od wszy-
stkich wierszy było tego dowodem. Wszystkie

osoby grające zeszły ze sceny; wszystkim dziękowała Pani Rosińska, wszystkie były kontente, nikt żadney wymówki stroskanéy Anielce nie czynił, iedna tylko Krysia znieść tey całéy przygody spokojnie nie mogła. Nauczyła się była aż dwunastu wierszy, a z przyczyny Anielki, nie deklamowała ich wcale! W całéy sztuce z takim grała dowcipem, z taką dokładnością, a wszyscy więcéy byli zaięci Anielką! Męczarnią to było dla iéy miłości własnéy! nie mogła nawet ukryć swego nieukontentowania, wiele osob spostrzegło iéy troski i uradowane były, że ią przecie choć raz upokorzoną widziały.

Przy wieczerzy mówiono ieszcze o ostatniéy scenie; Anielka przez cały czas tak była tem zmartwiona, że zepsuła sztukę, iż się uspokoić nie mogła, przepraszała wszystkich, i ciągle lzy miała w oczach. Pani Rosińska chcąc iéy dodać odwagi, posadziła ią obok siebie. Jak się rozmowa wszczęła o téy przygodzie, Krysia siedząca opodal, nie mogła wytrzymać, i kiedy kilka osób rozrzewniało się nad czulością Anielki, rzekła na głos: „Prawdziwie

że nie trudno było spodziewać się po Anielec takiego dowcipu? — Jak to? rzekł Autor sztuki, naprzeciw niéy siedzący; coż to Panna Krystyna przez te słowa rozumie? — Bo nie sposób, dodała, ona to chyba naumyślnie zrobiła. Kto się uczy przez dwa tygodnie dzień i noc kilku wierszy, choćby był papugą, to by ie mógł spamiętać! — Oburzyli się wszyscy na te złośliwe słowa Krysi, oburzyli się tem więcéy, kiedy spojrzawszy na Anielkę uyrzeli ją we łzach. Wstać aż musiała nieboga od stołu tak się rozplakała. Pani Rosińska przeprosiwszy gości, pobiegła za nią. „O Boże! mówiła lkaiąc Anielka, iabym taką rzecz umyślnie zrobić miała? Jak mogła tak brzydka myśl przyiść do głowy Krysi? Ach! ieżeli kto ma dowcip i pojęcie, koniecznie złym bydz musi, dziękuję ci Boże! żeś mi go nie dał! Tu Anielka klękała, a złożywszy drobne swoje rączki, wzniosła ku Niebu zaplakane oczy, i nowemi zalala się łzami. Długo szanowna iéy opiekunka utulić iéy nie mogła; nie chciała żadnym sposobem póysdź do gości, i została w pokoju. Pani Rosińska wróciła

do sali. Już oddawna zbierała się na to, żeby wielką dać Krysi naukę, moment ten zdawał się się pomyślny, nie zważając więc na zjazd tak liczny, w przytomności wszystkich zawstydziała ją; a powtórzywszy słowa Anielki, dawszy poznać Krysi, iak daleko lepiéy bydz dobrą niż dowcipną, kazała iéy wstać od stołu, i wyjść z pokoju. Dowiedziała się o tem Anielka, przybiegła prosić za Krysię, ale Pani Rosińska nie dała się przebłagać. Cały dzień następujący Krysia nie pokazała się gościom, a rozsądna iéy opiekunka tyle iéy prawd powiedziała, tak ie zręcznie i iasno wyłożyć patrafiła, że dziewczynka uznała: iż nigdy pysznić się nie trzeba z dowcipu i pojęcia, bo te wtenczas tylko nabierają ceny, kiedy im skromność i dobroć towarzyszy. Rozum źle użyty więcéy szkody niż korzyści przynieść może. — Krysia obiecała się poprawić, niewiem czy dotrzyma słowa, ale to wiem, że Anielka zawsze z większą łatwością miłość powszechną iednać będzie.



XII.

GRUDZIEŃ.

LUDWISIA i HELENKA.

Naypospolitsza u wszystkich dziewczynek wada iest nieporządek: mało widzieć można takich, któreby tak grzeczne, pilne i staranne były, żeby ochraniały sukienek swoich, żeby wszystkie rzeczy chowały, nigdy nic nie zmarnowały i nie zgubiły; ale żadna téy szpetnéy wady tak daleko nie posunęła iak Ludwisia Wareńska. Od dzieciństwa tak była nieporządna, że aż przykro patrzeć na nią było. Choćby ją iak nayładniéy ubrali, uczesali, umyli, w moment ieden pogmiotła, poplamiała suknię, potargała włosy, zawałala twarz i ręce. Pończoch nigdy nie obciągnęła, najlepsze przydeptała trzewiki, niezmiernie lubiła w chustce chodzić, a nie włożyła iéy nigdy prosto na szyję. Wiecznie czegoś szukała, wiecznie iéy manatki, zabawki poniewierały się po wszystkich kątach; xiążki iéy i zeszyty do pisanja powalane były, iednego wiersza

napisać nie mogła żeby nie posadzić wielkiego żyda; roboty nigdy nie złożyła; nacyjściéy pończocha leżała na ziemi, klębek płatał wszystkim nogi, druty wypadaly i oczka się psuły; igieł codzién kilka straciła. W iéy szafce i stoliku wszystko tak było porozrzucane, że ona sama do niczego trafić nie mogła. Nie pochodziła ta wada Ludwisi z prędkości i roztrzepania, tylko iedynie z lenistwa. Ludwisia tak była powolna i rozlazła, że aż gniewała wszystkich. Kiedy ją budzono rano, iak się zaczęła przeciągać, wyciągać, ziewać, to minęło pół godziny nim się podniosła i wstała. Zaczynała się potem pomalutku ubierać, obuwiała są przynajmniéy kwadrans, iak włożyła iedną pończochę, to długo myślała nim zawiązała podwiązkę, dosyc że: nim ona w ranne suknie się ubrała, inż oddawna bracia iéy ziedli śniadanie, bawili się, albo też zasiedli do nauki. Na prożno rodzicie strofowali ją, i ganili taką gnusność i opieszałość, Ludwisia się nie poprawiała.

Jednak więcéy niż komukolwiek potrzebnym był Ludwisi piękny przymiot porządku

i ochrony; więcéy od innych dziewczynek powinna się była starać wszelkiemi siłami o nabycie czynności i pilności, bo Ludwisia wcale nie była maitętną. Rodzice iéy trzymali dzie-rżawę, własnego nie mieli maitątku, a Bóg prócz Ludwisi dał im sześcioro dziattek, i to samych synów. Dobrze Oyciec myśleć i pracować musiał, często nocy nie dospał, żeby mógł wyżywić i odziać tak liczną rodzinę, i iaką taką edukacyą dadź dzieciom. Dobrze Matka przysiedziała, nim całą obszyła dzieciarnią, dobrze musiała oszczędzać, żeby przy szczupłym dochodzie, tyle osób miało wygodę.

Ludwisia najstarsza z rodzeństwa, gdy już doszła lat dwunastu, wielką by mogła Matce bydź pomocą w szyciu i w gospodarstwie. Pragnęła tego Pani Wareńska, ale z niczem się na nią, spuścić nie można było. Ile razy Matka posłużyć się nią chciała, zamiast ulżenia sobie przyczyniała ieszcze roboty. Jeżeli n. p. posłała ją do spiżarni, powtorzywszy iéy piérwéy kilka razy co będzie na obiad i na wieczerzą, Ludwisia nim zaszła, zapomniała. Ludzie kiedy się im nie przypomni, nie wezmą

nigdy wszystkiego od razu, zwyczajnie też kiedy Ludwisia ze spiżarni wydawała, nie wybrali połowy potrzebnych rzeczy, i znowu po chwilce pcychodzili z oznaymieniem: iż im tego i owego brakuie. Ludwisia tym czasem zawlekła gdzie klucze, trzeba było ich szukać po całym domu, i tym sposobem zamiast żeby z iéy usług pomoc iaka była, dodawała ieszczé mitregi. Toż samo się działo i z robotą; kiedy Pani Wareńska chciała żeby iéy córka dopomogła w zrobieniu iakich sukienek dla braci, Ludwisia nie uszyła i dwudziestu ściągów, a iuż zatraciła kliny, paski, zgubiła igłę, potargala iedwab albo nici, i matka z gniewem odbierała iéy robotę.

Szpetny ten nalóg nie zmniejszył się wcale z wiekiem, owszem im bardziéy Ludwisia rosła, tem więcéy znać na niéy było nieporządek tem mocniéy szpeciła ją gnuśność; i lubo miała iak naylepsze serce i słodkie ułożenie, Matka plakała często myśląc sobie: *Co to z niéy będzie?* Ale szczęściem dla Ludwisi przyiechała w te strony gdzie ona mieszkała, Pani Salińska rodzona siostra iéy matki. Nie

była także mądrą, mąż umarł iéy przed rokiem; szukając po téy stracie pociechy, zbliżyła się do siostry, którą nad zwyczaj kochała, i o milę od niéy wzięła dzierżawę. Miała czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki. Najstarsza Helenka skończyła lat czternaście. Prawdziwym wzorem we wszystkim bydź mogła, ale szczególniéy celowała porządkiem, pracowitością i czynnością. Matka iéy nie mając męża, trudnić się musiała sama mężkiem gospodarstwem, na głowie Helenki był więc cały obchód domowy, i choć w tak młodym wieku z taką dokładnością dopełniała swojego urzędu, że wszystko szło iak nayskładniéy, i Helence tyle ieszcze zbywało czasu: że mogła się zaiąć robotą i kształceniem umysłu swojego, czytywać, pisać, szyć dla siebie i dla rodzeństwa.

Właśnie w Grudniu ukończywszy interesa swoje, Matka Helenki osiadła w nowem mieszkaniu na dziesięć dni przed Bożem Narodzeniem. Zaięta wraz z córką, urządzeniem, uporządkowaniem domu, nie chciała bydź u Państwa Wareńskich na święta, ale ich upro-

siła: że przyjadą do niéy na cały tydzień. Przygotowała dla siostrzanków swoich, znaczny zapas iablek, orzechów, pierników, stoczków, zabawek, napiekła smacznych sztrucli, Kazio starszy iéy syn iaselka pokazywać umiał, zeszły więc wesoło święta, i nikt się nie spostrzegł kiedy minęły.

Helenka lubo miała lat czternaście, z chęcią należała do zabaw dziecinnego wieku; ślepa Babka, cztery kąty, dzwonek, chowanie, wszystkie podobne gry zajmowały ją całą. Ale jeżeli lubiła się bawić z rodzeństwem i z kuzynami, z Ludwisią nierozdzielną się stała. Rokiem tylko różniły się od siebie w wieku, i w krótkce bardzo się zaprzyjaźniły.

Cieszyła się z tego związku Pani Wareńska, bo miała nadzieję: że przykład wymowniejszym od słów się stanie, że Ludwisia przypatrzywszy się z blizka Helence, zażąda byđż do niéy podobną. Wrzeczy saméy tak się stało. Ludwisia długo poiąć nie mogła iakim cudem Helenka tylu rzeczom wydołać może? widziała dobrze: iż choć całém gospodarstwem zaięta ma czas na czytanie, na robotę, i na zabawę;

sobie i drugim tyle rzeczy robi, i przytem zawsze jest wesola i nigdy niema zasepionéy miny. Przez całe święta i kilka dni po nich, przypatrywała iéy się pilnie. Widząc Helenkę zawsze czynną, pełną życia, porządnie ubraną, wstydzić się zaczęła swoiéy gnusności i niedbalstwa, starała się rozruchać, i nigdy w życiu tyle żywości, i tyle zaięcia się ubiorem swoim nie okazała, iak wtedy. Nareście na dwa dni przed Nowym rokiem, wieczór o szaréy godzinie, kiedy obie Matki, i Pan Wareński siedząc przy kominku, rozmawiali o gospodarstwie, kiedy Kazio dzieciom iaselka pokazywał, Ludwisia i Helenka przechadzały się po pokoju, z razu mówiły z sobą obojętnie, na końcu przyszło do téy rozmowy.

Ludwisia. Moia droga Helenko! chociaż ciebie nie dawno znam, kocham cię iednak serdecznie, ale nie dziwię się temu, boś ty jest moią cioteczną siostrą, a do tego tak dobrą i miłą, że trzeba koniecznie serce ci oddadź.

Helenka. Niewiem czembym zasłużyła na tak pochlebne wyrazy? tem chyba, żem i ia ciebie szczerze pokochała.

Ludwisia. Ach! ia nie iestem godna twoiéy przyiaźni!

Helenka. Jakże to możesz mówić?

Ludwisia. Tyś daleko lepsza odemnie. Tak iesteś porządna, robotna, przyjemna, a ia żadnéy niemam zalety.

Helenka. Żadnéy! to zbytnia skromność! Ale choćbyś we mnie upatrzyła przymioty których ieszcze sama nie posiadasz, nie dziw się! wszak starsza iestem od ciebie. W rok nie tylko dogonić ale przewyższyć mnie możesz.

Ludwisia. Gdzie tam! nigdy! Ja bym tylko chciała byđź cokolwiek podobną do ciebie. Mama mnie zawsze łaie żem gnuśna, nieporządna, leniwa, ia to sama czuję; a od czasu kiedym ciebie poznała, przekonywam się, iak niežnośną byđź muszę. Naucz mnie, Helenko! co ty robisz, żeby byđź taką iak iesteś? To cię wiele pracy kosztować musi?

Helenka. Pracy! wierz mi że wcale nie, bo i cóż ia tak nadzwyczajnego robię?

Ludwisia. Ale powiedz mi z kąd bierzesz godziny do tylu zatrudnień? tego nie poymię, bo ia nie wiele robię, a mnie zawsze brak czasu.

Helenka. Kiedy chcesz to ci opowiem iak za zwyczaj dnia używam, bo przy was, i przez święta rozbałamuciłam się trochę. Naprzód wstaie dosyć rano, letnią porą o szóstey godzinie, w zimie o siódmey; wstaie od razu iak się tylko obudzę, bo Mama leżeć nie pozwala. Ubieram się iak nayprędzey; wiesz że niemam służący dla siebie, ieszcze więc wieczór kładę przy łóżku wszystko co mi nazaiutrz potrzebnem będzie. Ubrawszy się mówię pacierz; potem pytam się Mamy co będzie na obiad i na wieczerzą? idę do spiżarni, do Apteczki, wydaie wszystko na cały dzień i wracam do pokoju. Przez ten czas moi bracia i siostry się obudzają; dobywam dla nich świeżey bielizny i sukienek. Jak ich służąca ubierze, oglądam czy im czego nie brakuie? Wszyscy razem iemy śniadanie; po śniadaniu, czytam głośno iaką nabożną xiażkę; to wszystko trwa do dziewiątę. Do w pół do dwónastey, mam czas zupełnie wolny; wtedy piszę, czytam z Mamą lub sama, uczę się czego na pamięć. Poymuiesz łatwo, że blisko przez trzy godziny pracuiąc ciągle, można wiele zrobić. O w pół do dwónastey chowam xiażki i papiery,

i obchodzę nasze pokoiki. Patrzę czy porządnie sprzątnione? gdzie kurz spostrzegę ścieram, gdzie co porozrzucanego układam, i idę się ubierać. O pierwszý daią obiad; całe poobiedzie i cały wieczór przeznaczone są na zabawę, i na robotę. Uważ iaki to czas długi! wystarcza on mi na obszycie siebie i rodzeństwa. W lecie chodziemy na przechadzki, a teraz wieczorami czytujemy różne moralne i zabawne książki, mama nam wiele ciekawych rzeczy opowiada, i tak dzień cały iak najmiléy schodzi.

Ludwisia. Ale moja Helenko! iakże? ty nic nie zostawiasz czasu na bałamuctwa?

Helenka. Na to niemam i minuty, i nie potrzebuje iéy wcale.

Ludwisia. Jak to? tobie niewydarza się nigdy czego szukać, i nie czynisz żadnéy przerwy między iedną czynnością a drugą?

Helenka. Nie. U mnie każda rzecz ma swoje miejsce, zawsze ją na niém kładę, a zatém nie szukam nigdy. Po cóż mam bałamucić, i myśleć długo nim co zacznę? iak tylko iedno zatrudnienie skończę, idę zaraz do drugiego.

Ludwisia. Ach! gdybym to i ja tak robić mogła!

Helenka. Czemu nie! chciéy szczerze, a potrafiysz od razu.

Ludwisia. Dobrze. Ale żebyś wiedziała, ile mnie to kosztuje, kiedy ja chcę być czynną i żywą.

Helenka. Każdy początek jest trudny, lecz wpraw się tylko cokolwiek, a zobaczysz, że nie podobno ci będzie, być gnuśną i leniwą.

Ludwisia. Ach! gdybyć się sprawdziły słowa twoie. Jakby Mama szczęśliwą była, żebym ja choć trochę podobną do ciebie się stała?

Helenka. Będiesz daleko lepszą, bo mnie wiele niedostaie.

Ludwisia. Taką iak ty, Helenko! to moje iedyne żądanie. Jutro wracamy do domu, wy poiutrze do nas przyiedziecie. Dopomożesz mi do rozkładu godzin moich, będziesz mnie rano budzić, przestrzegać mnie zechcesz skoro do dawnéy opieszalóci wracać będę. Za dwa dni Nowy rok, porządnie zacznę moię poprawę, a wsparta twemi radami, zachęcona

przykładem, mam nadzieję, że stanę się porządną, pracowitą, czynną bez wielkiego kłopotu.

Helenka. Ani wątpię że tego dokazesz.

Ludwisia. Droga Helenko! ileż ci winną będę!

Uściskały się tu obie kuzynki, i resztę wieczora na podobnych rozmowach strawiły. — Ludwisia tyle dołożyła starania i pracy, iż zaniechała zupełnie dawnych swych nałogów; usłuchała rad Helenki, zapatrywała się we wszystkim na nią, i w krótkim czasie różnicy prawie żadnej nie było między kopią i oryginałem. Uszczęśliwiła tą odmianą rodziców i tak czulą przyjaźń powzięła dla Helenki, że dotąd kochaia się iak rodzone siostry, a pilne, pracowite, porządne, przyjemne, chluba są i ozdobą rodziny swoihey.





ODDZIAŁ DRUGI.

POWIEŚCI ORYGINALNE.

I.

LISTY MONISI ***

DO

PRZYJACIOŁKI SWOJÉY KAROLINY ***.

z Warszawy 20. Lutego.

Wyiechalaś, droga Karolino, i to na same
Ostatki! wielka szkoda! tak nam dobrze było
razem! tak mi się długim tydzień od twego
wyjazdu wydawał! Już teraz, nie będę się
tak wybornie iak przy tobie bawić! Nie do-
bra twoja Mama, że zawsze w téy Litwie ma
interesa. A właśnie iakby na złość, niezmie-
nie częste dziecinne bale; iuż były dwa w tym

tygodniu. W ostatni wtorek będzie bal u nas, także dziecinny, ale cała Warszawa na niego zaproszona. — Stróy mi robiȧ prześliczny, bo to będzie bal *Kostumowy*: będę ubrana za dawną Polkę, Włodzio za Polaka, Frania i Emilka iak Krakowianki. Mama ięździ codzięń do Kupców, i różne zwozi towary. Jaka szkoda, że ciebie tu niema, miałybyśmy pewno iednakowe stroie... Tak mam temi balami głowę zaiętą, że lekcye ieszcze gorzėy iak za zwyczaj idą, a Tacie znowu dzisiay bardzo wiele xiążek przynieśli, i mnie się niektóre dostały. Wiesz, że Tata chciałby koniecznie, żebym ia tyle umiała iak on. Z iednych dzieł kazał mi treść wyciągnąć, z drugich wypisać niektóre wyiātki; niewiem czy to potrafię, i kiedy do tego czas znajdę? chyba koło Wielkiėy Nocy. Mam także nowych nót mnóstwo, których nie gram i dziesiatėy częsci. Jednak zaczynam nabięrać trochę wiēcėy gustu do Muzyki, od czasu iak Panna D..... lekcye mi daie; ona tak pięknie gra sama, że zachęca; ale cóż kiedy to nie przychodzi bez wielkiėy pracy? a ia do pracy nie stworzona.

Panna D..... mówi, że chcąc dobrze grać, trzeba się kilka godzin na dzień wprawiać; dziękuję za tę łaskę! Wreszcie cóż nam *Panom* po muzyce? gramy iedynie żeby też grać; i ia iak póydę za mąż, będę zapraszać do siebie naysławniéyszych Artystów, będę ich słuchać, ale żebym miała sama się męczyć, tego potrzeby nie widzę. I z rysunkiem podobnież uczynię; bo i ten nie łatwo mi przychodzi; prawie zawsze metrowie wszystko za mnie robią; ia nie mam talentu, i nic dziwnego! Bóg sprawiedliwy, ubogim dał talenta, bogatym pieniądze. — Jednak Mama życzy sobie koniecznie żebym rysowała; mówi, że to z czasem przyidzie, i dla tego prócz tych dwóch metrów, których miałam do miniatur i do drzew, ieszcze mi trzeciego do kwiatów przyięła; to iuż ich będzie ogółem ośmiu, ieden do tańca, drugi do muzyki, trzeci do polskiego, czwarty do francuzkiego, piąty do angielskiego ięzyka, i trzech do rysunku. Wielkie szczęście, że nie wszyscy codzién przychodzą, bo niewiem, iakbym sobie dała radę; często się też zdarza, osobliwie w za-

pusty, że bilet wzięwszy odchodzą; nie sposób wszystkiemu wystarczyć.

Jednak to moja Karolino, wygodnie byź bardzo bogatym; pamiętam, że iak u was był ten balik dziecinny, to i ty i siostry twoie i Mama byłyście niezmiernie zaięte; my zaś wcale nie. Już za trzy dni ma byź ten wielki bal, tylu rzeczy, tyle stroiów potrzeba, my o niczém nie wiemy. Tata się trochę kręci, sześć naszych kobiet szyje w garderobie; trzódniéysze szczegóły robią u modniarek; marszałek i kamerdynery rozmaite rzeczy od kupców znoszą, Mama gości przyjmuie których zawsze mnóstwo bywa, a ia cały dzień z metrami albo w salonie. Lecz nie poymuie, dla czego przy tém wszystkiém Mama i Tata niezmiernie są smutni, ieszcze bardziéy iak przy was. Póki są góście, to weseli, ale kiedy sami, to niech Bóg zachowa; dziś właśnie rano zastałam Mamę płaczącą, Tata chodził zamysłony po pokoju; chcąc ich rozerwać, pokazałam im śliczny szal tyfetykowy, który iedna kobiéta na sprzedaż przyniosła. Mama i patrzée na niego nie chciała; Tata wyszedł i

zamknął drzwi z trzaskiem; iednak po obiedzie przywołali kobietę, i Mama szal kupiła. Dali iéy iakieś stare śrebra brzydkie i pierścień brylantowy, okropny antyk. Mama powiada, że ten szal iak znaleziony taki tani; sześćdziesiąt dukatów rachowała go sobie ta kobiéta, a ogromny, i prawie nowy. Często także, bardzo często, iacyś Ichmoście i iakieś Imoście się schodzą; Tata kiedy tylko może zmyka co tchu przed niemi; a choć czasem iest w domu, każe mówić, że go niema. Jedna kobiéta osobliwie, codzień przychodzi, iak ią Tata zobaczy, zawsze zblednie, tak się zmiesza!... — Ach! żebyś wiedziała, iak Frani ładnie w Krakowskim ubiorze? Emilce nie tak bo śniada, i mnie dosyć do twarzy w moim kołpaczku; a co Włodzio, to do ziedzenia w swoim polskim stroiu; taki poważny, taki wspaniały! prawdziwie na wielkiego Pana inż wygląda. Nie zawstydzi naszego rodu. Nie każdyby dzieci swoje tak ubrać potrafił! Mama wzięła za 30 dukatów samych koralu u Jubilera, a co inne rzeczy kosztuią? Ręczę, że nikt nie będzie tak suto iak my ubrany; nie

dziwnego; bo też i bardzo mało będzie nam równych!... O szkoda! jeszcze raz szkoda! że ciebie tu niema! z tobą chętnie byłabym w parze, prawda, że nasz majątek nie iednaki, ale urodzenie, prawie takież same; a wreszcie przyiaźń naszych Matek i nasza... Byway zdrowa! przyszedł iak na złość ów metr od kwiatów; wielkábym miała ochotę go odprawić i dać mu bilet, lecz piérwsza lekcyą! wstydzę się. Byway więc zdrowa, kochana Karolino, pisuy do twoiég

Monisi.

LIST DRUGI.

z Warszawy 27. Lutego w Sobotę.

Już tedy i po naszym balu. Sławny był. — Cała Warszawa ma dotąd cuda o nim prawić. Że było suto i wspaniale to nie sekret; do białego dnia tańcowali; ale nasze stroie wcale nie były naybogatsze; znaydowały się na nim dzieci daleko kosztowniéy ubrane, i jeszcze iakie dzieci! A przed balem co się działo to strach! Wystaw sobie, że nasz kucharz Francuz upił się, i niewiem co porobił, ale całą

kolacyę popsuł, naykosztowniejsze rzeczy, wszystko zmarnował. Tata musiał co tchu drugą kolacyą u Szowota obstalować, ledwie się podiał, i to za niezmierne pieniądze. Pożyczyli kilka zwierciadeł od Kupców, dla większey salonów ozdoby, i chłopiec kredensowy, zawieszając stłukł naywiększe. Kamerdyner Taty powiadał, że to na siedemdziesiąt dukatów szkoda. — Bardzo rzecz piękna dawać bale, nawet koniecznie wypada takim Pantom iak my, ale ci się przyznam, moja Karolino, że to kłopot wielki. — Biedna Mama tak się tym kucharzem, tém zwierciadłem zgryzła, a potém przystraianiem stołów tak się umęczyła, że aż zasłabła; leżała całe popołudzie, i dopiero wstała na dwie godziny przed balem. I co szczególnego! ieszcze nigdy tylu Ichmościów nie było co w ten dzień! Tata, który zawsze taki dobry, iednego z nich ze schodów zepchnąć kazał; musiał téż to bydź waryat, bo historye wygadywał na nas, że bale wydajemy. A iemu co do tego!... Jak się goście zaczęli zieżdżać, wszystko się uspokoiło i iuż było dobrze. Po Mamie nie

znać było ani słabości, ani kłopotów, taka była ładna i uprzejma. Słyszałam mówiących, iż nikt ieszczę téy zimy takiego nie dał Balu. Dzieci narachowałam do dwudziestu, starszych osób nie równie więcéy; ia téż tylko i Włodzio cośmy trochę tańcowali. Emilka i Frania szczególnie raz Mazurka poszły; bo się nie można było dzieciom przed słusznemi pannami, a osobliwie przed mężatkami do koła docisnąć. — Przynajmniéy żeśmy mieli wyborny podwieczorek, ananasy, winogrona, wszelkie owoce, cukry, ciastka, lody; Frania się tak naiadła, że ieszczę na żołądek słaba. Co kolacyi to żadne z nas nie doczekało, a miał Szowot pysznie wystąpić; iak się tylko inne dzieci roziechały, natychmiast Frania i Emilka spać poszły; ia iako naystarsza chciałam zostać z Włodziem do końca, ale nie mogąc tańcować, usnęliśmy szczęśliwie na stołkach. . . . Lecz o czém zapominam. Ach! żebyś wiedziała iaką ia miałam parę! Wystaw sobie, że na tym balu, obok naypierwszych w kraiu osób, obok całéy elegancyi, były cztery figury, których nikt nie znał. Oyciec, Matka,

i dwoje dzieci, dziewczyna i chłopiec. One to były z nami w parze, i nierównie kosztowniey od nas ubrane. Pomimo tych wszystkich świecidelek i kleynotów, wszystko czworo okropnie wyglądali, bez żadnego tonu, bez żadney edukacyi; każdy się o nich pytał i dziwił się bardzo dowiedziawszy się o ich nazwisku. Tata zaś i Mama niesłychanie byli dla nich grzeczni; mnie i Włodziowi kazali się zaprzyjaźnić z ich dziećmi; a nieznośne dzieci, o samych pieniądzach gadały. Przyznam ci się, że mi bardzo było przykro, w takiéy bydź parze. Już to prawdę mówiąc, iakiś nieszczęśliwy był ten bał; nie tylko Frania ale i Mama od niego słaba, a Tata okropnie zmizerniał. Mnie saméy nadzwyczajnie smutno; może dla tego, że post, a naypewniey dla tego, że ciebie tu niema. — A kiedy wrócicie? moia Karolino, donieś mi. Tęschno mi bardzo bez ciebie; niemam nawet z kim otwarcie pomówić; Mama zawsze zatrudniona albo słaba; Włódzio rad nie rad siedzi nad naukami, Frania i Emilka ieszcze małe; wracayże prędko, Karolino, do szczerze kochaiący cię Monisi.

LIST TRZECI.

z Warszawy 13. Kwietnia we Wtorek.

Już sześć tygodni nie pisałam do ciebie, droga Karolino, bom była bardzo chora. Wszyscyśmy mieli odrę; ja zaczęłam, najmocniéj i naydłużéj chorowałam; dotąd nawet biorę lekarstwa, kaszlę ieszczę, oczy mnie bołą, i niezmierniem osłabiona. Kochana Mama! Co téż z nami miała biedy! ale Panom to i o zdrowie łatwiéj iak innym ludziom; dwóch Doktorów codzién u nas po dwa razy bywało, trzymali nas iak w piecu; a cośmy lekarstw wyżyli to nie do pojęcia; musieliśmy koniecznie ozdrowieć. Bardzo mi smutno post zszedł. Dopiero onegday w pierwsze Święto Wielkanocne wyszłam do Salonu; paradne było u nas Święcone; mnóstwo ludzi! lecz cóż? kiedy były i owe nieszczęsne figury; a tak duszno, żem mocniéjszego kaszlu dostała; i teraz Bóg wie kiedy wyiadę na powietrze i w Kościele będę. Dopiero to w słabości prawdziwie uczułam iak źle, że ciebie tu niema! okropniem się nudziła; a żebyś wiedziała iakie dziwne i smutne słyzałam rzeczy! Kobiety nasze

pilnując mnie, historye między sobą gadały. Myślały pewno że ja śpię, a ja dobrze wszystko słyszałam. Mówiły że my iesteśmy prawie ubodzy; że nie nie mamy prócz długów po uszy; że iak Tata z Mamą dłużéy tak wspaniale żyć będą, to wyidziemy na gałgany. Poczciwa nasza Bona aż płakała przy téy rozmowie. Niezmierniem się tém zmartwiła, ale nicem się ich nie wypytywała, bo wiesz że Mama zabrania wdawać się ze sługami; ułożyłam sobie, iż skoro wyzdrowieję, zaraz Mamę się zapytam; ale nie przyszło do tego; i wreszcie muszą to być bayki. Wszystko tak jest u nas iak było dawniéy; tyle służących, tyle koni, takie obiady, takie wieczory; metrowie inż rozpoczęli lekcyę; Mama się zawsze tak pięknie ubiera, Tata książki i obrazy skupuje. Bayki więc kobiety kłecily; ale to pewna, że Mama i Tata coraz smutniéysi; zapewne z iakiéy innéy przyczyny, bo gdzieżby to być mogło, żeby my kiedy bogatemi być przestali? Żegnam cię, luba Karolino, kończyć muszę; émi mi się w oczach; byway zdrowa. Dziękuję ci za twoje listy. Były moją pociechą w słabości.

LIST CZWARTY.

Z** 15. Maja w Sobotę.

Znowu miesiąc upłynął, a iam do ciebie nie pisała. Nie niewiesz, że od dwóch tygodni iesteśmy u siebie na wsi. Tak my dzieci osłabione byłyśmy po téy odrze, ia szczególniéy, że się Doktorowie suchot obawiać zaczęli, i kazali wyiechać ze mną na świeże powietrze. Mama natychmiast przywiozła nas tutaj; z samych Doktorów namowy, zaprzestałam wszelkich lekarstw, chodzę tylko wiele, rano wstaie, piie mleko, znacznie do sił przychodzę, iuż nawet tyć zaczynam. Bardzo nam tu wesoło, chociaż na wsi, bo czas śliczny, i gości mnóstwo. Wiesz że nasza wieś nie bardzo od Warszawy daleko, zjeżdżaią się więc codziennie; i nawet ci Ichmoście przed któremi Tata radby uciec, i tu do niego trafiaia; ale on mało co w domu siedzi. Nie wiem iak się to stało, żem do ciebie przez te dwa tygodnie nie pisała, bo na okazjach do Warszawy nie zbywa; codzien marszałek wysyła furę po kuchenne potrzeby, po pietruszki, szparagi, sałaty, i t. p. rzeczy, bo tu nic niema. Ogrodnik Francz nie dba o

te drobiazgi. Ale zato bardzo ładnie; ogród angielski niezmiernie się rozkrzewił; nie poznałabyś klombów takie gęste; teraz prawdziwy gaik w tém miejscu, gdzie nasza kanapka; prawie jeszcze cała, i litery na drzewach znać dobrze. Szkoda tylko że kanały które Tata kapoć kazał, zarosły, a wiatr altankę chińską wywrócił, i ten most napowietrzny zerwał. Tu iakieś okropne muszą bywać wiatry, bo i stodoły, i obory i chałupy się walą. Oranżerya śliczna, tysiące iest nayrzadszych roślin i kwiatów. Do końca Czerwca tu zabawiemy. Cieszę się niezmiernie. Czas piękny, tak zielono; już bzy kwitną. Żadnych niemam lekyi, bo mi Doktorowie odpocząć kazali; czytam tylko te xiażki, które mi Tata dał jeszcze w Zapusty, i trochę więcey roboty robię; iednak ten kobierczyk jeszcze nie skończony; przyznam ci się, że nie lubię bawić się igłą; zdanie mi się zaraz żem sługa. Włodzio także mniéy się uczy i bardzo z tego kontent; wiesz że on nie chce przykładać się do niczego; mówi zawsze i słusznie: „Będę Panem, będę bogatym, obeydę się bez nauki.“ Bądź zdrowa,

kochana Karolino. Kiedy też i tutaj te nieznośne figury trafiły; przyiechały; Mama mnie wołać każe, żebym się z ich dziećmi bawić przyszła. Muszę iść i ciebie porzucić.

LIST PIĄTY.

20. Czerwca w Niedzielę.

Już też teraz nie własną ale twoją winą nie pisałam tak długo do ciebie; może mnie już nie nie kochasz; jeszcze po odrze żadnego listu od ciebie nie odebrałam, a już trzeci piszę. To wcale nie pięknie. Za pokutę słów tylko kilka odemnie odbierzesz. My za trzy dni wracamy do Warszawy z całym taborem; zbliża się ten nieszczęśliwy Ś. Jan, który co rok wszystkich tylu kłopotów nabawia. Jakem dziś Mamie wspomniała, że już ten dzień bliski, tak zbłądła, żem się aż przelekła. Tata od czterech dni w Warszawie, przez cały czas pobytu naszego na wsi mało w domu gościł, jeździł ciągle, iak słyszałam po pieniądze. — Obiecałam że mój list krótki będzie; dotrzymuję obietnicy, bo do prawdy że się gniewam.

LIST SZÓSTY.

z Warszawy 25. Czerwca w Piątek.

Ach! moja Karolino! co się też wczora u nas działo! niewiem doprawdy iak ci to opisać potrafię? Przyiechaliśmy tu około południa; okropny był nasz przyjazd. Stanęliśmy przed naszym pięknym pałacem. Tata blady i pomieszany wyszedł naprzeciwko nas! „Toś się zmineła z moim posłańcem? biedna żono! powiedział do Mamy, wysadzając ją z karęty, próżne są wszystkie moje zabiegi!“ Dopiero wszedłszy do domu zrozumiałam co te słowa Taty znaczyły? Ach! cóżeśmy tam zobaczyli!... Wystaw sobie te ogromne salony i pokoje tak pięknie umeblowane, zupełnie ogołocone i puste, łóżka, dwa stolki drewniane, i stół kuchenny, to w sypialnym pokoju stało. Owe kanapy, bióra, szafy machoniowe, te brony, kolumny, alabastry, marmury, wszystko znikło; zwierciadła, obrazy, draperye pozdeymowane, same ćwieki i dziury w murze pozostawały. — Moje nawet rzeczy, ów ładny stoliczek, owa szafeczka od twoiéy Mamy, nie tego niema!... Mama zobaczywszy te straszne

pustki, oprzeć się aż o ściane musiała, bo byłaby padła; my dzieci pytałyśmy się wszystkie: „Cóż się to znaczy?“ — „Nie były te rzeczy nasze, odpowiedział nam Tata z okropnym uśmiechem, ci do których należały, odebrali iako swoje!“ „Jak to?“ zawołałam zdziwiona. „Tak! tak! odebrali iako swoje! nie naturalniejszego!“ I to mówiąc rozśmiał się jeszcze okropnie, i spojrział na nas takimi obląkanemi oczyma, żeśmy się wszyscy zlekli. I Włódzio i Frania i Emilka przytulili się do łóżek, poszłam i ja z niemi, a widząc że Mama płacze, i my plakali! Tata chodził szybkim krokiem po pokoju, i sam do siebie iakieś niewyraźne mówił słowa; to było okropnie; ale wnet inna scena nastąpiła. Zaczęli się schodzić, Bóg wie nie iacy Ichmościowie; kupcy, modniarki, metrowie, rzemieślnicy, przekupki i inni; iedni prosili, drudzy wołali, żeby im Tata oddał ich pieniądze; byli tacy, którzy nawet okrutnie klęli, aż dreszcz przechodził słuchając. Jedna kobieta mnie niezmiernie rozczulila; (ta sama o której ci raz pisałam) przyszła do tego miejsca

gdziem stała, zaczęła mnie całować w nogi, i mówić: „Niech się Panienka za mną wstawi. Rok temu, pożyczyłam Wielmożnym Państwu krwawo zebrane sześć tysięcy złotych; Pan dał mi słowo i zapewnienie na piśmie, że na zawołanie moje odda mi tę summę. Już od pół roku prawie codzién tu chodzę, i błagam go, ieżeli mi w trzech dniach nie odda, zginę! bo dworek z ogrodem trzymam na Gęsiéy Ulicy w arędzie, iak się nie wypłacę, wypędzi mnie Właściciel, i z ośmiorgiem dzieci, osiadę na bruku.“ Plakała niezmiernie to mówiąc; i mnie tak serce ścisnęło, żem wyjść z pokoju musiała. We drzwiach spotkałam się z naszą szafarką; iuż wytrzymać nie mogąc, spytałam iéy się: „Co się to zna-czy? Kto tak wszystko pozabiérał? Co to za ludzie?“ — „Wierzyciele, odpowiedziała mi spokojnie, zwyczajnie iak na Święty Jan, to prawie tak co rok bywa; czy Panna nie pamięta? tą razą trochę gorzéy, ale to nic nie szkodzi. Pan dostanie zkađ pieniędzy, odda im; nakupi mebli, obrazów, i będzie wszystko dobrze!“ Pocieszyły mnie te iéy słowa,

i zeszłam na dół do ogródka. „Prawdę mówi szafarka, pomyślałam sobie; iak pamiętam, zawsze ten Święty Jan okropny! ludzie różni się schodzą, chcą pieniędzy; Tata się gniewa, Mama płacze, przez czas iakiś nie tyle sobie i nam sprawiaia, nie tyle rzeczy skupia, mniéy bywa gości, ale potem wszystko wraca do dawnego porządku, i do samego Czerwca ani wzmianki o Świętym Janie. Pewno to samo i w tym roku będzie.“ Kiedym się tak pocieszała, Włodzio, Frania i Emilka przyszedli do ogródka; z początku byliśmy smutni, ale ogródek taki ładny, tyle róż i innych kwiatów, żeśmy się rozweselili. Nabiegawszy się, wróciliśmy do pokoiu. Już nie było nikogo z obcych. Tata niemiał obłąkanych oczów, Mama nie płakała, owszem iakiś wyraz szczególnéy radości iasniał na iéy twarzy. „O! iuż pewno mają pieniądze!“ szepnęłam do Włodzia. Tata nam dał znak, żebyśmy wyszli, i długo ieszcze z Mamą rozmawiał. Przyszedł potem Pan T** ten Prawnik, którego Tata tak szacuje, nznosili mnóstwo papierów, pisali, radzili. — Mama wyszła do nas i powiedziała: że po

intrze raniuteńko poiedziemy do Krakowa. Niewiem wcale po co tam poiedziemy! ale wiem że się cieszę, bo wszelkie podróże bardzo lubię; a wreszcie ani sposobu tu mieszkać, póki Tata nie wymiebluie domu na nowo; teraz niema na czym siedzieć, i ia ten list piszę do ciebie na kuchennym stole. Tak cebula śmierdzi, że ledwie wytrzymać mogę... Ale, ale, przepraszam żem się gniewała na ciebie, kochana Karolino; zaległy wasze listy na poczcie, dwa razem oddała mi Mama. Już cię nigdy posądzać nie będę, i skoro staniemy w Krakowie donieść ci o tém nie omieszkam.

LIST SIODMY.

z Krakowa 1. Sierpnia we Czwartek.

Miesiąc minął, a iam do ciebie nie pisała: bo niewiem doprawdy iak i pisać, nie mam tyle śmialosci; niewiem wreszcie czy zechcesz ieszcze żyć ze mną w przyiaźni!.. Ach! moja Karolino! iakżem nieszczęśliwa; cały nasz dom zhańbiony, spodłony! Oy! nie bayki, ale szczérą prawdę kobiety nasze mó-

wily, kiedym ia chorowała na odrę; tak w saméy rzeczy ... o Boże! iakże ia te słowa napisać potrafię?... tak! wyszliśmy na gałgany. Wystaw sobie, że iuż nic nie mamy, to iest tylko tyle, że nie żebrzemy po ulicach. Tego iedynie brakuie... Tata z Mamą zrzekli się wszystkiego dla panów wierzycieli, wsie, pałace, srebra, kleynoty przedali, wszystkich ludzi odprawili. Stoiemy tu w Krakowie na przedmieściu, w maleńkim dworku iak szewcy; mamy iednę służącą, iednego lokaia, i kucharkę, aż mi się źle robi... Ekwipażu żadnego! i iuż tak zawsze będzie, iużeśmy bez nadziei zgubieni!... Czy uwierzysz? Mama sama spiżarnią trzyma, sama się z kucharką rachue, mnie każe się czasem wyręczać, do piwnicy chodzić, i równie podle czynić usługi; oddała mi bieliznę Frani i Emilki... mnie? i ia muszę ią rachować, naprawiać, pończochy cerować! Doprawdy żebym sto razy umrzeć wołała. My, których rachowali między pierwszych Panów Polski, ia, którey zawsze słudzy i metrowie mówili, że będę miała przynaymniéy milion posagu, i póyde za iakiego

Xięcia, ia, mam chodzić do piwnicy, pończochy cerować? To zniewaga, to hańba, to nie-szczęście! Żebym przynajmniej wiedziała dla czego się to stało? kiedy przez tyle lat byliśmy bogaci, iakżeż się tak od razu wszystko urwać mogło? wszak nas nikt nie okradł? pogorzeli nie było. A co mnie więcéy ieszcze zastanawia? Mama nierównie teraz zdrowsza i weselsza, tak rano wstaie, tak pracuie i nie iéy nieszkodzi. Czasem sumienie mnie trochę gryzie, że iéy niechętnie pomagam; ale gdy ią widzę swobodną, krzątającą się około gospodarstwa, iak gdyby do niego stworzoną była, żałuię tylko, że i ia tak obojętnéy nie mam duszy!... Frania i Emilka także nie téy okropnéy zmiany nie czuią, prawda, że iedna ma sześć, druga siedm lat, a ia prawie tyle co one obiedwie razem. Jeden Włodzio, który zupełnie moje uczucia dzieli i rozumie; skoro się zeydziemy i iesteśmy sami, płacemy gorzko. Włodziowi naywięcéy o to idzie, że ród od tak dawna w Polsce świetny plamiemy zupełnie, on powiada, i słusznie mówi, że gdyby powstałi nasi Dziadowie z grobu,

a obaczyli naszą zniewagę, umarliby drugi raz ze wstydu. Ciekawam bardzo iak Tata tę hańbę znosi, Tata, który nam zawsze tyle o sławie naszych poprzedników mówił! ieszcze go tu niema! ieszcze w Warszawie te śliczne interessa układa. Dopiero za parę tygodni się obiecuie. Niema do czego się spieszyć. Żebym sto lat żyła, nigdy nie poymę iak można było dobrowolnie z bogactwa przeysć do ubóstwa, z takich honorów do takiéy zniewagi? W co my się teraz obróciemy? ia w głowę zachodzę; iak tu patrzeć na ludzi, na Panów? Czy był kto kiedy odemnie nieszczęśliwszy? Ach Boże! dobry Boże! zlituy się! a ty, Karolino, nie pogardzay mną, tak iak ia sobą pogardzam. — Niewiem czybym twoię pogardę zniosła, choć widzę, że zniosę wszystko, kiedy żyć mogę w takiém upodleniu.

LIST OSMY.

z Krakowa 4. Sierpnia w Niedzielę.

Zebyś wiedziała co się z moim ostatnim listem stało? żebyś wiedziała co się z twoją Monisią zrobiło? ale nie będę o niczem mówić przed czasem; wolę wszystko porządkiem opisać, powiem ci tylko: „Ciesz się! już nie żyję w upodleniu!“ Ach! moja iedyna! iakich ja mam Rodziców! iaka ta Mama dobra! a iak ja i Włodzio byliśmy nierozsądni! ale zapominam o obiecanym porządku, przystąpię do niego.

Trzeba ci naprzód wiedzieć, że Mama dawniey w Warszawie i na wsi, tak była zawsze zaięta, że nie miała czasu czytywać listów, które ja do ciebie pisywałam. Kiedy pieczętowała swój list do twoiëy Mamy, ja mój przynosiłam, i kładła go w kopertę nie czytając. Ale w Krakowie wszystko inaczej się dzieie. Mama na wszystko ma czas, sama zatrudnień moich dogląda, sama lekcye mi daie, a kiedym iey trzy dni temu list mój do ciebie przyniosło, otworzyła go, i do czytania się zabrała. Poymiesz łatwo co się ze mną działo, gdy

to zobaczyła. — Ucieklam do drugiego pokoju, a zasłoniwszy sobie oczy, siadłam w kącie, drżąc cała iak listek. Wkrótce Mama mnie zawołała; ledwie znalazła siłę do wstania, poszłam iak na śmierć; Mama kazała przyjść i Włodziowi, zamknęła drzwi na klucz, i mówiła do nas te słowa, które nigdy z pamięci mojej nie wyidą:

„Dzieci moje! od dawna widzę z boleścią iak nierozsądnie stan nasz obecny znosicie: wasze skargi i narzekania już nie raz obły się o moje uszy, i serce ciężko zraniły; iednak nie sądziłam nigdy, aby wasz nierozsądek, do tego posuwał się stopnia, iak się z listu Monisi dowiaduję. Pochlebiam sobie, że młodość i niewiadość wasza, iedyną iest tego zaślepienia przyczyną, i dla tego serce moje przed wami otworzę, postępek Oyca waszego usprawiedliwię. — Chcielibyście wiedzieć dla czegośmy z bogactwa do ubóstwa dobrowolnie przyszli? powiem wam. Dawne nasze bogactwo było mniemane i niesłuszne, dzisieysze ubóstwo iest szlachetne.“ — „Jakże to bydz może?“ krzyknęliśmy oboie z Włodziem. —

„Tak iest! odpowiedziała poważnie Mama, przekonacie się o téy prawdzie, posłuchaycie tylko całéy naszéy historyi. Jam się urodziła z bardzo maiętnych na pozor Rodziców; iedynaczką będąc, odebrałam wychowanie xiążęce, i wzrosłam w mniemaniu, że wielką będę Panią. O takowe zdarzenie w Polsce nie trudno; znalazłam więc męża będącego zupełnie w podobnych okolicznościach, i skorośmy się pobrali zaczęliśmy szumieć. Przepychowi ekwipażów, liberyi, pokoiów, stołu naszego wszyscy się dziwili, a my mniemali, że tak żyć koniecznie nam wypada. Lecz gdy po śmierci Rodziców odziedziczyliśmy cały majątek, okazał się obciążony długami, a przeto nasz sposób życia przenoszący dochody. Wypadało w tenczas spuścić z pańskiego tonu, stosować wydatki do przychodów; ale tę sztukę rzadko kto zna w Polsce, i my iéy nie znali... Ulegając narodowéy słabości, wiedliśmy daléy równie szumne życie, nie przewidując skutków iego. Nie ubył ani ieden służyący z przedpokoiu, ani ieden koń ze stayni, nie odprawiliśmy Francuza kucharza, ciągle

były u nas bale, ucztę; utrzymywał się zbytek niesłychany w ubiorze moim, w edukacyi waszój, w całym obchodzie domowym. — Patrzyliście na niego, dzieci moje, lecz żadne z was go nie widziało, nie domyślałyście się, ile ten zbytek pieniędzy, ile leż kosztował! Nie poymuję dotąd iakieśmy mogli żyć tak długo w takowém położeniu? iakieśmy mogli spoczynkiem, swobodą, a nawet honorem mniemane bogactwo opłacać; bo wkrótce przyszło do tego, iż z pożyczonych pieniędzy, albo na kredyt większą część roku żyliśmy; a przy największych zbytkach, czasem w domu na obiad nie było. Trwało to lat kilka, długów coraz przybywało; każdy Święty Jan nabawiał nas niepojętęj trwogi, każdy co rok był okropniejszy, a skoro minął, szczególną ślepotą, zapominaliśmy o następującym. Lecz nareszcie tegoroczny przeszedł wszystkie; już nas bowiem ogłoszono za bankrutów, i ktokolwiek miał co u nas, gwałtem chciał odebrać. W ten dzień pamiętny, w którym weszłam do ogłoszonego przez wierzycieli domu, nasłuchawszy się ich skarg, przekleństw i obelg, kiedym

sama z Oycem waszym została, kiedy nie odpowiadał na pytania moje, a z wielkiéy rozpaczey od rozumu odchodzić się zdawał, rzuciłam mu się do nóg, i zawołałam: „Jest że ieszcze iaka ofiara, któraby nas mogła wyrwać z téy toni? mów! wszystko uczynić iestem gotowa!“ — „Czy doprawdy? rzekł zdziwiony podnosząc mnie.“ — „Widzę cię w rozpaczey, widzę cię bliskim szaleństwa, odpowiedziałam z boleścią, iakże wątpić możesz?“ Na te słowa obłąkane oczy Oyca waszego błysnęły radością i powiedział: „Tak! iest ofiara, któraby nas wyprowadziła z téy niedoli; iam dotąd naywięcéy dla ciebie nie miał odwagi iéy uczynienia, lecz ieżeli ty mi dopomożesz, znajdę dostateczną siłę. — Jeszcze teraz iest czas na nią, za rok iuż byłoby za późno!“ Mów, cóż mam czynić? wołałam na niego, iakaż ta ofiara?“ — „Większa nierównie od ofiary życia powiedział; iesteśmy zniszczeni, długi nasze zrównały się prawie z ogromnym niegdys majątkiem, trzeba więc w oczach całego kraiu przyznać się do naszego ubóstwa, trzeba się pozbyć tych

pałaców, tych wsi, które od kilkuset lat do rodu naszego należą!“ — „A będziesz - że wtedy wesół i swobodny?“ spytałam się. — Będę! odpowiedział, gdyż ten jest sposób iedyny ocalenia mego honoru; a wiesz co droższego prawdziwemu Polakowi, honor czy majątek? Jeżeli teraz tego sposobu nie użyjemy, wkrótce imie moje okryję hańbą, stracę na zawsze dobrą sławę i spokojność sumienia, i zapewne nie przeżyję tego ciosu... — „Czyń więc co tylko zechcesz, mówiłam, ja na wszystko z radością przystanę. Ja naywinniéysza, moim zbytkiem, moimi strojami, a nadewszystko niedbalstwem, nie wglądaniem w domowe sprawy, zginął nasz majątek; godnam kary, żądam iéy nawet!“ — „Oboieśmy winni! rzekł wasz Oyciec z dobrocią, a męztwo które dziś okazujesz, gładzi twoją winę..... Ale biedne dzieci nasze!“ dodał kryjąc lzy dobywające mu się z oczów. Zapłakałam gorzko na to wspomnienie, i słowa odpowiedzi wyrzec nie mogłam!“... „Byłby sposób mówił daléy, ocalenia dla nich części iednéy majątku, możnaby okazać w sądzie jakie szcze-

gólne dla nich, Rodziców naszych zapisy; lecz wstręt czuję do takowego postępku; byłby on z krzywdą wierzyieli, z krzywdą naszego honoru i sumienia.“ — „Ach! to nie dopuszczay się go! krzyknęłam odzyskując mowę; niech nasze dzieci nic nie mają, ale niechay na nich zemsty Nieba nikt nie wzywa; nie im nie zostawmy — lecz niech się pamięci Rodziców nie wstydzą!“ — „Uściskał mnie wasz Oyciec gdym te słowa wyrzekła, i od-tąd niezmiennie uczyniliśmy postanowienie. Za-śny i biegły prawnik, przyjaciel nasz prawdzi-
wy, przywołany został; on wskazał najlepsze sposoby do spełnienia iego. Mogę śmiało po-wiedzieć, że pierwsza na wszelkie nastawałam ofiary, bo żadný w tém nie upatruję zasługi. Możeż bydz trudną iaka ofiara dla żony, kiedy idzie o ocalenie honoru iéy Męża?..... Po-ścisłem przeyrzeniu długów naszych, okazało się, że wypłaciwszy ie rzetelnie i uczciwie, zaledwie nam kilka tysięcy złotych roczný intraty pozostanie. Żadne z nas tém się nie ulękło; mało ludzi i tyle ma swego! Obra-
liśmy Kraków na siedlisko, iako wieysce gdzie

swobodnie, przyjemnie i małym kosztem żyć można. Zamieniliśmy dobrowolnie bogactwo nasze w ubóstwo, i wymagała tego sprawiedliwość sama. Bo iakież mieliśmy prawo cudze trwonić dobro? ten majątek już nie był naszym, był on wierzycieli, którzy dobytek swój w nasze i w Rodziców ręce, w dobrą wierze złożyli. Wy tę zmianę, ten postępek równie słuszny iak konieczny, *zniewagą*, *hańbą*, *nieszczęściem* zowiecie! a wiecież wy, dzieci moje, co to jest prawdziwie *zniewagą*, *hańbą*, *nieszczęściem*? Oto kiedy wasz Ojciec bogatym będąc w oczach waszych i w oczach świata, pożyczył od kogo pieniędzy, dał słowo honoru, że odda na dzień naznaczony, i zawód niezynił, to było *zniewagą*. Kiedy na zaspokoienie potrzeb domowych, i tego zbytku, do któregośmy nawykli, na ogromne procenta brał pieniądze, oszustów zachęcał, kiedy pierwszego lichwiarza w dom swój przyjmował, pochlebiał mu, wam się z iego dziećmi zaprzyjaźniać kazał; to trzeba było zwać *hańbą*. A kiedy schodzili się wierzyciele, kiedy który z nich iak wtenczas ta wdowa, ze łzami się

domagali własnych pieniędzy, kiedy nasz nierząd pocziwych ludzi w nędzę pogrążał, kiedy rzemieślnik klął, że mu zatrzymujemy nagrodę krwawéy iego pracy, na nas i na dzieci nasze gniéwu wzywał Boga, to było *nieszczęściem*. Lecz dziś kiedy sumienie, honor waszego Oycy zupełnie są czyste, kiedy zachował dobrą sławę u ludzi, kiedy niczyiéy łaski nie potrzebujemy, kiedy nikt nami nie złorzeczy, w prawdziwéy chwale, w szczęściu żyjemy! Gdyby nawet powstał pradziadowie nasi, nie bój się, Włodziu, nie pomarliby drugi raz ze wstydu; wiedzą oni że nie ubóstwo, ale niecnota rodziny upodla i hańbi. Miliony liczył ten lichwiarz, a czemuż Monisiu, wstępniałaś z córką iego bydz w parze? *Honor nieskazony, to zaszczyt prawdziwy!*“ Z takim zapalem wyrzekła Mama te słowa, iż ten zapal do serc obojga nas przeszedł. Zdawało mi się, że dotąd ślepą była, tak mi się nagle otworzyły oczy! poięłam w iednéy chwili i potrzebę i wielkość ofiary Rodziców naszych, i tak byłam upokorzona, że zaledwie nogi Mamy całować śmiała. „O Mamo! wołałam

wraz z Włodziem daruy! przebacz! niegardź dziećmi, które tak niegodne Rodziców swoich się okazały.“... Więcý nie mogliśmy mówić, bo nam lzy mowę przerwały. Podniosła nas Mama, uściskała serdecznie i powiedziała: — „Nie pogardzam wami, moje dzieci, wszak i ja zbłądziłam!... a wreszcie wiem, że przyidzie czas w którym więcý się chlubić będziecie z tego czynu Oyca waszego, iak gdyby wam miliony zostawił.“ — „O Mamo! zawołałam, iuż ten czas przyszedł, iużem się przekonała, że nierównie więcý znaczy cnota od bogactwa.“ — „Wiem także, mówiła ieszcze Mama, że będziecie nam słodzić zubożenie nasze, że cnoty wasze i zalety ieszcze uzacnią piękne imie; które nosicie. Nie iest to żadną sztuką po rodzicach odziedziczyć majątek i godności, ale doysć do nich uczciwą pracą i cnotliwém życiem, to iest chlubą, to prawdziwém do dobréy sławy prawem. Tego się po tobie mój Włodziu, spodziewam. — Dotąd przeszkodą ci było w naukach przekonanie że bogatym będziesz, i przeiałeś się tém fałszywém zdaniem, że wielki Pan niczego nie

potrzebuie; pamiętay iż teraz wszystko samemu sobie winien byđz musisz; pamiętay i pracy; ćwicz się w cnotach i w nauce. Ty zaś, córko moia, dodała obracaiąc się ku mnie, wkładay się w zatrudnienia właściwe płci twoiéy, staray się byđz rządną, pracowitą, pielęgnuy i rozwińay te drobne zawiązki nauki i talentów, które z takim kosztem nabyłaś, a nie wątpię, że iakiekolwiek Bóg ci przeznaczenie gotuie, będziesz zawsze Rodziców pociechą.“ To powiedziawszy uściskała nas Mama raz ieszcze, i długo z nami rozmawiała o tém, iak sobie teraz postępować mamy. Od téy chwili, droga Karolino, zupełnie inną iestem: miałabym ci ieszcze z godzinę co pisać o téy moiéy odmianie; ale iuż i tak list ogromny, kończę go. Chciałabym żebyś się dowiedziała iak nayprędzéy o szczęściu moiém, chciałabym żeby ten list uprzedził odpowiedź twoię na mój ostatni, który Mama na pocztę posłała, bo mnie pewno za niego laiać będziesz. Ale iay, to nie nie szkodzi; czuię iakem winną była.

LIST DZIEWIĄTY.

14. Sierpnia w Sobotę z Krakowa.

Odebrałam w ten moment, list twój, kochana Karolino, przyjeżdżacie tu, przyjeżdżacie umyślnie dla nas. Ach! iakie to szczęście! iaka dobroć! a iak ią cenić umiemy. Będiesz więc naocznyim świadkiem swobody naszey, zupełnego przeistoczenia się twoięy Monisi; w sercu ię nawet znaydziesz odmianę, bo teraz nierównie lepsze i czulsze, nierównie więcey i ciebie i wszystkich kocha. Żebyś wiedziała z iaką pilnością ia się teraz ucze, iak żałuję chwil straconych. Ach! iakżem ciemną była! Ale kiedy masz przyiechać, nie będę ci na próżno opisywać tego co się u nas dzieie: powiem tylko, że Tata od trzech dni iest z nami, że wierzyciele w rozmaite korzystne wchodzą układy, i że Pan T** ma nadzieię, że daleko znacznięszą część majątku naszego ocali, niżeli się z razu spodziewał. Tata tak zdrów i wesół iak nigdy nie był. Mama opowiedziała mu wszystko; iuż ze mną nie iak z dzieckiem się obchodzi; obiecał że ile mu czasu od domowych zatrudnień zostanie,

tyle będzie ze mną czytywał różne piękne dzieła; bo Bibliotekę prawie całą zachował. Byway zdrowa! iak to miło napisać te słowa!
Do rychłego zobaczenia.

Z A K O Ń C Z E N I E.

W tydzień po odebraniu tego listu, przyjechał Karolina z Matką do Krakowa; le-dwie po znała Monię. Zaięta robotą, gospodarstwem, małemi siostrami, parę tylko godzin naukom i talentom poświęcić może; przez to samo więcéy smaku w nich znayduie, a za-tém znaczne postępy czyni; pracuie sama, pracuie szczerze, i więcéy korzysta, iak kiedy ośmiu metrów miała. Uleczona zupełnie z dawnych uprzedzeń, okazuie zalety i cnoty, których nikt w niéy nie zgadywał, póki się bogatą mieniła. Włodzio po odbytych nie złe examinie, iuż zaczął chodzić do szkół, i z takim zapalem się uczy, że zapewne na przyszły rok wielu bogatych paniczów prześcignie. Frania i Emilka zupełnie szczęśliwe, bo mają

ogródek, krowę, gołębie, kurczęta; pozbawione cukrów, korzennych potraw, i pieszczot babskich, nierównie są zdrowsze i grzeczniejszy. Rodzice ich z łatwością nadspodziewaną do mierności przywykli, i ta zmiana tak znaczna ich bytu, w połowie nie jest im tak przykłą, iak się obawiali. Obiad przez prostą kucharkę sporządzony, nie jest wprawdzie wykwintny, ale swoboda umysłu dodaie im apetytu; a wiemy zdawna, że to kucharz najlepszy. Sprzęty w pokoikach stojące, nie są paradne ale miłe: bo wiedzą, że komornik nie przyidzie ich zabierać; z iedną służącą i z iednym lokaiem, nie jest tak paradnie iak w tenczas kiedy sześć kobiet uwiało się w garderobie, Marszałek stał za stołem, dwóch kamerdynerów roznosiło półmiski, i czterech lokaiów drzymało w przedpokoju; ale daleko w domu spokoyniły i ciszéy, i ów ieden lokay regularnie płacony i nie spuszczaiający się na drugich, lepiéy prawie usługuje, od tamtych sześciu niepłatnych próżniaków. — Bolały ich z początku nogi chodząc po Krakowskim bruku; ale inż uznali, że przechadzka daleko,

musi być od przeiażdżki zdrowsza, bo nigdy obojgu za czasów naywiększey ich świetności, tak zdrowie nie służyło iak teraz. Nie dając uczt i balów, nie miewaią wielu gości; ale za to sami życzliwi, sami zacni ludzie ich odwiedzaią, i dla każdego są w domu, przed nikim uciekać nie widzą potrzeby. Szacunek zaś zyskali sobie powszechny, wszyscy cenią ich ofiarę; i przy kilku tysiącach dochodu, daleko więcéy są poważani, lepszą maią u ludzi sławę, iak kiedy krocie corocznie trwonili.

II.

S Z C Z Y G I E Ł E K.

Nie sądźcie lube dzieci moje, że tylko ludzie wyższego stanu, ludzie starannie wychowani wytworne uczucia maią; niech żadne z was nie obchodzi się nigdy po grubiańsku z służącym, z kmiotkiem, z rzemieślnikiem, pod mylnym pozorem, że oni się takowém postępowaniem obrazić nie potrafią; bez wątpienia ród wysoki, staranne wychowanie, wlewa i

rozwiia piękny sposób myślenia, lecz i w prostym stanie znaydą się delikatne uczucia; często ten, co za karętą stoi, szlachetniéy myśli od tego który w niéy siedzi; a w domostwach pochyłych i zbutwiałych, przyiaciel ludzkości nie razby więcéy znalazł dla serca żywiołu, niżeli w gmachach wysokich. Tu w Warszawie, w iednym dworku nad Wisłą, przekonacby się o téy prawdzie można. Tam mieszka żona dawnego lokaia, który wiek cały na służbie strawiwszy, iak to zwyczajnie bywa, nie na starość nie zebrał. Inna na iéy miéyscu puściłaby się na żebraninę, a tułaiąc się po ulicach, naprzykrzaiać się przechodniom, od iednych połaianie od drugich parę groszy dostawszy, wiodłaby próżniackie życie. Lecz wrodzona szlachetność i delikatność uczuciów nie dozwala poczciwéy Pawłowéy, chwycić się tak nikczemnego rzemiosła; woli dzień i noc pracować, iak wyciągać rękę. Nie zważaiąc na słabe zdrowie, utrzymuie pranie, nieustannie nad balią stoi, lub ssuwa ciężkiém żelazem, żeby męża iuż niezdatnego do pracy, i dwoie dzieci wyżywić. Nie wielki ma zaro-

lek, ale przecież żyją! a Bóg w zaspokoioném sumieniu i dobrych przymiotach dzieci, słodkiéy nagrody iéy użyzca. Postępek iéy syna w przeszłym roku zdarzony, opiszę wam; delikatność iégo nie iedno dziećcie naywytworniéy chowane zawstydzić by mogła.

Oleś wzrósł patrząc na ubóstwo Rodziców i na ciężką pracę Matki. Stopniami ile mu tylko wiek pozwalał, dopomagał iéy chętnie, a co czasę zbyło, bawił się; bo dziś nawet dopiéro lat ma iedynaście. Naymilszą iego zabawą były zawsze ptaszki, łapał ie sobie iak mógł i iak umiał, a zręcznieyszy od owego *Tomka z Jabłonny*, nie dał im uciekać. W zeszłym roku w lecie złapał sobie sześciu młodych szczygielków; miał klatkę, miał i kilka groszy, nakupił za nie iedzenia ptaszkom, odchowwał, ulaskawił, i sprzedał pięciu. Szóstego zostawił sobie. Prześliczny był ten szczygielek, miał czerwone gdyby korał gardziółko, żółte i czarne piórka iakby malowane; a co większa tak był łaskawy, że iadł z ręki i znał Olesia po głosie; skoro on wszedł do izby, natychmiast ptaszek latał po pręcikach, trze-

potął skrzydłami i dziobek przez szczeble wystawiał. Oleś kochał go niezmiernie, pieścił i karmił iak mógł naleyściey. Pieniądze które zyskał na sprzedaży tamtych szczygiełków, posłużyły mu do wyżywienia tego przez całe pół roku; ale nareszcie skarb się przebrał. Za ostatnie trzy grosze kupił chłopczyzna ze smutkiem siemienia. Sypał po trochu ptaszy- nie; ptaszyna łakomy zjadał od razu; nareszcie wsypał do klatki ostatek. Próżno wy- trząsał szufladkę, wymiatał kąciiki, iuż ani- ziarka na iutro nie zostało; łzy się zakręciły w oczach Olesia, i wzdychał myśląc o intrze. Nadeszło. Szczygielek odzywał się ile razy postrzegł chłopczynę, ale iuż nie trzepotał skrzydłami tak żwawo, a każda iego zmiana, przeszywała boleścią serce Olesia. Matka iego zaięta pracą, nie widziała ani smutku syna, ani ptaszka osępienia. Miała właśnie wielką zgry- zotę i wydatek; przesadziła farbą niebieską w ostatniem praniu, i wszystkie chusty drugi raz płukać, suszyć i maglować musiała. Nie- śmiał więc Oleś nic iey mówić, trzy grosze- byłyby i iego i szczygielka wybawily, ale iakże-

się było Matce i tak zmartwionéy naprzykrzaé! Drugiego dnia Oles wstał bardzo rano, bo i spać dobrze nie mógł; zayrzał natychmiast do klatki. Ptaszek zgłodniały osowiał zupełnie; nadał się iak kłębuszek, piórka z gardziółka powstały mu do góry, szyiki znać nie było; iednak poznał Olesia. Na głos iego otworzył czarne oczka, lecz zamknął ie wkrótce. Rozrzewniony chłopczyna, chciał iuż biedz do Matki, chciał się odważyć i prosić ią o trzy grosze; ale w téy chwili płakała gorzko nieboga! ze wszystkich kieszzonek i kryiówek dobywała pieniędzy, i ledwie zebrała dwa złote, które zanieść do magla musiała. Oleś nie wymówił i słowa. — Po południu poszła Matka z bielizną; szczygielek iuż i na głos Olesia oczek nie otwierał! strapionemu chłopczynie przyszło na myśl, czyby nie mógł pożyczyć skąd trzech groszy? Wybiega z domu, idzie do dzieci sąsiedzkich, do towarzyszków zabaw; wszyscy rówine ubodzy iak i on, każdy dałby chętnie, ale niéma! nakoniec niespodzianie dostaie dwa grosze. Uszczęśliwiony kupie siemienia, i bieży co sił ma do domu. Wchodzi

we drzwi, lecz cóż spostrzega zdaleka? Szczygielek spadł z pręcika, leży w znak, nóżki ma skulone, główkę zwieszoną, oczka zawarte! otwiera klatkę, porywa go; jeszcze ciepły; ale już nieżyje, zalewa się łzami biedny Oleś, woła: „Szczygielku mój! kochany Szczygielku!“ ale te łzy i te słowa nie wzkrzesiły ptaszka!

Przez kilka dni chłopczyna był niepokieszony, Matka widząc żal iego wymawiała mu, że iey o trzy grosze nie prosił, ale uradowana tym postępkiem syna, opowiedziała go iednéy Pani, któręy bieliznę pierała; ta tchnięta tą delikatnością chłopczyny, zobowiązała się płacić za niego ażeby chodził do szkoły; potém kupiła mu ślicznego szczygielka, dała parę złotych, i kazała przyiść do siebie, skoro się ten skarb przebierze. Chowa dotąd i pieści Oleś nowego ptaszka; i ten iest ładny i ten łaskawy, iednak często żal mu serdecznie tamtego.



III.

TYDZIEŃ BYTU

D W U Z Ł O T Ó W K I,

OPISANY PRZEZ NIĄ SAMĄ *)

W młodzięczym a niemal w dziecinnym iestem ieszcze wieku, urodziłam się lat temu dziesięć; podobna do narodu, w którym byt mój toczę, o pierwiastkach znakomitego szczepu moiego, o czasie kiedy istnąć zaczął, nie z zupełną pewnością powiedzieć nie mogę. Może sięga pierwszych dni stworzenia świata, a przynajmniej potopu; to iednak wiem z pewnością, że więcéy niż przed trzema wiekami szczep mój srebrny zawarty w iednéy wielkiéy

*) Pomysł téy powieści nie iest bynajmniéy nowy; Francuzi, Niemcy, Anglicy mają podobne; u nas nawet Krasicki żwzięł i dowcipnie przemiany i podróże czerwonego złotego opisał w Tomie drugim dzieł swoich; ta iednak powieść nie iest ani tłumaczeniem, ani naśladowaniem; napisaną była oryginalnie w roku 1826 w chęci dogodzenia ciekawości iednéy osoby, która przypatrując się dwuzłotówce z roku 1816 rzekła: „Szkoda że mówić nie umie, ileżby nam powiedziała rzeczy.“ —

bryle, lecz przyćmiony mniéy zacnemi kruszcami, a nawet kamieniem i ziemią, leżał spokojnie w wnętrznościach wspólnéy matki wszech rzeczy, daleko ztąd za morzem, w tak zwanych minach *Potozu*; trwał iuż ten spoczynek oddawna, coraz nowe pokolenia czyli warszty bryłę moję rodzinną zwiększały, kiedy chciwość ludzka iéy pokóy i wzrost przerwała; bo czyiéyże ona swobody nie zakłóci, czemuż tamy nie położy? Ludzie czarni, prawie nadzy, wydobyli z ziemi bryłę, szczep mój obéymu-iając; wydobyli ią obojętnie, chociaż błyszczała gdzie niegdzie iasnością; ale biały człowiek pięknie ubrany, skoro ią spostrzegł, krzyknął radośnie, chciał dźwignąć, nie mógł, i ucieszył się ze swoiéy niemocy. Po wielu iego i iemu podobnych ludzi, zachodach, po niezliczonych mękach i przemianach, owe pierwotne źródło rodu mego, z wielkiego zrobiło się małe; ale iak się późniéy okazało, to złe pozorne, istotną korzyść przyniosło; gdyż szczep mój stał się czysty, świetny, iasny, iak ten xiężyć, który ludziom przyświeca; a uwolniony od ćmiących go pokrewieństw, nabył i

blasku i ceny... Wraz z innemi, zamknięty w ogromnéj skrzyni, zdawało się, że znowu kilka wieków w spoczynku dotrwa. Ale u białych ludzi kruszec drogi nie doleży iak u czarnych; po krótkim czasie skrzynia w ciągłym ruchu być zaczęła; buiana przez miesiące kilka, nareszcie otworzoną została, i otoczyło ją mnóstwo białych ludzi. Szczep mój długo oglądany, ważony, skrobany, przeszedł nakoniec do złotnika; ten znowu srogo się z nim obchodził, iakby go chciał zniweczyć; tłukł go na miazgę, palił; a ów szlachetny kruszec, podobny enocie w zapasy z niesprawiedliwością idący, coraz wychodził z mąk tych świetniejszy i czystszy. Pokonany tą stałością złotnik, ulął z niego i wyrobił misternie i sztucznie trzy piękne puhary, które król tameczny kupił, placąc za ieden więcej, niżli złotnik za całą dał bryłę. Niewiem dowodnie co się z dwiema ubocznemi gałęziami szczepu mego stało; zdaie mi się iednak, że oba tamte puhary do kościoła natychmiast oddano; i gdyby iaki ciekawy badacz zgłosić się raczył do katedry w Madrycie, możeby ie znalazł w iéy

bogatym skarbcu; na iednym była wieczerza pańska, na drugim wesele w Kanie Galiléyskiéy cudnié wyrobione; ten zaś, z którego ia w prostéy linii ród mój wiode, wcale nie świętem wyobrażeniem ozdobiono; był na nim Wulkan z Cyklopami dla Marsa broń kuiący, niedługo i ten w królewskich postał komnatach. Przybył od dalekiego narodu mąż znakomity; była wieść, iż ludzie w iego łonie zrodzeni, chętnie pili, chętniéj ieszcze się bili; król w ręce tegoż męża mój rodoszczep złożył, mówiąc: „I zewnątrz i wewnątrz ten puhar Polakowi przystoi.“ Przybył więc do Polski ów kanak, w którego łonie ia i sto siostr mnie podobnych spoczywało; przybył, i z początku, iako osobliwość uważany, prawie zawsze w wyslanem puzdrze zamknięty, ledwie raz w lat kilkanaście złotym napelniał się trunkiem. Trwała ta poszana do prawnuka pierwotnego posiadacza; ten iuż częściéy dobywać go zaczął, może być dla téy przyczyny, iż za każde króla Jana zwycięstwo musiał puhar spełnić; ale zszedłszy bez potomstwa męzkiego, córce dał go w wianie. Odtąd mój

rodoszczep przechodził z rąk do rąk, i coraz mniéy używał pokoju; ostatni iego z kolei dziedzictwa posiadacz, już go i w puzdro nie chował, bo niemal codzién używał. Ale kto piie a piie, musi nareszcie i zapić się i wypić; tak się z owym Panem stało; zapił się i umarł, a wierzyciele pieczęć położyli na wszystkich sprzętach iego. Ta pieczęć długo się trzymała, gdyż prawować się zaczęto, w czasie kiedy prawa nie było; puhar nie wytarty z wina, śniedzią i pleśnią się okrył, znikł blask iego, zatarła się piękna Hiszpańskiego złotnika robota; nareszcie po wielu latach i za innego króla nišli ją włożono, zdjęto pieczęć, i puhar wraz z innemi sprzętami i kanakami, puszczone na licytacyą, sprzedany został. Nabywca nie był maiętny, kupił go, bo cenil oyczyste pamiątki; lat kilkanaście stał u niego odchędożony puhar spokojnie; oglądany ze czeią, a często z westchnieniem; raz nawet, będzie temu lat przeszło trzydzieści, właściciel te do niego wyrzekł słowa: „Czemuż i ty kopą talarów nie jesteś? wszystkie com miał, poniosłem drogiéy Matce w ofierze,

poniosłbym i ciebie!“ Dobrze iednak się stało; i owe iego talary i tysiące innych, nie już obumieraiaćey Matce nie pomogły, byłby i puhar zmarńiał!... Lecz i tak nie wytrzymał on długo. Czego oyciec nie miał serca uczynić, do tego potrzeba przymusiła syna, lubo przez czas długi za wielkiego uchodził pana. Bo w Polsce podobnie się przytrafiło iak to niegdyś w Egipcie; z lat bogactw niesłychanych, wypłynęły lata niepoiętęy nędzy, a obecnny niedostatek przeszłą obfitość pochłonał. Im kogo w owych leciech za bogatszego miało, tém on w następuiających uboższym się okazał; i zacny ów puhar, ów starożytny rodoszczep mój, owe arcy dzieło złotnickiëy sztuki, ów dar królewski, owa szanowna pamiątka, w gminném towarzystwie łyżek i półmisków, zanieiony został do gmachu, mennicy zwanym, do prawdziwego kruszców cmentarza; bo iak w tych smutnych miéjscach ciało xiążęcia, w iednaki proch z ciałem chłopka się zmienia, tak w mennicy po krótkich zachodach, z podłëy łyżki, i ze znakomitego puharu, wypadł pieniądz iednaki; a ia, ia gałązka

tak świetnego szczepu, dziś maleńka, okrągła, płaska, karbowana w koło, z popiersiem na iednéj stronie, z orłem, opisem nikczemnéj wartości moiéj i rokiem urodzenia na drugiéj, mam tysiące podobnych sobie, i nikt prócz mnie nie wie, że mój początek w wiekach się gubi!.. Nikt mnie i stu siostr moich w tym natłoku rozeznać nie potrafi! Dwuzłotówka, którój kruszec przed kilkoma laty w tymże kraiu wykopano, która żadnéj dawności, żadnego zaszczytu niema, dziś, tyle co ia znaczy!.. O boleści! urodzić się w wieku, w którym się nie pytaią, czém był ród twój, ale czém ty iesteś? byle istotną wartość uznali, o resztę się nie pytaią, i wąż na iednéj szali tegorocznego z kilkowiecznym... Lecz chociaż żyć w takim wieku i do gminu policzonym zostać, poniża starodawną miłość własną, przecież wyznać należy, że w tém ocieraniu się między ludźmi, więcéj przez lat kilka widzieć i poznać można, niż przez kilka wieków świetnego wprowadzie, lecz nie nie uczącego wyniesienia. Rodoszczep mój, zacnéj pamięci puhar, przez pół trzecia wieku

bytu swego, nie nabył tyle doświadczenia, ile ia w tych dziesięciu leciech. Gdziem się ia nie toczyła? czegom nie widziała? zgadnąć to będzie można z tego tygodnia bytu moiego, bo opisać dokładnie wszystko co mi się przez dziesięć lat zdarzało, i nie można i nie wypada. — Gotowiby ludzie żal mieć do mnie. — Wkrótce po narodzeniu się moiém, a raczén po wyściu z pod stępla, oddano mnie wraz z innemi w worku do publicznego skarbu; było to we czwartek piérwszego dnia któregoś miesiąca, zaraz więc kassyer tego wydziału, posłał mnie i czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć mnie podobnych, iuż podeszłemu w leciech urzędnikowi. Ledwie nas na swém biorze zrachować zdążył, kiedy może tym miłym brzękiem zwabiona, wbiegła do pokoju piękna młoda kobiéta. Była to żona urzędnika, był to rok piérwszy ich małżeństwa; iak zaczęła gadać o potrzebach domu, o tém, iak iéy wielu rzeczy koniecznych nie dostaie; iak zaczęła prawić o swoiéj oszczędności, o przywiązaniu do męża, o iego niepoietéy dobroci; uięty małżonek naprzód sto,

potém dwieście, nakoniec trzysta z nas od-
dzielił; ona w oka mgnieniu całą tę kwotę,
białą swą rączką w chusteczkę batystową
zgarnęła, rzuciła mu się na szyję, a woła-
jąc na głos: „Co to za mąż! co to za mąż!“
wybiegła z pokoju. Widząc tę radość, sły-
sząc tak miłe słówka, cieszyłam się niezmie-
rnie nadzieją przemieszkiwania u tak wesołe-
go aniołka, ale inaczey się stało. Kwadrans
nie upłynął, iuż połowy z nas w iéy ręku
nie było. Zastałyśmy w iéy pokojach osób
kilka; była tam modniarka; za dwa kapelusze
gazowe, trzy takież czepeczki i iakieś garni-
rowania, których szczątki iuż w śmieciach
leżały, wzięła towarzyszek moich dziewięć-
dziesiąt; żydowi który za obszycie białe pu-
szkowe brał w zamian takież nieco wytarte
z soboli, dodała czterdzieści. Chłopcu z xię-
garni za pół tuzina francuzkich romansów, i
prenumeratę na dziennik mód Paryzkich, dała
ich pięćdziesiąt; ogrodnikowi, który od kilku
miesięcy stroił iéy gabinet kwiatami, tyleż;
a z resztą, iakby nie słysząc wcale służących
domagających się zatrzymanych im zasług, na-

legai rzeźnika, piekarza, mleczarki, lotem strzały wsiadła do powozu, i pod filary iechać kazała. Ja byłam z liczby siedmiudzięsiąt ocalonych, ale przewidywałam, że i mnie wnet z téy chusteczki wytoczyć się przyidzie. Co téż nastąpiło. W pierwszym sklepie za dwa wieńce róż, pęk gwoździków włoskich, kilkanaście łokci wstążek, i trzy długie pióra, zostałyśmy wszystkie; i ieszcze kupiec domagał się więcéy, bo mu dziesięć razy tyle winną była. Zawarta wraz z innemi pieniędzmi w zdawkowéy szufladzie, ieszczem bynajmniéy nie poięła teoryi procentu, cla, zarobku, kiedy przyszedł do sklepu młodzieniec miłéy postaci; miał iedynego talara, i długo dumał coby kupić za niego? stargował nareszcie parę zimowych rękawiczek, a kupczyk chcąc mu zdać resztę, mnie z szuflady wyjął. Wziął mnie młodzieniec i zaniósł do skromnego mieszkania; przez resztę dnia świadkiem byłam iego ciągłéy pracy i swobody umysłu; pisał, przepisywał, do późnéy nocy, nucąc wesołe piosnki, i chleb z sérem z naywiększym zaiadaiąc smakiem. Nazaiutrz

raniuteńko wyszedł na miasto, wzięwszy mnie i papiery z sobą; wszedł do iednego domu, i tam od iakiegoś mężczyzny także nad papierami siedzącego, odebrał pochwałę, i dziewięć mnie podobnych. O! iakże był szczęśliwy! zawinął nas starannie w biały papier wraz z rękawiczkami, i raczén pobiegł niż poszedł na daleką iakąś ulicę, do nędznego dworku, do małéy izdebki, gdzie go stara kobiéta przywitała z niewymowną radością; a on iéy powiedział: „Winszuję ci kochana Babuniu, dzisiejszych Imienin, przyim to małe „wiązanie; oby Bóg dobry lat kilkanaście życia ci udzielił, oby pozwolił, żeby co rok dar „mój mógł bydz sutszy.“ Rozrzewniona Babunia, uściskała go serdecznie, i zawołała: „O „drogi mój Józiu, obaczysz, że ty kiedyś bogatym będziesz, bo błogosławi Niebo młodym, którzy pracuią, i zarobionym uczciwie „groszem z biedniejszemi krewnemi się dzielą.“ — Odszedł wkrótce dobry młodzieniec; śpieszył się do nowéy roboty; a pocziwa kobiéta, gorącą za niego wymówiła modlitwę; iéy oczy napelniły się łzami, i iedna upadła

na mnie; zdało mi się, że ta Iza dodała mi wartości. „O! kochane dziecko, mówiła Babunia, czemuż ja tych pieniędzy które mi on „daie, iak w zakład brać nie mogę, znalazł- „by ie po moiéy śmierci i przydałyby mu się; „ale stara, niedołężna, z tych pończoch, które „od rana do nocy robię, ledwie głód opę- „dzam; gdyby nie on, nie byłoby czém po- „mieszkania opłacić, za co drew kupić; i tym „dzisieyszym darem iego, (bez wątpienia pier- „wszym potrzebom uięty) nie długo cieszyć „się będę.“ A wzięwszy kiy, i wszystkie da- rowane sobie pieniądze, poszła na przeciwko do szynkarskiéy izby. „Panie Abrahamie! powiedziała wchodząc, iuż mnie od wczora o „wyplacenie komornego sekuiecie, macieź za „całe zeszłe pół roku!“ i wyłożyła wszystkie dziesięć dwuzłotówek na stół. „Nu! a czy tylko nie fałszywe?“ zawołał żyd stawiając zaplesniały mosiężny lichtarzyk, który cegłą tartą i śliną chędożąc, miał zamiar sprzedać za nowy. I włożył okulary, i przyglądał się każdéy z nas z osobna, i ważył ią na brudnym palcu, i rzucał na stół nadstawiając pil-

nie ucha na dźwięk iaki wydawały. — Gdy na mnie koléy przysła, obruszyła mnie ta nieufność do żywego; ale wiedząc iak za nieśluszne podeyrzenie mścić się należy, potoczyłam się i brzęk pełny, który wydał kruszec czysty z któregom złożona, żydowskie czoło rozmarszczył, niewiarę iego przekonał. „Ey wéy! krzyknął radośnie, a skąd to Was-
 „pani ich wzięła, a może ich masz więcéy, a
 „day! boć to wszędzie i u Goimów, drożéy i
 „z góry komornego płacą!“ I ciągnął pocziwą kobietę za suknię. „Dayże mi świę-
 „ty pokóy, powiedziała, co ci do tego; nie-
 „masz prawa wymagać innéy płacy tylko ta-
 „kiéy na iaką ugoda była.“ To wyrzekłszy, poszła, a iam została u brudnego żyda; o! iakże mi przykrém to upodlenie było, chociaż wiele towarzyszek i towarzyszy dzieliło go ze mną, bo Abraham miał pieniądze. Ale na szczęście moje, nie gościłam i dnia u niego; użył mnie wprawdzie i siostr moich niegodziwie; bo śpiesząc się przed wieczorem szabasu, wydał nas z tuzinem fałszywych dwuzłotówek; nasze przymioty istotne, ich zalety zmy-

ślone pokryły; iam się temu nie oparła, bo iakżeż to miałam uczynić? niech ludzie co mówić umieją, wstydzą się, kiedy podobnie użyci, bliźniego nie ostrzegą, mnie nieméy istocie wyrzucać tego milczenia nie można... Tym więc żydowskim sposobem dostałam się do ekonoma, który mu barylkę wódki był sprzedał; gdy na drugi dzień stanął ów ekonom przed państwem swoim, i skórzany trzos wypróżnił, pan obaczywszy tyle fałszywych pieniędzy, wyłaił go, mruknął pod nosem: *Jaka praca, taka płaca*; i ze wstydem do biórka nas schował. Osobno włożył złą, osobno dobrą monetę, bo oko doświadczone snadnie złych od dobrych rozróżni. Rada byłam temu rozdzieleniu; przykro prawemu z fałszywym przebywać... Zaraz nazajutrz, w niedzielę, wyięto mnie z biórka, i przeszłam w ręce wyrobnika; słyszałam że dla mnie i drugiéy takiéy iak ia, cały tydzień z potem czoła pracował, zdawało się więc, że tu szanowaną będę; owinał ci nas wprawdzie w brudną szmatę, schował za pazuchę, ale zaraz wyszedłszy z kościoła, w którym xiądz bardzo

na pijaństwo powstawał, a on bardzo płakał, przysiadł się do woza kumy i sąsiada, iadącego z korczykiem zboża do Warszawki. Przyiechaliśmy późno, już było prawie ciemno. Pan mój dostrzegł iednak gałązkę choinki, wiszącą nad iednym sklepikiem, wszedł tam i z kumem, a tak dobrze wywdzięczał mu się za podwodę, tak pił do niego, to piwem, to wódką, żem została u szynkarki. Wytoczyłam się z tamtąd po iednodniowym pobycie. Moia Pani nie koniecznie okrzesała, bardzo była skrzętna i pocziwa, pracowała od rana do wieczora, ale nie wiem wcale dla czego córki iedynaczki nie wzywała do pomocy, tylko kazała iey siedzieć nad xiążkami i zeszytami. Panna Małgorzata miała kilku nauczycieli, między innemi do francuzkiego ięzyka. Temu się dostałam, on mnie natychmiast przyszedłszy do domu, córce sześćioletniéy darował. Dotąd ieszcze nikogo moia istota tyle nie uszczęśliwiła. Ta luba dziecina skakała z radości, biegała do wszystkich, pokazywała im skarb swój; nigdy nie sądziła, aby *dwuzłotówka* tak wiele miała wartości;

Ludwinia pewną była, że za moją pomocą całą Warszawę zakupi; idąc spać wzięła mnie z sobą, a obudziwszy się w nocy usnąć nie mogła, bo ją strach brał, czy złodziey po iéy maiątek nie przyidzie; długo mnie tuliła do siebie, kryła w małej rączce, aż nareszcie wstała, poszła na palcach do łóżka matki, i włożyła mnie pod iéy poduszki; wtedy o skarb swój spokojna, wróciła i wnet usnęła. Następującego poranku wyszła z oycem na miasto; chcąc iéy ieszcze radości przysporzyć, poradził iéy, aby mnie zmienila na grosze; usłuchała go, ale bardzo się troszczyła czy wexlarz nie będzie na tém szkodował, iż iéy sześćdziesiąt pieniędzy za ieden daie.... Tego samego dnia pan iakiś kilkadziesiąt dukatów u wexlarza zmieniał, i ja mieysce znalazłam w odrachowaney mu srebrney monecie; przez noc poleżałam w iego szkatulce z wielą towarzyszami; przy iego łóżku stojąc, usłyszałam te słowa, które obracaiąc się z boku na bok głośno wyrzekł: „Dalbym ją całą, „za snu smacznego godzinę!..“ Nazaiutrz zły, tęskny, wyprawil przyjaciółom małe iak

mówił śniadnie. Za pięćset obrzydliwych zwierzątek w skorupach i za dwadzieścia butelek szumiącego wina, poszło nas czterysta, a uczestnicy tego śniadania niemniéy dla tego, iakem słyszała, obiadu i wieczerzy potrzebowali. Kupiec, który mnie i towarzyszki moje niósł do schowania, napotkał w sieni iakąs kobietę, bardzo ubogą ale czysto ubraną. „To ty, pocziwa Antonino! powiedział, iak-
„że ci się powodzi?“ — „Już z łaski Boga
„i Pana, wykupiłam zastawione przez niebo-
„szczyka sprzęty i szaty — odpowiedziała —
„ale téż grosza nie mam przy duszy, i sze-
„ścioro dzieci moich ieszcze dziś nie w ustach
„nie miały. Wolałabym umrzeć wraz z niemi,
„niśli żebrać po ulicach, ale tu odważyłam
„się przyść, i błagać o iaki zadatek na wzię-
„tą od Imości robotę.“ — „Masz trzy dwu-
„złotówki, powiedział kupiec, nie weyda one
„do porachunku, ale ciągle pracuy, i miéy
„żebractwo w ohydzie.“ — Odeszła uradowa-
wana; iam była w téy iałmużnie; drugą z nas
trzech mnie wydała; iakże mi dziwno było,
mnie, któram dopiero widziała, iż za cztery-

sta mnie podobnych wielki pan z przyjaciółmi
małe zjadł śniadnie, że za ieden takiż sam
pieniądz, uboga i pracowita wdowa z sze-
ściorgiem dzieci przez całe dwa dni wyżyła.
Co więcéy weselszą była od niego, i sma-
cznie spała... Ja z iéy rąk dostałam się do
piekarza, ten mnie tegoż samego dnia w po-
datku odniósł, i tak właśnie w tydzień po
urodzeniu moiém, znowu do skarbu wróciłam.
Tam.... alem ia tylko tydzień bytu mego opi-
sać przedsięwzięła, nie trzeba zapędzać się
daleý; powiem więc tylko, że różnych i da-
leko dziwniejszych ieszcze doznałam kolei;
ileż iam to drzwi zamkniętych, rogatek spu-
szczonych iakby czarami otworzyła; iakże mi
się często trafiło, żem traciła lub nabywała
w własném mniemaniu wartości; raz zdarzyło
mi się, że ten któremu mnie i kilkaset in-
nych dać chciano, odrzucił nas wszystkie, i
powiedział daiącemu: „Schoway ie dla tych,
„którzy wyżéy pieniądze od honoru cenią!“..
Zdarzała mi się także częściéy rzecz inna;
osoby, którym mnie, i więcéy takich iak ja
dawano, kilkakrotnie ręką sięgały, nim się

odważyły nas wziąć, i ze wstrętem nam się przyglądały. — Jakby śpilkami nadziane albo rozpalone w ogniu, tak korciłyśmy posiadaczy naszych, a przecież nas brali; ale podobne wypadki coraz rzadziéy mi się zdarzają, i uważałam nawet, że gdy mi się przytrafi być powtórnie u takich osób, coraz mniéy ia i podobni mnie, ie dolegamy. Bo nie raz iuż bywałam kilkakrotnie w iednymże ręku. Tak, byłam przeszłego roku u owéy ładnéy mężatki; i położenie iéy i piękność okropnie się zmieniły; iéy zbytki wtrąciły męża do grobu; i iednéy *dwuzłotówki* po nim nie zostało; ona teraz bawi się przy wielkiéy iednéy Pani, a raczéy tę Panią bawi, czy iéy się chce czy niechce; dłużéy teraz mieszkałam u niéy sama w supelku od płociennéy chustki, niż niegdys trzysta z nas w batystowéy chusteczce, i lepiéy mnie użyła, bo mnie za dobrą polską zamieniła xiążkę. Do pocziwego Józia zatoczyłam się także po kilka razy, zawsze w pensyi coraz znacznieyszéy, którą od rządu pobiera; dobra Babunia mieszka przy nim, ciągle robi pończochy dla wnucząt, które zarówno

z ich matką kocha. I do Antoniny się dostałam, ledwie ią poznała, gdyż teraz inaczéy mieszka, inaczéy się ubiera, a nawet inaczéy ią zowią. Za pomocą dobroczynnego kupca, założyła dom szwaczek, chodzi do niéy kilkanaście dziewcząt, ma wiele roboty, córki téż podrosły i pomagają iéy, chłopców posyła do szkoły. Pobyt u niéy był ostatnim kursem moim; ztamtąd zatoczyłam się iuż od pół roku do szczególnego człowieka; dzień i noc chodzi koło tego i myśli iakby naywięcéy zebrał pieniędzy? a nie używa ich tak iak inni; lada czém się obywa, w wytartych sukniach chodzi, ie bardzo mało, nikomu nic nie daie, tylko zupełnie kocha się w srebrenéy i złotéy monecie, nie dla tego co przynieść może, ale dla niéy saméy. Piérwszych dni gdym mu się dostała, nosił mnie przy sobie, wyimował często, przyglądał się; iużem kilka razy myślała, że mnie między ludzi puści, ale nie; obeyrzawszy, włożył na powrót do kieszeni. Od kilku zaś miesięcy zsypał mnie z innemi w worek i zamknął do skrzyni; rzadko kiedy otwiera ią i to zawsze w nocy; dukaty myie,

talary i dwuzłotówki rachuję. Ani nadziei wy-
dostać się od niego, iedna śmierć iego, uwol-
nić mnie i towarzyszków moich może; a téy
mówią, że nikomu, nawet skąpcom i złym
ludziom życzyć nie należy — lubo śmierć u
nich pierwszym iest korzystnym dla ludzkości
czynem.

IV.

NIESZCZĘŚLIWY POETA.

Niema podobno dla młodego chłopczyka,
większey do nauki i do prawdziwego światła
zawady, iak kiedy nieszczęściem zbyt wcze-
śnie wiersze pisać się poważy. Rodzice i nau-
czyciele zamiast chwalić i zachęcać te buyne
wyskoki, powinnyby raczey ganić ich i zaka-
zywać. Dar Poezyi nayrzadszym iest Niebios
darem, rymotworstwo jeniusza wymaga; ża-
dnym więc sposobem wielu Poetów bydz nie
może, a przecież niemal każdy chłopczyk do
wiersza się bierze. Nie ieden skoro dwa ry-
my złoży, sądzi że iuż iest Poetą, a byle

wiersz iego był miarowy, i miał końcówki, o sens się nie pyta, i w równi z Krasickim się kładzie. Ten gust nieszczęśliwy, ieżeli do wysokiego dojdzie stopnia, pozbawia go wszelkiego światła. Gardzi xięgami naukowemi, bo prozą pisane; nie chce słuchać lekcyi w szkołach, bo nie wierszem Professorowie ich dają; a co naygorsza, napawa się dumą, nabiera wielkiego o sobie mniemania, wyżey się kładzie nad wszystkich, a przeto do wszelkiego dobra drogę sobie zagradza. Bo biada temu dziecięciu, które sądzi, że ma więcéy od wszystkich rozumu, bez wątpienia na całe życie niżey od wszystkich zostanie!

Smutny przykład niebezpieczeństw wierszomanii przedstawił Seweryn Ranski. Sierota i nie majątny, przyjęty został w dziecinnym wieku swoim, w dom dalekich lecz bardzo dobroczynnych krewnych. Ci obchodzili się z nim iako z dzieckiem ukochaném, i równe iemu z własnemi synami dawali wychowanie. Seweryn wiele okazywał zdatności; ~~zawczasem~~ i prędko czytać i pisać się nauczył. Mógł był zayść daleko w naukach, lecz nieszczę-

ściem dostały mu się zbyt wczesnie w ręce pisma Poetów naszych. — Nie mogąc ocenić wszystkich ich piękności, uderzony tylko został miłym dźwiękiem ich wierszy, i iakby zaczarowany bogactwem, wspaniałością, harmonią wyrazów, któremi tak poezya nasza celuie, zdało mu się, że rymy i szumno-brzmiące słowa całą piękność wiersza stanowią, i umyślił byź Poetą. Deklamował pompatycznie Felińskiego, Trembeckiego rymy, nieustannie końcówek szukał; nie raz w potocznój rozmowie zdarzyło mu się górne słowo, albolitéż dwa rymy umieścić; kochający go opiekunowie przyznali mu nieiaki talent do Poezyi, a on w duchu przyznał sobie jeniusz rymotworczy.

Kiedy miał lat dwanaście, i już kilka liber papieru płodami Muzy swoiěj napelnił, nadeszły imieniny opiekunki iego; zdała mu się pora stosowna do okazania swego talentu; przejrzawszy więc własnych dzieł foliały, naskrobawszy nie mało czoła, napisał te wiersze:

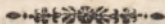
Ty! co myśli ulotnój przypominasz słońce!
Ty! którą wielbią świata naydaleksze końce!

Z związków słodkich z Tobą w Parnasie się chlubię,
 Tobie igraszki Muzy poświęcać ja lubię;
 Dla ciebie Apollo nastroił swą lutnię,
 I moja niezawodnie godny Ci wiersz utnie.
 Żyy dni gwiazdorówne, miéy zdróy pomysłności!
 Plyway w złocie, w zdrowiu, w dziwnéy szczęśli-
 wości!

O méy ku Cię wdzięczności śpiewałbym najmiléy,
 Gdybym na Helikonie wzbił się iak Wirgili.
 Lecz ieszczem go nie doszedł... Ale bądź cierpliwa;
 Póydzie lotem piorunu Muza nie leniwa;
 W ów czas wdzięczność niezbędną i iéy zapal cały,
 Wieki potomne, wnuki, będą czytywały.

Przepisawszy na papierze welinowym z gir-
 landą to powinszowanie, odczytawszy go gło-
 śno kilka razy, rachuiąc na palcach sylaby,
 Seweryn tak był kontent, że wstał bardzo
 rano, i ieszcze leżący w łózkú solenizantce
 go oddał. Ucieszona iego pośpiechem, oba-
 czywszy w wierszach powtarzane słowo *wdzię-
 czności*, nie zważała na resztę, i rozrzewniła
 się czytaiąc to powinszowanie. Rozłożone
 wraz z innemi na wielkim stole w bawialnym
 pokoju, czytane było od wszystkich gości i
 od domowych; a iak się to zwykle zdarza,
 każdy nie wiele myśląc, z grzeczności po-
 chwalił.

Od tego czasu zdało się Sewerynowi, że już iest Wirgilim, z tą iedynie różnicą, iż jeniusz iego więcéy przedmiotów obeymuie. Zaczął więc pisać Poemata, Śielanki, Traie-dye, Komedye; na każde imieniny obchodzone w domu występował z Oda; ale wszystkie wiersze iego podobne były wyżéy umieszczonym, a dla nich istotnych zaniedbywał nauk. Cóż się stało? na żadnym examinie się nie popisał, bo zaięty Poezyą, nie miał czasu do czego się przyłożyć; szkół nie skończył, rozgniewał na siebie opiekunów swoich, gdyż pomimo powtarzanych ich napomnień, nie chciał wierszomanii zaniechać. Wyrosł słuszny. Lecz cóż robi? czém iest? i co z niego będzie? Oto bruk zbija, każdy wierszokletą go zowie, do niczego nie dojdzie. Miał majątek na wierszach zrobić, a wydawcy Pism peryodycznych nie chcą nawet darmo poezyi iego umieszczać. Jest iednak promyk nadziei, młody ieszcze, poprawić się może; a gdyby się wyrzekł wierszy, i przyłożył pracy, ieszczeby opiekunów łaskę i czas stracony odzyskał.



V.

OFIARA ROMANKA.

Już Romankowi kończyło się lat dwanaście. Oyciec [uznał konieczną potrzebę oddania go do szkół, i po długich zabiegach dostał od Rektora konwiktu Xieży Piiarów w Warszawie obietnicę, że do grona uczniów przyjętym będzie. Romanek przyzwyczajony do słodczy rodzicielskiego domu, kochany od Matki i Oyca, pieszczony od Babuni, nie smakując bardzo w nauce, drzał na samo szkoły wspomnienie. Rodzice i Babunia cieszyli go iako mogli, powtarzali mu często, że u Xieży Piiarów prawie tak dobrze iak w domu, że młodemu koniecznie uczyć się trzeba; chłopiec bał się iednak, i żadnéj niemiał ochoty, a prósbami swemi, iak mógł tak dzień wyjazdu odwlekał. Aliści w pierwszych dniach Września, odbiera Oyciec iego list od Xiędza Rektora, w którym mu oznaymia: iż mając do konwiktów wielu kandydatów, iedynie do pewnego dnia czekać na iego syna może; a

ieżeli na dzień naznaczony nie ziedzie, miejsce iemu obiecane z żalem komu innemu dać będzie musiał. Oyciec natychmiast wszystko do podróży przygotować kazał; chciał sam odwieść syna do Warszawy. Romanek rad nie rad wybierać się zaczął; w wieczór, pożegnał z płaczem wszystkich domowych, bo nazajutrz skoro świt wyiechać mieli. Babunia życząc mu dobrej nocy wsunęła w rękę dukata, żeby sobie co pięknego kupił w Warszawie. Romanek cokolwiek tym darem pocieszony, z mniejszym smutkiem się położył, i spał smacznie. Rano nim słońce weszło, budzą go. Wstaie prędko, ubiera się, wychodzi z pośpiechem na dziedziniec; już poiazd zaszedł, ludzie rzeczy pakowali, ale Oycia niebyło widać. Pyta się o niego? Powiadają mu, że zachorował nagle w nocy i nie poiedzie do Warszawy; lecz zastąpi go wierny i poczciwy sługa. Romanek przełknięty bieży do Oycia pokoju, prosi go na klęczkach, żeby i on mógł nie iechać; ale Oyciec bojąc się pozbawić syna dobrego miejsca, lubo w mocnej będąc gorączce, iechać natychmiast

mu każe. Słucha go biedny Romanek, żegna się ze wszystkimi raz ieszczę; iedzie, i przez całą drogę płacze. Trzeciego dnia rano koło dziewiątęy godziny, wypadło im przeieżdżać przez Kalwaryiską górę; kiedy przed karczmą konie wytyhały, dzwonić zaczęto. Romanek prosił starego sługi, żeby z nim poszedł do kościoła. Nie doznał odmówienia, i poszli oba. Idąc, chłopczyna był nie swój, widać było, że chciał coś mówić a nie śmiał. Nareszcie wzięwszy przewodnika swojego za rękę tak mu powiedział: „Babunia dała mi dukata, żebym sobie co ładnego w Warszawie kupił; dla mnie nic w świecie całym niéma ładnego, kiedy Tata chory!... Mam nawet jakieś przeczucie, dodał, zalewając się łzami, że w téy chwili naymocniéy iest słaby; póydzmy więc do Kustosza tuteyszego kłasztoru, niech dziś ieszczę za tego dukata każe odprawić mszy kilka, ażeby Tata ozdrowiał.“ Stary sługa i na to chętnie zezwolił. Kustosz obiecał dopełnić żądania dobrego syna; natychmiast wyszła msza iedna, któręy Romanek z iak naywiększą pobożnością wy-

śluchał. Płakał, łącząc prośby swoje z prośbami kapłana; iak Zbawiciel za wszystkich ludzi się ofiarował, tak on błagał Boga, żeby iego życie za oycowskie przyjąć raczył! Po ukończoném Nabożeństwie niepojętę doznał ulgi, choć ieszcze smutny, stokroć był spokojniejszy; w kilka godzin stanął w Warszawie, właśnie na dzieńznaczony. Xiądz Rektor przyjął go mile, otoczyli go szkolni towarzysze, znalazł kilku z okolic swoich, ale nic mu przyjemném nie było, póki o Oycu nic pewnego się nie dowiedział. Nareszcie odebrał list od Matki, donosiła mu z radością: „że Oyciec daleko zdrowszy; trzeciego dnia po iego wyjeździe z domu, rano, koło „dziewiątę godziny, bardzo był źle, ale prze-„silila się gorączka, i od téj chwili coraz się ma lepiéy.“ Podskoczył Romanek z ukontentowania, i podziękował Bogu, że raczył przyjąć ofiarę iego. Wkrótce naocznie się przekonał o zupełném zdrowiu Oyca: w kilka bowiem tygodni przyjechał sam do Warszawy, i z roskoszą serca uściskał syna.

Romanek iest ieszcze dotąd w szkołach. Zachęcony do nauki światłem, słodyczą, gorliwością mistrzów swoich, i współ-uczniów przykładem, obiecuie, że zalety rozumu iego wyrównaia kiedys serca przymiotom.

T O N A C Y.

„Cóż to za krzyk, iakaż to wrzawa?“ mówił Floruś do Oyca, przechadzając się z nim po ulicach Wrocławia, gdzie iadąc z wód dwa dni bawili, co tu ludzi biegnie w iedną stronę!“ — „Ku Odrze oni tak biegną, powiedział Oyciec, wielkie nieszczęście stać się musiało.“ — „Idźmyż i my!“ zowolał przelekniony Floruś, i poszli spiesznym krokiem. — Ledwie przez tłum niezmierny przecisnąć się mogli, ledwie od kilkuset ludzi dowiedzieć się potrafili, że chłopiec czternasto-letni, syn iedyny ubogiéy i słabowitéy wdowy, na którój wyżywienie zarabiał, kąpiąc się w rzece przed chwilą, utonął. Widać go ieszcze było iak walczył z wodą, pokazywał się niekiedy

na wierzchu, wołał o ratunek, ale już coraz były częstsze i dłuższe zanurzenia się iego, a głos coraz słabszy. Stoiąca nad brzegiem matka, napelniała powietrze krzykiem rozpacz, a usiłowania czterech osób koło niéy stoiących, zaledwie zapobiedz temu mogły, żeby się za synem w wodę nie wrzuciła. W mnóstwie ciekawych i ubolewających nie było nikogo, któryby własne chciał narazić życie na wyrwanie z rąk śmierci dziecięcia ubóstwa. „O Boże! zawołał Florus, czemuż tak młody, czemuż pływać nie umiem!“ Kiedy syn tak mówił, oyciec dobywał woreczka z kieszeni: „Dwadzieścia talarów, powiedział donośnym głosem, dam natychmiast temu, który tego nieszczęśliwego wyratuje!“ Spoyrzeli się na niego, i na woreczek Niemcy, i ieden drugiego namawiał. Lecz w tém rozdzielił się tłum iak gdyby mieysce komuś znakomitemu zrobić chciano. „Gdzie nieszczęśliwy! gdzie nieszczęśliwy!“ zawołał do rodny i pięknie ubrany młodzieniec. Pokazuje mu go rąk tysiące, bo właśnie dobył się znowu na chwilę na wierzch wody. Młodzie-

niec zdeymnie suknie i rzuca się w rzekę. Silny zdrowiem i młodością, silniejszy ieszczę miłością bliźniego, wnet dopływa do tracącego już zmysły chłopca, a uchwyciwszy go mocną ręką, w przeciągu kilku minut wyciąga go na brzeg. Widząc to matka, pada zemdlona, a lud zgromadzony woła: *Ein Pole, ein Pole, ein Polnischer Graf!* Polak! Polak! Hrabia Polski! W rzeczy saméy, Polakiem był cnotliwy młodzieniec, który na krzyk tonącego nędzarza nie wahał się narazić pełnego nadziei życia. Obtoczył go gmin ciekawy i wdzięczny, i wysławiać go zaczął, ale on prosił, żeby o wyratowanym miano staranie, a sam zemknął zręcznie, i dostał się niewidziany do pobliskiéy gospody, gdzie mieszkał. Po zwykłe w takich razach używanym ratunku, przyszedł do siebie nieszczęśliwy; większą niemal pracę zadała przytomnym matka iego, w ciągle wpadała mdłości, a gdy nareszcie odzyskała zmysły, radość iéy przytłumił żal, iż poznać i podziękować dobroczyńcy swemu nie mogła. — Florus i oyciec iego tkliwi całéy téy sceny świadkowie, którzy

w odważnym młodzieńcu poznali nie tylko
 ziomka ale krewnego swego, uspokoili ią mówiąc, żeby przyszła nazaiutrz rano w to a
 w to miejsce, a tam dobroczyńcę swego zobaczy. Chcąc zaś cokolwiek iéy byt polepszyć, oyciec Florusia dał iéy obiecane za
 wyratowanie syna dwadzieścia Talarów. Zanimiesionym został do skromnego swego mieszkania,
 poszła za nim matka drżąc cała od słabości, przestachu i szczęścia; rozszedł się
 zwolna tłum cały, został się tylko Florus i oyciec iego;
 ale i oni wnet poszli dopytywać się po domach zaiezdnych o szlachetnego rodaka?
 W drodze Florus powiedział do oycia: „O mój Tato! ia koniecznie muszę umieć pływać!“ — „Każe cię uczyć skoro do
 Warszawy wróciemy, odpowiedział mu oyciec; iest tam właśnie niedawno założona szkoła pływania dla samych wprawdzie woy-
 skowych, ale może uproszę sobie, ażebyś i ty mógł się w niéy uczyć. Wreszcie nie sposób, żeby ktokolwiek zapatruiąc się na dobro-
 dzieystwo podobnego zakładu, dla cywilnéy młodzieży podobnéy nie utworzył szkoły.“ —

„Bądź co bądź, zawołał Floruś, ja koniecznie muszę umieć pływać!“ Przynależał mu święcie oyciec że dopełni jego żądania. Tym czasem po dosyć długiem szukaniu, znaleźli mieszkanie odważnego młodzieńca. Bronił się od ich pochwał, a gdy nazajutrz dziękowała mu wdzięczna matka: „Niemasz za co, powiedział iéy, aż nadto nagrodzonym iestem, bom pozyskał wspomnienie, które na całe życie uczucie szczęścia mi zostawi!“

VII.

S Z L A C H E T N O Ś C.

Daleka iestem od zdania tych, którzy sądzą, że szlachetność na urodzeniu zawisła; polega ona podług mnie więcéy w cnot, niśli w naddziadów paśmie, raczéy w czynach niśli w herbach; iednak przyznać muszę, iż ród wysoki zwykł nadawać umysłowi i całéy postawie człowieka pewne piętno szlachetności, którego nędza i upokorzenie zatrzcć nie umie, a los iakby poznaiąc po tym znaku wybranych swoich, po krótkiem prześladowaniu wra-

ca im częstokroć dawne dary swoje. — Następuiący przykład, którego świadkiem byłam naocznym, sprawdza ten mój wniosek.

Baron S..... Prusak rodem, z bardzo znakomitéy i dawnéy familii, lecz nie maiętny, przybył do Warszawy z rodakami swemi r. 1795. Korzystny otrzymawszy tu urząd, ożenił się z dobrze wychowaną lecz ubogą Polką, i w lat kilka uyrzał się oycem pięciorga dzieci. Te dzieci stały się celem troskliwości i zabiegów iego; wpaiał w nie szlachetne uczucia, łożył znacznie na ich edukacyą. Ludwisia najstarsza z nich, naygodniejszą się okazywała téy miłości i tych nakładów; iuż w dziesiątym roku mówiła dobrze trzema ięzykami, grała nie źle na klawikorcie, co więcéy, dobrą była i uprzejmą, i nad zwyczaj na wiek swój układną. Doborem mowy, szlachetnością ułożenia, zastanowiła każdego, i każdy mówił: znać że Baronowna. — Lecz iakże zmienne to szczęście ludzkie, iakże ten los bez przerwy się toczy? iak często, gdy iednych raduie, drugich zasmuca; gdy iednych podnosi, drugich uniża? Zaszły pa-

miętne w kraiu naszym odmiany, wszyscy Prusacy pozbawieni zostali urzędów. Baron S..... tém mocniéy uczuł tę koléy, iż żadnego ani posiadał, ani uzbierał majątku. Nie widząc iuż w Polsce naymniejszéy dla siebie nadziei, udał się do oyczyzny, szukając tam wsparcia i pomocy; żonę właśnie szóstego dziecka oczekującą, zostawił w Warszawie. Zdawało mu się, że i ią i dzieci opatrzył dostatecznie, ile że był pewny, iż nie długo otrzyma w kraiu swoim urząd, i przysze tu po nich. Ale inaczéy się stało; przez dwa lata bezskuteczne podawał prośby, i chodził próżno za mieyscem, a tymczasem rodzina iego do naywiększéy przyszła nędzy. Żona słaba i taką rodzinę mająca, nigdzie w służbę iść nie mogła; żadne téż z tych dzieci ani wiekiem, ani wychowaniem tak usposobione nie było, żeby zarabiać na życie; Ludwisia choć naystarsza, dwunastu lat nie miała!.. Przedawszy więc co tylko mieli droższego, schronili się do iednéy izdebki w dworku na Grzybowie, i tam ledwie chlebem suchym i kartoflami z solą głód swój zaspakaiać mo-

gli. W takim stanie, w śródku ciężkiéy zimy, zgłodniałą, wybladłą, niemal nagą, odkryły tę nieszczęsną rodzinę, więcéy ieszcze dobroczynne niśli zamożne osoby; rozczulone tym zmian losu żyjącym obrazem, lituiąc się szczególnie nad młodą Ludwisią, na któręy czole piętna szlachetności sama nędza nie zatarła, czyniąc nad siły swoje, téy matce i dzieciom dały w domu własnym przytułek; chłopców oddano do szkoły, dziewczęta uczono robót i potrzebniejszych udzielano im nauk. Zamiarem tych dobroczynnych osób było przechować owych nieszczęśliwych do czasu, kiedy Baron S..... otrzymawszy nareszcie miesce, przyszele po nich. Lecz w Prusiech taki był w ów czas natłok cisnących się do urzędów, iż ośm lat minęło, nim ten skutek pożądaný nastąpił. W ich przeciągu Pani S....i troie iéy dzieci straciwszy zdrowie w tych dwóch latach nędzy, pomimo troskliwych staran opuściły tę ziemię; przyiał ich ciała smętarz wieyski w tém samém mieyscu, gdzie dała im przytułek dobroczynna ręka, leżą tam dotąd pospołu z szczęśliwszemi wieśnia-

kami... Ludwisia zaś doszedłszy do lat ośmnastu, pomimo nieszczęścia i upokorzenia, zawsze prawdziwą szlachetnością przeięta, nie chciała być dłużey ciężarem dobroczyńcom swoim, i poszła w służbę. Znając ważność guwernantki powołania, a nie czując się zdolną do spełnienia go, wołała łatwiejszych acz niższych podjąć się obowiązków. We dwóch domach była Panną służebną, a pełniąc dokładnie powinności takowey posady, szlachetnością uczuć, i ułożenia, w obudwóch to sprawiła, że w krótkim czasie nie iako sługę, ale iak przyjaciółkę ją uważano; a każdy widząc w nięu dobrego wychowania piętno, nie wątpił, że lada dzień wróci do dawnego stanu. Spełniły się te oczekiwania; Baron S... otrzymawszy nakoniec znaczny urząd, przysłał po córkę i po synów. Pojechała Ludwisia, a gdy w rok potém donosiła dobroczyńcom swoim, (do których dotąd z wyrazami nayżywszey wdzięczności pisał), że otrzymał obietnicę ięu ręki, zacny, młody, mądry i wysokiego rodu człowiek, nikt, nawet z tych którzy ją w nędzy, na łasce i w służbie widzieli, nikt mówię, się nie zadziwił.

VIII.

PAWEŁ KOCZMARA.

Niech nikt nie mówi, że w kmiecim stanie niema wyższych uczuć, żywego przywiązania; niech nikt nie utrzymuje, że wszyscy włościanie Panów swoich, iak tyranów nad sobą uważają, a najlepsze obeyście z nimi obudzają w nich tylko hardość i niewdzięczność. Inaczey częstokroć się dzieie — ale już przyięty został między ludźmi ten dziwny obyczaj, iż więcéy o złych czynach, niżli o cnotliwych mówimy. I dobrze — snadź, nie przeważył ieszcze występki na ziemi, kiedy więcéy podziwienia sprawia, i wrażenia czyni; snadź, pospolitsza od niego iest cnota, kiedy mało kogo zastanawia.....

W iednéy z najmilszych wiosek województwa Lubelskiego, mieszka dziedzic pełen dobroci i rozsądku; on włościan swoich iest razem oycem i panem; nie psunie ich zbytęzną łagodnością i pobbążaniem, (z których to zwykłe hardość i niewdzięczność kmiotków wyni-

ka) ale utrzymuie ich w przyzwoitéy karności, wzbudza w nich szacunek dla siebie i przywiązanie, rzetelnym sprawiedliwości wymiarem; bo ten iest sposób iedyny, ale bårdzo trudny, utrzymania w właściwym obrębie, i pozyskania serc i starszych i dzieci, i prostaków i oświeceńszych. Ten dziedzic kilka lat temu, mocno zachorował; przywołany lekarz oświadczył, że choroba iego bårdzo niebezpieczna, i gwałtowny tylko ratunek i wielkie starania wyratować go od śmierci mogą; osiadł więc iuż przy łóżku chorego, a uważając pilnie na postępy choroby, stosownie do niego, zmieniał lekarstwa, moc ich podwajał, a w iak naylepszym ich sporządzeniu, i nayrychleyszym dostarczaniu, całą nadzieię uleczenia zakładał. Z Lublina, iako z mieysca gdzie dobre są apteki, umyślono wszystkie przywozić lekarstwa; a ponieważ Lublin, o cztery mile od téy wioski odległy, dzień i noc w dwóch karczmach przy drodze, czekały *stóyki* czyli chłopci na koniach, ieden drugiemu podawał przepis lekarza, albo iuż zrobione lekarstwo; i tak prędzéy dochodziły miey-

sca swego przeznaczenia, i ratunek był śpieszniejszy. Właśnie w dniu trzecim choroby, kiedy walczyła dzielnie śmierć z życiem, kiedy sam lekarz wątpił, czy nie ona zwycięży, i całą swą sztukę na ostatni iakiś zaradczy środek wysilił, przepis iego dostał się do rąk kmiotka *Pawła Koczmary*, na którego kolę stóyki na ten dzień przypadła. Paweł Koczmarą był iednym z uboższych owéy wioski gospodarzy; oyciec sześciorga drobnych dzieci, całym prawie majątkiem iego był koń, którego kupił zrzebakiem, a który wyrosł na bardzo pięknego rumaka. Strzegł go téż iak oka w głowie, i kochał niemal iakby siodme dziecię; iuż mu za niego pan sąsiedniéy wioski dawał trzydzieści dukatów, a on chciał równo sześćset złotych, żeby mieć po setku dla każdego z dziątek. — Zadziwił się nie ieden, gdy Paweł Koczmarą na tym koniu na stóykę wyiechał, ale każdy dobre serce iego pochwalił; on zaś z rąk saméy pani przepis odebrawszy, z zaleceniem nayprędzszego sprawienia się, przy kilkakrotném tych słów powtórzeniu: *Życie Pana od pośpiechu zależy* —

pędem wiatru ruszył. — Doieżdża wnet do karczmy, gdzie pierwsza stóyka czekała, i patrzy na swego rumaka: „Jeszcze wcale nie „spieniony, powiedział sam w sobie, zdrowo „mu będzie, niech się do drugiéy przegoni.“ I ruszył nie zatrzymuiąc się wcale. Przyjeżdża na drugą, stawa w karczemnéy stayni, przygląda się troskliwie czekającemu koniowi; nędzny mu się wydaie: „Cóż wasza klacz, „Panie kumie, nie tęgo patrzy, a życie pańskie od pośpiechu zależy.“ — Cóż ia temu krzyw, odpowie tamten, że niemam tęgiego „rumaka. Ale przecież i moja nie taka znowu lichota, da Pan Bóg, w godzinę, to i „do Lublina zabieży.“ — „W godzinę! powtórzy Koczmara, ia na moim gniadoszu był „bym tu za godzinę.... Ey! wysapał się trochę, Panie kumie... napaście tu dobrze waszę klaczkę, a ia ieszcze do Lublina ruszę.“ I ściśnął rumaka kolanami, i ruszył. — Ledwie dobiiała godzina, kiedy gospodarz dosypuiący sieczki klaczy swoiéy, usłyszał z daleka prędkie stąpanie konia. „To mi zuch! „krzyknął, iuż wraca!“ A odprowadzając

klacz od żłobu, wsiadł na nią co tchu, i wiechał naprzeciw Koczmary. „Panu Bogu dzięki, wołał tamten zdaleka, aptekarz duchem „zrobił lekarstwa, mam wszystkie; iedźcież „z niemi co żywo, bracie; ale czy mi się „zdaie, klacz wasza coś utyka.“ — „Ponoć „prawda, odpowie tamten, a to kiego wyrwała licha, dodał z gniewem zsiadając. Tam do kata podkowę zgubiła! Czy złe nadało? „Ale tu iest kowal, w chwilce temu zaradzi.“ — „A życie pańskie od pośpiechu zależy! powtórzy pocziwy Koczmara; ia téy „przewłoki nie ścierpię. — Jeszcze mój rumak bokami nie robi — niech rusza.“ — I ruszył. — Niedaleko będąc ostatniéy stóyki tak mówi sam w sobie: „Już iedno półtory „milki do doma, a koń każdy do swego żłobu ochoczo wraca! mnie się tam we dworze spodziewaiały tylem iuż drogi uiechał, „a oni o tém i wiedzieć nie będą — ciekawym téż przytém okrutnie, iak się tam nasze Panosko miewa?...“ a nie myśląc więcéy, minął stóykę i ruszył raz ieszcze. Kiedy iuż zobaczył zdaleka dwór murowany, i

wystawił sobie konającego Pana, klasnął na konia już nieco zwolniałym idącego krokiem, pogłaskał go, przemówił do niego, ścisnął tego kolanami, i koń iakby nowym zagrzany ogniem — ruszył. W iednéy chwili, stanął na podwórku; ale zaledwie stanął, zaledwie zdziwiona tak prędkim przebyciem iego pani, z radością lekarstwo odebrawszy, pobiegła do męża pokoju, dzielny rumak padł, a okrutnie bokami kilka minut porobiwszy, szyję wyciągnął, oczy zamknął i żyć przestał... Wyrazy żalu i litości zbiegłych domowych, wnet słyszeć się dały; Paweł Koczmara stał sam w milczeniu nad swoim koniem bez życia; ale nareszcie zawołał: „Jużci dobry i sprawiedliwy pan wart więcéy iak nieme choćby „nayurodziwsze bydle.. Jeśli Bogu się tak „spodobało, i mimo mój pośpiech pan zamrze, „to przy onéy większéy stracie, ta małą mi „się wyda — a ieśli zaś Bóg dobry da, że „mu te leki życie i zdrowie przywróca, bierz „tam licho i drugiego takiego konia — gdy- „bym go iedno miał...“ Z takim sercem przywiezione lekarstwo, iakże pomodz nie

miało?... Pomogło.... sprawiło więcéy po-
żądany, nišli spodziewany skutek. Wnet ży-
cie śmierzć zwalczyło — a w krótkim czasie
dziedzic do zdrowia powracać zaczął. Do lez
go rozrzewnił postępek Pawła Koczmary; ka-
zał go przywołać do siebie, dziękował mu
iako zbawcy swemu, chciał mu darować sześć-
set złotych, ale pocciwy kmiotek podzięko-
wał, mówiąc: „Niech mi Wielmożny Pan
„táy krzywdy nie robi, co z serca wyszło,
„worek nie zapłaci.“ — Lecz właśnie iarmark
w Łęczny nadchodził — iuż zupełnie zdrów
dziedzic poiechał do tego miasteczka; a z nay-
większém staraniem dobrawszy takiego same-
go dla Koczmary rumaka, sam mu go do
chaty odprowadził. — Cieszył się odzyska-
nym koniem przywiązany rolnik, ale może
więcéy ieszcze go cieszyła czerstwa twarz pa-
na, nadobny uśmiech dziękuiącáy mu pani, i
wesole koło oycy, rumianych paniątek pląsy.

IX.

MATKA I SYN.

POWIEŚĆ W LISTACH.

LIST PIÉRWSZY.

Już więc daleko od starania i dozoru mego, puszczoneś został tak młodo, kochany Wacławie, między ludzi zupełnie tobie nieznanym. Ale wymagały tego okoliczności. Ten, na którym cały los życia matki, cała iéy przeszłość spoczywa, ten musi koniecznie umieć i znać wiele, ażeby potrafił zadosyć uczynić swemu przeznaczeniu. Gdzież lepiéy iak w stolicy, możesz się wydoskonalić w tych naukach, do których od dzieciństwa tyle okazujesz ochoty i zdatności. Troskliwy Rząd zgromadził w Warszawie, wszystkie sposoby ćwiczenia i oświecenia młodzieży, dobroczynność iego, zarówno do skarbcu nauk ubogim iak bogatym przystęp daie. Ach! niech osoby, które do tak wielkiego dobrodzieystwa się przyczyniły, i nad utrzymaniem go szcze-

rze i gorliwie pracuią, niech pewne będą błogosławieństwa Nieba; modlitwy wdzięcznych oyców i matek ściągac ie zwykły... Cóżby naprzykład było za nieszczęście moje, gdyby śmiercią męża pozbawiona sposobu do życia, utrzymuiąca się iedynie pracą rąk własnych, gdybym mówię, takowey łatwości nie miała dać ci dobrę edukacyi; iużby żadnych dla mnie nie było w tém życiu widoków, boś ty iest wszystkich iedynym celem. Obdarzony wielką zdatnością, bogaty w chęć dobrą, pobożny, szlachetnie myślący, pracowity, wiem, że przy takięj zręczności nabycia nauk, ozdobisz się niemi; za tą pomocą doydziesz kiedyś do uczciwego, do zaszczytnego kawalka chleba, i podzielisz się nim z matką. Takie mi od śmierci oycy twego pocieszałeś mnie obietnicami, miłe są dla mnie, i wierzę im zupełnie. Już minęły te czasy, kiedy wyłącznie ludzie urodzeniem i maiątkiem znakomici, rozbierali godności, zaszczyty, urzędy; dziś úznano, że cnota, światło, dobre wychowanie, na równym stopniu dwóch ludzi postawić mogą, choćby ieden z nich w chacie,

drugi w pałacu się rodził; nie wątpię więc, że i syn mój dosłuży się kiedyś uczciwéy a może i znakomitéy posady, i odda mi stokrotnie owe zachody, ową często i w nocy pracę, która miła dla mnie, iego zawsze korciła i korci. O! wierzay mi, kochany Wacławie, ięśli tylko ciągle cnotliwym, pilnym będziesz, wypłacisz mi się sowicie z długu wdzięczności, który tak serce twoie napelnia, który nawet, iak mówisz, ciężalby ci nieco, gdybyś nie miał pewności uiszczenia się z niego. Za trochę trudów i pracy, nabędę szczęścia i chluby, oyczyźnie przysposobię użytecznego obywatela, sobie byt błogi zapewnię; któż kiedy lepsze kupno upatrzył? — Ale iakiż mimowolny strach serce moje ogarnia?... Pókiś wraz ze mną w naszym mieszkal miasteczku, póki za każdym powrotem ze szkoły, mówić, rozmawiać z tobą mogłam, i przemawiać do tego serca, które często w klassach nie wiele żywiołu dla siebie spotyka; póty byłam zupełnie spokojną; zdawało mi się, żeś już dojrzały, że cię nie zmienić, zepsuć nie potrafi. Teraz wszystko niebezpieczeństwem mi

się wydaie. Na stancyi z cztériema innemi studentami, prawie bez dozoru, w tak wielkiem mieście, z tak małym funduszem, drzęcała... Przypominaią mi się owe chwile, kiedyś sam chodzić zaczynał, kiedym truchlała, żebyś nie upadł; lecz iakże owczasowe obawy drobne były w porównaniu do téy, którój dziś doznaię... iakież to nierównie większe niebezpieczeństwa dziś tobie grożą!.. Pokrzepiam się iednak nadzieią, że z temi zasadami prawdziwój pobożności, którą serce twoie od dzieciństwa wzmacniałam, z temi prawidłami honoru, który prawego Polaka iest cechą, z tym chlubnym celem, iakiś sam życiu twojemu naznaczył, nie zbłądzisz, i doydziesz do pożądanéy mety, chociażbyś przeszkody na drodze spotykał.

LIST DRUGI.

Jakże mnie uszczęśliwił list twój, kochany, drogi Wacławie, oswobodził on serce moje ze wszelkiéy boiaźni, zastąpiła ją sł-

dka, zupełna ufność. Ucieszyło mnie nawet obruszenie się twoje, na myśl samą, że ja mogłam na chwilę nie być pewną ciebie, zachoway na zawsze ten gniew szlachetny; dowodem on iest wstrętu do złego, a kto go czuie, znać, że tchnie miłością cnoty. Jakżeś mnie rozrzewnił tkliwemi wyrazy, które iakby niechcący z pióra twego się wymknęły! „Na żadnego z towarzyszków moich niechciałbym być mieyscu, lubo prawie wszyscy bogatsi odemnie, bo żaden takiéy matki nie ma.“ Toż samo i ja ci powiem o sobie. Siedzę teraz w moiéy iedynéy izdebce, przy cienkiéy łoiowéy świeczce; choć iuż dwunasta, dopiero co robotę złożyłam, a przecież nie mieniałabym się z żadną Xiężną, bo żadna takiego syna niéma, a przynajmniéy żadna w dziecięciu swoiém tyle nadziei pokładać nie może... Wyborny rozkład twoich godzin; iak dobrze, iż każdą naukę odebraną w klassach rozważasz potém w domu, i że prócz zadań czytasz ieszcze i piszesz. Mówisz: „gdyby nie praca domowa, małobym czynił postępów.“ Snadno temu uwierzę; w szkołach sta-

wiaią przed młodemi naukę, iak potrawę na stole; może odeść próżnym, kto ią sobie nie przysunie, kto iéy nie weźmie tyle, ile dla niego przystoi, kto sam nie pomyśli o sobie; bo małe tylko dzieci karmić rzecz przyzwoita. — Dzień twój tak cały zaięty pracą, iż nie masz nawet na nic złego chwili wolnéy; to naylepsza cnoty tarcza; trapisz się tylko, że o mnie myśleć mało masz czasu. Ten kłopot zbyteczny; bo skoro syn powinnościom swoim zupełnie iest oddany, i gorliwie ich dopełnia, dowodzi tém samém, że pamięta o matce, że ona iest myśli iego przytomną. Rodzice we wszystkim, wizerunkiem są Boga, a czyż wypełnienie obowiązków naszych, nie iest naylepszą, nayskuteczniejszą modlitwą? I tak należy mi się zapewne, abys czasem wspomniał o mnie, abys pisywał iak można nayczęściéy, tak iak należy się Bogu, codzień rano i wieczór do Niego przemówić, oddawać Mu czysty hołd w Jego domu, a z resztą chwalić Go i wyznawać enotliwą pracę. Czyż nie powiedział Apostoł: „*Czy iecie, czy piiecie, czy co innego czynicie, wszy-*

„stko to możecie ku chwale obracać Bożey.“ —

Przedziwny twój opis owego milionowego iedynaka, który w równym z tobą wieku, i w iednéyże klassie będący, choć ma i Guwernera i Korepetytora, mniéy daleko umie od ciebie, niżéy siada, bo nigdy uwagi nie przyłoży. Patrząc na niego, radujesz się, żeś nie bogatym; o! zapewne; maiątek bywa bardzo często naywiększém dla młodego nie-szczęściem. Nie ieden Panicz myśli sobie w duszy (chociażby się do tego przyznać wstydzil) „niech się mozolą i dukwią nad nauką, „te biedaki co z pracy oczekuią imienia i „chleba, ia będę bogaty, noszę imie piękne, „czegoż się mam męczyć?“ I zostaje w ciemnocie, iakby do utrzymania wielkiego maiątku i sławnego imienia nie trzeba było często więcéy światła, niśli do ich utworzenia? iakby dziś ludzi nie z istotnéy ale z pozornéy ceniono wartości? Bardzo źle, że trafiaią się w klassach tacy, którzy nie z przyiaźni ale z interessu za podobnych Paniczów zadania ich wypelniaią; ucieszyło mnie to, lecz nie zdziwiło bynaymniéy, żeś temu Hrabiątkowi

swoiëy usługi odmówił, zreçzną nawet do niëy przyłączywszy naukę; wyrzãdziłëś mu tëm prawdziwã przysługę. W swoim z cienkiego sukna mundurze, i płaszczu z sobolim kołnierzem, z zegarkiem Paryzkim w kieszeni, zepewne się ani spodziewa, że ubogi student w farbowanym surduciku, lituie się nad nim, i nie chciałby za wszystkie skarby być na iego mieyscu. Wszystkie Pana Augusta wady, przypisujesz temu, że w kolebce będąc, Matkę utracił, a Oyciec kłopotami wielkiego majątku zaięty, niema czasu doglądać syna. Upatruiesz w nim iednak wiele przymiotów, grunt pobożności, dobre i wspaniałe serce, rozum otwarty. Dziwi cię, że przy tëm żadnëy dla Professorów niema wdzięczności; kochany Synu! zapewne go nikt względem téy powinności nie oświecił. Panicze wzrastają zwykle w tëm przekonaniu, że kto płatny, temu już wdzięczność się nie należy. O iakże się mylą! bardzo mało rzeczy złotem wynagrodzić można! a wreszcie to nie oni, ani ich rodzice tych nauczycieli płacą; niczëm więc od wdzięczności i względów nie

są uwolnieni. Kochany Wacławie! odróżniaj się ciągle inném postępowaniem; uważaj nauczycieli twoich iako zastępców twéy Matki, dla każdego miéy synowską miłość; tych zwłaszcza którzy niezmęczeni, gorliwi, którzyby radzi umiejętność swoię wlać w uczniów, (iak mi pisesz o kilku) tych nie tylko Synowie, ich Rodzice czule kochać powinni, tych Bóg ieden te starania, w ich własnych dzieciach placąc, wynagrodzić może... — O zdrowie moje nie troszcz się bynajmniéy — wyborne; pieniężne sprawy muszą także iść dobrze, kiedy prócz zwyczajnéy pensyiki, mogę ci jeszcze na ten miesiąc cztery złote na papier przesłać.

LIST TRZECI.

Z iakąż teraz niecierpliwością oczekuję nowego miesiąca, pierwsze dni każdego przynoszą mi zawsze długi list od ciebie, a każdy taką mi sprawia pociechę. Przyjemności częstszego odbierania listów od dzieci, trochę zazdroszczę bogatszym Rodzicom, ale może

w czwórcech odezwach synów swoich tyle nie mają powodów do radości, ile w téj iednéj. Twoie postępowanie coraz mnie więcéj uszczęśliwia. Jakże pochlebne te Nauczycieli świadectwa: *Nauka Religii — dostateczna; Obyczaje celujące; Postępy w Naukach — bardzo znaczne*; — te miłe wyrazy brzmią w uszach moich iak najmiłsza harmonia; kładąc się, mam je w myśli, budząc się, stoją mi na pamięci. O! czemuż, kochane dziecię, pociecho, nadzieio, chwało moja, czemuż cię w téj chwili przycisnąć do serca mego nie mogę? czemu widzieć nie możesz, iak tobą Matka szczęśliwa? Wiesz, że dzięki tobie, nawet lepszą iestem, bom pobożniejsza; dawniéj, bywały chwile, kiedy nie śmiejąc szemrać, nie wielbiłam iednak iak przystało Opatrzności; myśląc o przyszłości twoiéj, opędzając z mozołem skromne nasze potrzeby, niegdys w lepszym bycie, myślałam sobie: dla czegoż to mnie iednéj Bóg dał tak mało? dziś, zdaie mi się, że mi dał wszystko, dając takiego syna; dziś, iuż niczego nie żądam, tylko ciągłéj z ciebie pociechy... Piszesz

mi, że w szkołach zepsućby się można łatwo, że są tysiączne do tego sposobności, bardzo złe przykłady; że wielu z młodzieży uczący się, nie dosyć że sami źli i niepobożni, wyśmiewają tych, którzy takimi nie są. I ten opis, kończysz temi słowy: „Ja z takimi się nie „spieram, ani się téż ich postępowaniem gor- „szę, lecz ich żałuję serdecznie; a nie zwa- „żając bynajmniéy na wszelkie sarkania i „śmiechy, swoje robię; iuż téż codzień mniéy „ich wzbudzam.“ Jakżeby mnie takie słowa uszczęśliwić nie miały.. Zbawiennie także ro- bisz, synu mój, że nie wymieniasz nazwisk tych, którzy źle czynią; zachoway ten zwyczaj na zawsze; miéy złe w obrzydzeniu, chroń się błędów i powstaway na nie, ale o błędzących milcz zawsze. — Wiesz, że Pan August mo- cno mnie zajmować zaczyna, zamiast się u- razić otwartością twoją, polubił cię, i wyżéy od innych towarzyszków cię ceni; iak mówisz, gdyby nie grube sukno twego munduru, był- by ci może i przyjacielem. — Pominąwszy to dzieciństwo, szacunek iego maluje szlachetne skłonności; kogo nagana od niższego nie roz-

gniewa, ten musi mieć zaród dobrego; ile możliwości twoihey, zbliżay się ku niemu, zachęcaj go, napeminaj delikatnie, prowadź. O! iakby mi było miło, gdyby ubogi syn mój bogatemu Paniczowi mógł tak wielką, tak znakomitą uczynić przysługę; bo możeż bydz większa, iak młodego na dobrą naprowadzić drogę? Matka iego, która zapewne z Niebios na to iedyne dziecię troskliwie spogląda, iakżeby ci wyiednała u Boga błogosławieństwo... O drogi mój Wacławie! rozważ, iakim to nieocenionym skarbem iest cnota; tak młodym będąc i nic nie mając, możesz dobrze czynić, wielkie świadczyć przysługi; bo ten, który bliźniemu dobry przykład daie, lepiéy czyni iakby złoto sypał; a podobny rodzaj dobroczynności w nayuboższego iest mocy.

LIST CZWARTY.

Jak wszystkich rad moich słuchasz tak i ostatniéy usłuchałeś; iak ze wszystkiemi tak i z tą ci dobrze, kochany mój Wacławie!..

Młody August, już ci przyiaźń okazywać zaczyna, a co więcéy, zachęcony twoim przykładem, wsparty radami, bierze się do nauki i znaczne w niéy czyni postępy. Za niego robić zadania podłością zwałeś, pomagać mu gdy on sam nad niemi pracuje, masz za szlachetną przysługę. Zaprasza cię do siebie, bywasz u niego prawie codzién, Guwerner łaskawém okiem na ciebie patrzy, i iak widzę nie tracisz na tym związku bynajmniéy, bo ci dobrych książek udzielaia, bo w ciągłéy będąc na siebie baczności, nabierasz ułożenia przyzwoitego, owéy ozdoby młodzieńca, którétubasznosc szkolna, często samych Paniców pozbawia. Zazdroszczą ci szczęścia tego towarzysze twoi, o! synu mój, niech powodzenie nie odbiera ci drogiego skarbu miłości powszechnéy, niech ci nieprzyaciół nie czyni, nie okupuy go tak drogo!.. Bądź teraz iessleri można iessleri uprzejmieyszym iak dotąd dla towarzyszków twoich, niech nie czuią przykrego wyższości twoiétubieży, bo inacztubieży ciężalby i tobie... Mówisz, że do zbawienney i zadziwiającétubieży Augusta odmiany, nay-

więcý się przyczyniły listy moje, których mu czytałeś wyiątki; widząc mnie tak szczęśliwą dobrem postępowaniem twoim, zapragnął stać się Oycu podobný pociechy przyczyną. Będzie nią niezawodnie — pewna iestem, że za powrotem swoim do Warszawy, uyrzawszy w synie pomyslną odmianę, dozna téy radości, którą w mocy tylko *cnotliwego Syna rozweselić serce Oyca...* Nie piszę dziś długo do ciebie, oczy mnie trochę bolą... nie troszcz się iednak, przy pomocy Boga ten ból szczęśliwie przeminie, a z resztą zupełniem zdrowa.

LIST PIĄTY I OSTATNI.

O Boże! wielki Boże! iak nie wielbić dobroci Twoiéy!... Nie zatrwoż się, Synu mój, że do napisania tego listu obcý uprosiłam ręki, to ieszcze te oczy tego przyczyną; iuż są lepiéy, ale ieszcze zawiązane. Było iednak bardzo źle koło mnie, a raczéy koło wzroku mego; teraz wyznać to mogę, bo iuż mi tylko oczy dla przyjemności potrzebne, bo mi

Bóg dobry kilka chwil trwogi niespodzianém, niepojętém szczęściem nagrodził. Właśnie we dwa dni po napisaniu ostatniego mego listu, kiedy oczy moje w naygorszym były stanie, kiedy lekarz bardzo powątpiewał, a ja tylko prosiłam Boga, żeby mi pozwolił nie myśleć o tém, co to z tego będzie? oddała mi list z poczty; przelekniona, boś nie dawno pisał był do mnie, zawołałam: „Pewno i Wacław „chory, i znać mi daia.“ Okropność téj myśli wnet zmieniło w naywyższą radość, wysłuchanie tego listu, który mi pocziwy lekarz przeczytał, i który ci tu przyłączam w kopii:

„Lubo niemam wcale szczęścia być znaymym WćPani, darujesz zapewne, że się do „Niéy tak w prost udaie. Przed sześcioma „miesięcami wyjechałem był z Warszawy, syna „iedynaka, całą nadzieię i podporę znakomitogo „tego rodzaju, przyszłego dziedzica kilku milionów majątku, w szkołach zostawiwszy. Po „długich namysłach, do szkół posyłać go zacząłem, w téj nadziei, że zdolności iego „umysłowe uspione w domu, chęć wyścigu

„obudzi, a równość szkolna przytrze nieco owéy
 „zbytecznéy może wyższości, tak nauralnéy dzie-
 „ciom możnych, a z duchem dzisieyszym iuż nie
 „zgodnéy. Długo nie otrzymywałem pożądanego
 „skutku moiéy ofiary, syn mój znaydował i
 „w klassach nieproszoną protekcyą i pochle-
 „bców. Odbierałem co poczta równie nie po-
 „cieszające wiadomości od iego guwernera,
 „równie zaniedbane i czcze listy od syna;
 „ucieszyłem się mocno, kiedy nagle wszystko
 „się odmieniać zaczęło, i iakby nowy duch
 „w mego Augusta wstąpił. Chcąc téy szczę-
 „śliwey przemiany naocznym być świadkiem,
 „pośpieszam do Warszawy, przyjeżdżam i za-
 „staę więcéy ieszcze niżem wyobrażał sobie.
 „Syn mój wita mnie z nigdy dotąd nie oka-
 „zywaną radością, tkliwemi otacza mnie wzglę-
 „dami, mówi, że szczęście moje chce sprawić;
 „widzę w nim uprzejmą dla Nauczycieli wdzię-
 „czność, zapal do pracy niezmierny, widzę
 „go zdrowszym, weselszym. Zdziwiony, py-
 „tam się skwapliwie iaki cud tę zmianę spra-
 „wił? August prosi mnie o cierpliwość i obie-
 „cuie sprawcę tego cudu pokazać; ia go na-

„głę, on mi przyprowadza Syna WćPani.“
 „Oto mój prawdziwy przyjaciel, mój dobro-
 „czyńca!“ woła ściskając go czule, i mnie
 „prosi bym go uściskał. Opowiada mi potem,
 „iako uderzony słusnością iedną nagany tego
 „młodzieńca, z pierwszego razu nieco nią o-
 „brażony, po chwili zastanowienia przeięty
 „szacunkiem ku niemu został; iako wkrótce
 „zapaleń iego do nauki i pracy zagrzany, za-
 „chęcony przykładem, radami wsparty, a na-
 „dewszystko rozczulony do głębi serca lista-
 „mi szczęśliwój Wacława Matki, zapragnął
 „stać się iemu podobnym, podobnież Oyca
 „uszcześliwić! — Dusza tkliwa WćPani uczucie
 „to wszystko com wtedy uczuł, słów dobie-
 „rałbym tu na próżno, takowych wrażeń wy-
 „słować nie można. — Lecz kto wielkiego do-
 „brodzieystwa dozna, czucie natychmiast po-
 „trzebę dziękowania dobroczyńcy swemu; nay-
 „szczersze dzięki są téż do tego listu powo-
 „dem, i ośmielam się prośbę do nich przy-
 „łączyć. — Pozwól WćPani niech iéy syn do-
 „kończy dzieło tak chlubnie rozpoczęte, po-
 „zwól mu mieszkać wraz z moim synem, ie-

„dnychże starań i nauk bydź uczestnikiem;
 „ciągły przykład iego, ta przyiaźń na szacun-
 „ku ugruntowana, godnego rodu znakomitego
 „Męża z mego Augusta uczyni, ze mnie nay-
 „szczęśliwszego z oyców. WćPani zaś, nie
 „gardź małym upominkiem od Tego, któregoś
 „szczęście zrządziła. Ja zawsze dłużnikiem
 „Twym będę, iam ci winien pociechę z ie-
 „dynaka.“

Do tego listu przyłączono było zapewnienie dożywotniéy pensyi dwóch set dukatów co rok na imie moje. — Wystawże sobie kochany Synu, co się ze mną działo, co się dotąd dzieie? iak serdecznie dziękowałam Niebu. Téy saméy ręki, która ten list kreśli, użyję do odpisania Hrabiemu; do złożeniu Mu dzięków wzajemnych. Skoro moje oczy nieco lepsze będą, przeniosę się natychmiast do Warszawy; wszak się o to nie rozgniewasz? Kiedy iuż nie będę potrzebowała zarabiać na utrzymanie twoie, iakiżby cel i wdzięk życie moje daleko od ciebie mieć mogło? Upatruy mi pomieszkania dogodnego; pisz do mnie iak nayprędzéy, opowiedz iak się to wszy-

siko stało, coś ty mówił... W radości mo-
iéy zdaie mi się często, że to sen zwodniczy,
ile że mając ieszcze oczy zaslonione, w dzi-
wném iestem położeniu... Byway zdrów, ko-
chany Synu; nie długo doprawdy cię uściskam. —

X.

SZLACHETNA OTWARTOŚĆ.

Młody Jan G. syn iedyny i ukochany za-
cnych rodziców, celuiący od dzieciństwa nie-
zmierną otwartością, pełen i innych pięknych
przymiotów, ale przeto samo nieco żywych
namiętności, w wieku kiedy one naysroższy
bunt w człowieku podnoszą, i kiedy rozstrzy-
ga się owa niepewność, czy te żywioły duszy
w cnoty czyli w występki się zmieniają, odda-
nym został na dokończenie nauk do wielkiego
miasta. Pozbawiony czuynéy rodziców straży,
polecony dalekiemu tylko dozorowi ich przy-
jaciela, niebaczny młodzieniec wśliznął się po-
mału na powabną i nęcącą drogę błędu, do-
zwolił złym skłonnościom wziąć górę, i co-

raz trudniejszą czynił ową chlubną lecz wielce trudną przemianę namiętności w cnoty. Kiedy tak brnął codzien głębiej, a zagłuszone uciechą, zabawami sumienie, zaledwo nieco słyszaniem być mogło, zdarzyło się, że ów przyjaciel rodziców jego, który się obowiązał donosić im niekiedy o postępках syna, przysłał na jego ręce list do nich otwarty, z zaleceniem, aby przeczytawszy go, przypisał się, i posłał na pocztę. Ten przyjaciel czy zbyt zatrudniony czyli téż nadto ufny, nie znał bynajmniej obłąkań powierzonego dozorowi swemu młodzieńca; wiedział tylko, że uczęszcza dosyć regularnie na nauki, że bywa u niego w dnie naznaczone, że zdrów; wiedział także iak miło rodzicom pochlebne o dzieciach odbierać świadectwa, napelnił więc list swój iak naywiększemi ich syna pochwałami. Powaby występku mogą złudzić niedoświadczonego człowieka, ale długiego oswoienia się z nim potrzeba, aby zdołał zatrzeć zupełnie rysy głównego przymiotu, którym niemal każda dusza się odznacza; zdaie się nawet, że ta zagłada nie iest w jego mocy, i zapewne

dla tego zdarza się często, iż spotkamy czyny cnotliwe w życiu największych zbrodniarzy; dobroczynna Opatrzność zostawia to piętno swoje na znak Boskiego początku człowieka, zostawia go także w miłosierdziu swoim, ażeby w najwystępniejszém duszy, żal i nadzieia oprzeć się o co miały... Młody Jan G. zbłądził dopiero, występny nie był jeszcze; tém więc silniéj przemówił wtedy główny przymiot jego, przymiot, którym od dzieciństwa celował, *szlachetna otwartość*; nie mógł przenieść tego na siebie, ażeby list, który za kłamliwy uznał, z wiedzą jego uchodził za prawdę; ażeby wtedy właśnie, kiedy on pasmo zmartwień rodzicom sporządził, kiedy surowej potrzebował nagany, ażeby oni radować się nad nim, błogosławić go i pochwały przysyłać mu mieli. Cóż więc czyni? oto pisze do nich w podobnych wyrazach.

„Zawsze kochani ale srogo obrażeni Rodzice!

„Przesyłam Wam list przyjaciela, które-
 „muście dozór nad niegodnym synem powie-
 „rzyli, nie czytajcie go, nie wierzcie mu;
 „złudzony mylnemi pozorami, on mnie wy-

„chwala, wtedy, kiedym ia naysurowszý na-
 „gany godzien, kiedy niepomny na przestro-
 „gi, na miłość waszą, na obietnice moje, o-
 „brałem sobie drogę błędu, i codzién daléy
 „nią idę. Tak iest, chociaż wiem że to wy-
 „znanie rozedrze serca Wasze, uczynić ie
 „muszę; zbłądziłem, błędę bez pamięci, sto-
 „ię nad bezdenną przepaścią, a tyle nieszczę-
 „śliwy iestem, i tak znam słabość moię, że
 „czuię iż sam o własný sile wyrwać się
 „z téy toni nie potrafię. O wy! którzyście mi
 „życie dali, którzy przez lat iuż tyle obsypu-
 „iecie mnie miłością, darami, dobrodzieystwy,
 „uczyncież naywiększe, które wszystkie uwień-
 „czy i przeydzie, niech tu iedno z Was iak
 „nayrychlý przybywa, bo powtarzam, syn
 „wasz iedyny, syn, niegdys pociecha i na-
 „dzieia Wasza, iuż tak w błędach zanurzony,
 „tak blisko zguby, że głos tylko i ręka oyca
 „lub matki przywrócić mu rozsądek, i wyrwać
 „z tego niebezpieczeństwa potrafią.“

Serce czulego oyca, serce tkliwý matki
 zrozumie czego doznali rodzice młodego Jana
 G., gdy tę odezwę iedynaka przeczytali; ia

nie targnę się na opis tych uczuć... Ochroniła ich jednak od rozpaczyny szlachetna syna otwartość; bolejąc srodze nad obłąkaniem iego, nad własną nieostrożnością, nie tracili nadziei, kiedy w nim taką gotowość do poprawy, taką szczerotę widzieli. W pierwszym momencie oboie chcieli biedz na ratunek iego, ale ponieważ ważne obowiązki zatrzymywały oyca w domu, matka iechać sama umyśliła; miłość macierzyńska dodała iéy potrzebny odwagi; we dwie godziny już była w pojeździe, piątego dnia już stanęła w mieście o sto mil odległym, już w pomieszkaniu syna, bicia serca swego naliczyć nie mogła, bo lubo ospóźniony przybyła porze, nie zastała go przecież w domu. Przybył nareszcie; spostrzedz matkę, wydać krzyk zadziwienia, rzucić się iéy do nóg, ze łzami błagać przebaczenia, i dzięki iéy składać, iedną chwilą było dziełem; ale ta matka, która zniosła wzruszenie listem iego sprawione, trudy podróży, męki oczekiwania, widoku iedynaka znieść nie mogła, odstąpiły ją zmysły, padła bez duszy, i nieszczęsny syn przez godzinę

był w niepewności: czy nie wydarł życia téy któręy swoje był winien. Lecz nareszcie przyszła do siebie; iuż nie potrzebował ię syn żadnych wymówek i napomnien; ta okropna obawa wszystko sprawiła; u nóg matki bładę ieszcze poprzysiągł poprawę, i dotrzymał słowa. Nie złudziły go iuż powaby występku, wrócił na drogę prawdy, żywe namiętności w czynne cnoty zamienił, i dziś w dojrzałym iuż wieku, godny obywatel, naylepszy mąż, oyciec, sąsiad, przyjaciel i krewny, prowadzi życie swobodne i mile, bo cnotliwe i użyteczne.



XI.

S Z K Ó Ł K A,
P O W I E Ś Ć W R O Z M O W A C H
 C Z Y L I
 K O M E D Y K A.

O S O B Y.

M A T K A.

T A D Z I O, iéy syn, 12stoletni.

B A K A Ł A R Z.

T O M A S Z O W A, siostra Bakalarza.

A N T E K,

J Ó Z I O,

M A R Y N K A,

M I C H A Ł, stary lokay.

Kilkunastu uczniów płci oboiéy.

Dzieie się w Porycku, miasteczku, dziedziczném Czackich, d. 28. Sierpnia 1877 roku. —

B A K A Ł A R Z, T O M A S Z O W A, wszyscy Uczniowie.

(Izba szkolna z obudwóch stron stoły, za niemi ławki, na których siedzą uczniowie; ka-

ždy z nich zaięty nauką — Bakalarz na przodzie sceny wraz z Siostrą, tak do nię mówi):

A! iakiemże to dla mnie szczęściem dzień dzisiejszy znaczony! *albo calculo dies notata*. Dziś obchodzimy Urodziny kochanego Pani-cza naszego, i Bóg sprowadził mi siostrę, którą już od tak dawna widzieć pragnę, której od roku oko moje nie oglądało. Prawdziwie, nie poymię się z ukontentowania.

T O M A S Z O W A.

I ia, Bóg widzi, przyić do siebie nie mogę z podziwienia i z radości; rok temu, zostawiłam cię w nędzy, kochany bracie, z całą twoją łaciną i mądrością. Właśnie odprawiwszy się od Państwa, u których służyłam, miałam ci tu przywieść kilkanaście złotych z zasług uciulanych, żebyś przynajmniej nie umarł z głodu, kiedy odbieram list twój. Przeczytawszy go z trudnością dla drobnego pisma i łaciny, dowiaduję się, żeś w dobrym bycie, że dla mnie nawet masz kawałek chleba, nie chcę wierzyć oczom moim, przyjeżdżam, i zastaę więcej niżem sobie wysta-

wiała. Kontusz porządny, pas bogaty, czapka z barankiem, bóty żółte, mieszkanie chędogie, a nadewszystko twarz wesola i rumiana; doprawdy, nie poymuję....

B A K A Ł A R Z.

Wszystko to Boskiéy Opatrzności cuda, i owoce owéy łaciny i mądrości, z którój tylko niewiadomi szydzą. Ona to, Mościa Pani, postawiła mnie na tych nogach, na których mnie widzisz, bo kto w Boga wierzy i po łacinie umie, temu bieda nigdy długo dokuczać nie śmie.

T O M A S Z O W A.

Dokuczala ci ona, Panie bracie, czas nie mały, Bogu dziękować, że iéy się naprzykrzyło; ale powiedzże mi iak się to stało, iaką służbę masz dla mnie, bo ia dalipan, iak w rogu iestem i schnę z ciekawości.

B A K A Ł A R Z.

Opowiem ci wszystko porządkiem, od początku, *ab ovo*. Wiesz dobrze, do kogo *Po-*

ryck należy; wiesz, że to Państwo bogate, znaczne, wspaniałe, wysokiego urodzenia, wiesz że mają potomstwo, ale wiedzieć nigdy nie możesz co to za dziecię, najmłodszy ich syn...

T O M A S Z O W A.

O! słyszałam ja już wiele o nim; mówią, że to Panicz rozumny iakich mało...

B A K A Ł A R Z.

Mów lepiéy, iakich niema w całéy Litwie i Koronie; to *nec plus ultra*, Paniątko dobre iak Aniół, a mądre iak Salomon; co on już xiążek poczytał, co nauk posiadał, co dobrego zrobił, a iak gładko po łacinie umie! wszak ci to xiążki, których ja stary nie rozumiem, on *ex abrupto* tłómaczy, już prawo zna lepiéy od Palestrantów naszych, Historyą Polską od kronikarzy, a iakie serce! On to, nie kto inny mnie staremu, niegdyś w dobrym bycie, późniéy bez sposobu będącemu podał szlachetny i uczciwy kawalek chleba, boć niema powołania nad powołanie nauczycielskie: *Nec est munus, nisi munus praeceptorum.*

T O M A S Z O W A.

Panie bracie nie mieszay łaciny, a opowiedz rzecz iak się przytrafiła.

B A K A Ł A R Z.

Oto właśnie na ten Nowy rok byłem sobie iak zwykle w tutejszym kościele, klęcząc obok ławek (bo dla nędznój odzieży weyść do żadnój nie śmiałem) modliłem się gorąco na moiej łacińskiój xiażce. Wiele było w ten dzień gości, zasiedli zwykle Kollatorów miejsce, i zdarzyło się, że młodszy Panicz weyść musiał do téj, przy którój ia klęczałem. Zastanowiła go wnet moja łacińska i staroświecka xiażka, a może wreszcie i moja osoba; swój łatwo pozna swego; *similis simili gaudet*. Prawie nie spuścił z niój i ze mnie żywych oczu swoich, a nim wyszedł z kościoła, prosił mnie, żebym tego samego dnia przyszedł do niego, do Pałacu. Przyszedłem, wybiegl do mnie na dziedziniec; pomimo tego, że czamara moja równie iak i xiażka, którą trzymałem w ręku, w szmatki podartą była, zaprowadził mnie do swego pokoju, i tam tak

mówił przerywanemi słowy: „Oddawna pragnę gorąco żeby dzieci domowników naszych, ubogich mieszkańców Porycką, mogły iakiegoś nabywać światła, żeby nie rosły w grubéy ciemnocie... mnie tyle szczęścia nauki przynoszą... mnie tylu rzeczy uczą, a ich niczego... oni tacy nieszczęśliwi!... ale chciałbym, żeby nikt o tém nie wiedział, mam dużo pieniędzy, kochani Rodzice tyle mi ich dają; na pomocniku tylko dotąd mi zbywało... Ty umiesz po łacinie, masz twarz pocziwą, iakeś się modlił gorliwie... Ty widzę potrzebnym iesteś, będziesz więc pomocnikiem moim; wszak prawda; upatrzysz w mieście dom iaki z dużą izbą; ty niby założysz Szkółkę, a ja prawdziwym iéy założycielem będę.“ I to powiedziawszy, nie zważając na nędzne szaty moje, rzucił mi się na szyję, całował mnie iakby Oyca, a czarne oczy iego iak dwie gwiazdy iaśniały... Wnet ułożyliśmy wszystko; *mądréy głowie dość na słowie*; przyrzekłem mu sekret, i chowam go wiernie; ty pierwsza z ust moich go słyszysz, bo mam w tém pewne widoki; wreszcie wiem,

że choć kobieta, gadułą nie iesteś, kocham cię z serca, a kochającym się wszystko wspólne: *Amicis omnia communia...* Nie wyszło i miesiąca, już była izba naięta, xiążki skupione, kilkunastu uczniów płci oboyga; mnie wszyscy mieli i mają za założyciela Szkółki; powiedziałem żem znalazł pieniądze w ziemi, i pospółstwo łatwowierne uwierzyło; bo mądrymu wierzyć należy; *Sapienti credere fas est*. Nie źle téż na tém wychodzą, złamanego szeląga dziatek nauka ich nie kosztuje; kochany Panicz na wszystko łoży; i takich tylko pieniędzy udziela mu Rodzice, on ie nie strwoni na łakotki, choć ie bardzo lubi, ale wszystkie używa na wynagrodzenie pracy moiéy, i broń Boże! nie od nikogo innego wziąć mi nie pozwala... sam zaś mówił już parę razy do mnie, żebym się o iaką kobietę dorzeczną wystarał, któraby o śniadaniach i podwieczorkach tych dzieci myślała i przytém dziewczęta robót uczyła, to wszystko za przyzwoitą nagrodę. Oczywiście, że mi zaraz Pani Siostra na myśl przyszła...

T O M A S Z O W A.

O! iakież to dobre i zacne dziecię! Jak-
żebym go iak nayprędzey widzieć rada!

B A K A Ł A R Z.

Będiesz miała wnet to szczęście, on dnia
nie ominie, żeby się nieznacznie nie wymknął
do naszey Szkółki. Chwil rozrywce i zaba-
wom poświęconych, on lepięy używa. Po za-
bawach iego poznać dziecię: *Ex studiis suis
intelligitur puer*. Przybiega tu, wypytuje się
o wszystko, więcęy ochoczych pochwała, obda-
rza ich własnym podwieczorkiem; mnięy pil-
nych napomina, zachęca, a słów iego iak
wyroków ta dziatwa słucha; więcęy może,
kto więcęy znaćzy; *plus potest, qui plus valet*. —
Dziś zwłascza przyidzie nieochybnie, dziś
dzień iego Urodzin, dwanaście lat skończył;
a cóżby to było za Święto? gdyby on nas,
a my iego nie widzieli! Jużby tu nawet bydz
powinien... ale wiem dla czego nie przycho-
dzi? huk gości zjechało się do naszego Pań-
stwa; obiad był suty, musiał trwać długo;
chodziły téż zapewne i kielichy w kolo za

zdrowie Solenizanta... O! maia, wprowadzie
czego zacnym Rodzicom winszować! Mądry
syn rozwesela Oyca: *Filius sapiens laetificat
patrem*. Maia, komu szczęścia i zdrowia ży-
czyć. O! niechby żył sto lat! Cnotliwy i mą-
dry nigdy dość długo nie żyje: *Vir probus et
sapiens nunquam satis vivit*.

T O M A S Z O W A.

Ach! niechże tu przyidzie iak nayprędzėj!
chciałabym ucałować nogi i ręce takiego Pa-
niątka.

B A K A Ł A R Z.

Co z tego to nic nie będzie, moja Pani
Siostro; broń Boże! żeby cię z nienacka oba-
czył; muszę go piérwój przygotować zręcznie,
a potém chwilę uchwycić pomyslną. Skoro
tylko usłyszemy że nadchodzi, musisz się
schować do alkierza.

T O M A S Z O W A.

A to go dziś nie zobaczę.

B A K A Ł A R Z.

Jak się ze mną rozgada, uczniami зайmie,

weyść możesz do izby, i stanąć gdzie w ką-
ciku; on cię nie spostrzeże, wzrok ma krotki,
ale rozum iego daleko widzi; przytém bardzo
często roztargniony bywa, bo żywy, i to ie-
dynie przed sobą widzi, o czém myśli... Ale
doprawdy, korcić mnie zaczyna, iż nie przy-
chodzi. Uczniowie moi i ia sam, mamy go
oracyami przywitać, miesiąc cały smażyłem
się nad niemi; z iednéy szczególnie myśli,
nad wyraz kontent iestem... Antku! powiedz
no te cztery wiersze, któremi Panicza przy-
witasz, ale zupełnie takim tonem, z takimi
iestami, iak cię nauczyłem.

*(Antek wychodzi z za stołu, stawia iak zwy-
kle żaki przed nauczycielami, i podnosząc i
opuszczając po kolei ręce, mówi:*

Niech nasz kochany Panicz póty żyje,
Póki Mucha z Komarem Morza nie wypije
A ty, Mucho, piy powoli,
Niech się nasz Dobroczyńca nażyje do woli.

B A K A Ł A R Z.

Dobrze chłopcze; Pani Siostró, czyś wie-
działa iakim twój Brat Wierszopisem! a ty
Józiu, pamiętasz oracyą:

(Józio podobnież czyni iak Antek).

Fortunnych pociech, szczęścia wszelakiego,
 Życzeń winszuiąc Roku dwunastego.
 Żyć ośmkroć lat tyle, czerstwéy sędziwości
 Doczekay, moiéy podporo młodości.
 Niech cię Fortuna na rękę piastuie,
 Niechay przed Tobą zawsze kredensuie!
 Zażyway długo szczęścia pomyślnego,
 Póki nie doydziesz kresu śmiertelnego!
 Potem zasiaday w kryształowem Niebie
 Kiedyc Król wieków każe przyść do Siebie.

B A K A Ł A R Z.

Dobrze, wysmienicie; i to powinszowanie nie źle mi się udało; tylko w tém bieda, że pewny nie iestem, czym go sam z głowy napisał, czyli téż spamiętał. *(Do Marynki, która wstaie i chce także odmówić swoje).* Poczekay, dziewczę, pozwólcie niech ia sobie moię oracyą powtórzę... Pani Siostro, nie gnieway się na mnie, i schroń się iuż do alkierza; zostaw drzwi otwarte; a ia tu iuż wszystko na przyięcie iego urządzę. *(Tomaszowa odchodzi, widac' ią iednak często we drzwiach).*

B A K A Ł A R Z *po krótkim namysle.*

No! raz ieszcze moię oracyą przepowiem

sobie; dla odmiany, mową nie wiązaną ią u-
 łożyłem. (*Napusza minę, czapkę zdeymuje i*
mówi pompatycznie): „W nieodmienny prawie
 „prognostyk, poszło to u ludzi, iż iaki pora-
 „nek wchodząca pokaże iutrzeńka, taki sobie
 „całego dnia czas przyobiecuią, i pomyślna
 „to wróżba kiedy rzecz można: Już wschód
 „iaśnieie. *Jam Oriens splendet!* Poranek dni
 „Twoich, o Tadeuszu! tak wesoło i świetnie
 „iaśnieiący, iakież złotem płynące czasy ży-
 „cia Twoiego przyobiecuię? iakiegoż starania,
 „iakieyże życzliwości niema się spodziewać
 „po Tobie w wieku dojrzałym Młodzieź, kie-
 „dy w piérwszych Twych latach iuż nieuga-
 „szone są płomienie Twoiéy ku niéy miłości;
 „krzewina iuż pod cień swój dobroczynny
 „przyimuie, cóż drzewo uczyni? cóż dąb, kie-
 „dy fiolek taki! *Quid de quercu, dum viola*
tanta! a przeto...” Ale iuż iako widzę, pa-
 miętam ią co do słowa, lepiéy ustawić tę Mło-
 dzieź, boć pewno niedługo nadeydzie. *Obra-*
cając się do Uczniów). Chłopcy i dziewczęta!
 wiecież iak się sprawić macie?

W s z y s c y p o w s t a i ą c .

Wiemy.

B A K A Ł A R Z .

Jednak dla pewności, powtórzę wam raz jeszcze. Skoro nasz kochany Panicz weydzie, staniecie wszyscy w szeregu iak wryci... Oto naylepiéy iuż teraz wyidźcie z za stołów. (*Wychodzą i stają, po iednéy stronie chłopcy, po drugiéy dziewczęta*). Tak dobrze, ani się ruszyć... Skoro weydzie, ia naprzód wystąpię z moią oracyą; gdy skończę, każde z was z kolei wychodzić będzie z szeregu, i mówić swoje wyrażnie i pomału; potém... ale otóż nadchodzi. Dziaćki ani mru, mru.

C i ęż s a m i, T A D Z I O .

(Tadzio wbiega zadyszany, dzieci zaledwie go postrzegły, biegną wszystkie ku niemu, wołaiąc: *Kochany nasz Panicz! winszuiemy! winszuiemy! Żyć długo!* otaczaia go, cisną się do nóg iego, suknię całuią. Bakalarz na próżno do dyscypliny się bierze, nią grozi, krząta się, woła: *Ad ordinem, ad ordinem; do porządku, do porządku! malefrugi, improbi,*

scelestą capita. Lichoto, niecnoto, smarkacze; poczekajcie, dam ja tu wam! nic nie pomaga; Tadzio z największym rozczuleniem te oznaki przywiązania przyjmuje; słyhać powtarzane z ust jego te słowa: Dzieci moje, kochane dzieci!)

B A K A Ł A R Z.

No! psotniki uspokóycieź się raz przecie; niechże powiem moję oracyą...

T A D Z I O wyciągając do niego rękę.

Co mi po oracyi, kochany Przyjacielu, wiem bez oracyi, że mi dobrze życysz.

B A K A Ł A R Z.

Ale bo i tę lichotę z taką pracą wyuczyłem! każde z nich miało coś powiedzieć, a tak nasz Panicz nie będzie nic wiedział...

T A D Z I O.

Wiem wszystko, widziałem że mnie kochaia, lzy wdzięczności skropiły ręce, suknie moje.. zupełniem kontent.. nigdy tak szczę-

śliwy nie byłem iak w téy chwili, bo widzę w tych dzieciach, w ich przywiązaniu do mnie, początki zapалу do nauk i cnoty...

B A K A Ł A R Z.

Ale możeby Panicz tak był laskaw, i teraz wysłuchać nas raczył. (Stawa i zaczyna). *Nieodmienny...*

T A D Z I O przerywając mu.

Gdybym miał kilka minut wolnego czasu, wysłuchałbym cię chętnie, ale zaledwie wymknąć się z pałacu potrafiłem; wracać muszę prawie natychmiast, już więcéy iak godzina iak tu biedz chciałem, a nie mogłem upatrzeć chwili... Niespokoyność moię Matka dostrzegła, i pytała się kilka razy co mi iest? Boię się nawet bardzo, żeby cała nasza tajemnica się nie odkryła, gdyż niedaleko stąd widziałem starego Michała, który iakby mnie wypatrywał..... Jabym chętnie z wami resztę dnia strawił, tu mi tak miło; nic niewiem iak wczoraysze nauki poszły?...

B A K A Ł A R Z.

Bardzo dobrze. W wigilią Święta Dobroczyńcy swego, iakże się przykladać nie mieli? a prócz zwyczajnych nauk, oracyi i powinszowań nauczyli się iak pacierza. Nieodżałowana szkoda, że...

T A D Z I O.

Nie żałuy tego, proszę; zupełnie iakbym ie słyszał. Wreszcie na przyszły rok zdać ci się mogą....

B A K A Ł A R Z *na stronie.*

Wyborna myśl! lepiéy późno iak nigdy:
Melius sero quam nunquam.

T A D Z I O.

A ia rozdám między was, com z sutego obiadu, ciast, cukierków, łakotek i owoców mógł zebrać. (*Idzie za drzwi i koszyk napętniony przynosi*). Sam doprawdy nic tego nie iadłem, żebyście wy więcéy mieli; może i tém obudziłem niespokoyność kochanéy matki. (*Dzieli Uczniów, a naprzód butelkę wina z kossa dobywa, i kilka małych jabłuszek*). Zacząć

trzeba od najstarszego i od najmłodszego, i dać każdemu co lubi, co mu przystoi. (*Najmnieyszék dziewczynce daie butelkę, Bakałarzowi iabluska, ci patrzą się zdziwieni, i on omyłkę swoją postrzega*). A to nieszczęśliwe roztargnienie moje, wcale przeciwnie zrobić chciałem, (*odmienia dary*). — Niech kto już rozda resztę; bo co tego to nie umiem. (*Marynka bierze koszyk i dzieli. Dzieci ze smakiem zaiadaia*). Kiedyż, Przyjacielu, wystarasz się o tę kobietę, o którę ci już kilka razy mówiłem; bardzoby nam się przydała.

BAKAŁARZ, uradowany.

Ach! iabym mógł téy minuty stawić tu taką iakię Panicz żada.

TADZIO.

Co mówisz?

BAKAŁARZ, wyprowadzając Tomaszową z alkierza.

Oto iest.

(*Tomaszowa ściska kolana Tadzia*).

TADZIO.

Zupełnie taka iakię nam było potrzeba. Któż ona iest?

B A K A Ł A R Z.

To Siostra moia.

T A D Z I O.

Tém ci lepiéy. Jutro przybiegnę tu rano i rozmówiemy się; teraz odeysć muszę. (*Chce wychodzić, w tém iedna z Uczennic, która przed chwilą była wyszła, wraca z pośpiechem i woła:*

Dla Boga! Dla Boga! Sama Pani idzie.
(*Dzieci, Tomaszowa, Bakalarz chcą uciekać, ale Tadzio ich wstrzymuje i mówi:*

Kiedy się już rzecz odkryła, lepiéy czekać śmiało, niżli uciekać; wreszcie nic tu złego nie robimy, bać się więc niemamy przyczyny.

Ciż sami, MATKA, MICHAŁ.

MICHAŁ, otwierając drzwi.

Tu, tu, Jaśnie Wielmożna Pani, oto iest zbieg nasz.

MATKA, patrząc w koło.

Cóż tu dzieci, xiążek! a to widzę Szkołka. O Boże! zgadnie serce moje tę całą tajemnicę; Synu mój! kochany Synu!

(*wyciąga ręce do Tadzia, on się rzuca w ięć objęcia*).

T A D Z I O.

Co kochana Matko, nie gniewasz się? Ten sekret przed wszystkiemi?...

M A T K A.

Ja gniewać się na ciebie? ach owszem słodką napelniasz mnie pociechą, a iakaż będzie Oyca twego radość! Kryć dobre uczynki swoje zawsze wolno; bodayby takie tylko tajemnice były!... Tu więc tonęły owo pieniądze, podarki, któreś od nas dostawał; a iam się martwiła, że ie trwonisz..... Żal tylko mam do siebie, że dawniemy twego serca nie odgadła....

T A D Z I O.

A ia żałuję teraz, że się dotąd przed Rodzicami taił, bom ieszcze nigdy w życiu podobnie nie był szczęśliwy.... Ukochaną Matkę widzieć przeiętą radością, której się iest sprawcą, to szczęście naywyższe... (*całuje ją w ręce*).

M A T K A, *ściskając go.*

Synu! kochany Synu! Oby kiedyś gdy lata przyniosą ci szczęście bydź Oycem, oby kiedyś, mówię, Syn tobie podobny taką ci spra-

wił pociechę, iaką ty w téy chwili napelniasz serce moje!... O! iakież to dziecie daleś mi Boże! w dobroci Twoiéy! iakże ten piękny czyn dwunastoletniego młodzieńca, pomyślną przyszłych przeznaczeń iest wróżbą. Dopomóż mu tylko Panie! a uczyni dla Ojczyzny, co dziś dla rodzinnego mieysca uczynił. (*Obra-
cając się do Bakalarza, do Tomaszowéy i do Uczniów*). Wy, poczciwi ludzie, którzy synowi memu dopomagacie do tak dobrego uczynku, zechcecie przyiąć iakąś nagrodę; a wy, dzieci, idźcie do Palacu, tam smaczną każę wam sporządzić wieczerzę. Chodź, Synu mój, zaprowadzę cię do Ojca z tym chlubnym orszakiem; o! iakże będzie szczęśliwy! Cnota dzieci naydroższym iest skarbem Rodziców.

KONIEC TOMU SIÓDMEGO.

